

HANNA KRALL
NA WSCHÓD OD ARBATU
ISKRY -WARSZAWA. 1972

Kawałek chleba
Obwolutę projektował JANUSZ WYSOCKI

Ilustracje:

H. Krall (2, 3, 4), Z. Stolarek (8),
J. Szpeirkoiwicz (29), Z. Wdowiński (5, 18, 19,
Agencja "Nowosti", CAF,
Dom Kultury Radzieckiej "Przyjaźń",
Archiwum

Jechali z Polski trzy tygodnie.

Najpierw zatrzymali się tam, gdzie teraz jest osiedle górnicze Czeremchowo.
Rozejrzeli się, postanowili: jedziemy dalej. Przyjechali do Tichonowki. Był tam
gęsty brzozowy las i rosły truskawka. Najedli się truskawek za darmo i do syta.
Rozejrzeli się. Postanowili: jedziemy dalej. Przyjechali do Wierszyny.
Rozejrzeli się... Chcieli jechać dalej, ale dalej była tylko -tajga. Więc
zostali w Wierszynie na zawsze.

rtu:->{eff

Redaktor: FRANCISZEK KRÓL Redaktor techn.: ADAM SZCZEREK Korektor: AGATA BOŁDOK
PRINTED IN POLAND

Państwowe Wydawnictwo "Isłjrrjfo\$ 4|

Wydanie I. ' ;5'.»*

Nakład 10 000 + 275 egz.

Ark. wyd. 12,2 Ark. druk.. 15.

Papier druk. mat III kl., 70 g., 82 X

Druk ukończono w czerwcu 1972 r.

Zakłady Graficzne w Gdańsku.

Zam. nr 4658 W-3.

Cena zł 18.-

Droga do Wierszyny

Autobus jeździ codziennie z wyjątkiem dni, kiedy pada deszcz, kiedy są zaspę,
kiedy jest wiosenne i jesienne błoto i kiedy są na drodze wyboje - po deszczu,
błocie i zaspach.

Tego dnia nie było deszczu, błota ani zasp i kierowca powiedział, że pewnie
dojedziemy.

Wyjechaliśmy z Irkucka o piątej. O szóstej zaczął padać deszcz. O siódmej droga
zamieniła się w wawóz pełen tłustej i gęstej gliny. Autobus stanął. Kierowca
wysiadł i uważnie oglądał bryłę, w której buksowały koła. Wiedzieliśmy: obmyśla
tastykę. Skinał głową

(uśmiechnęliśmy się do siebie: już wie!) i siadł za kierownicą. Po piętnastu
minutach autobus wyczołgał się z gliny. Przejechaliśmy dwieście metrów. Autobus
stanął...

- Niczeiwo - mówiły kobiety uspokajając płaczące dzieci - posiedzimy,
odpoczniemy sobie...

Wszyscy rozumieli: pada deszcz, Od tego jest tajga, żeby nią nie przejechać,
kiedy pada deszcz. I tak dobrze, że jest droga i że - kiedy nie pada deszcz -
chodzi tędy autobus. Już prawie rok, jak chodzi.

Zaczęli spokojnie wyciągać zapasy: pierożki, jajka na twardo, chleb. Ktoś
śpiewał - "Irkuck radnoj - sieredina ziemi"... Kobiety układały dzieci
wygodnie. A kierowca obmyślał precyzyjny plan pokonania kolejnej bryły błota.

Po dwóch godzinach deszcz minął. Przejechaliśmy ze 100 kilometrów i usłyszeliśmy trzask:

- Wsio - mruknął kierowca. - Łopnuł wał.
- Co się stało? - zapytano z tyłu.
- Nic, wał.
- A, wał.

Jedliśmy dalej pierożki. Jedliśmy i śpiewaliśmy "Sie-riedina zieemli" - krążąc po okolicznych wsiach i szukając warsztatu, a potem szukając technika, a potem czekając, aż technik .zespawa wał. Nikt się nie denerwował, nie złorzeczył, nie dziwił i nie udzielał rad kierowcy. Po dwóch godzinach ruszyliśmy w dalszą drogę.

Zapadała chłodna syberyjska noc. Jakiś mężczyzna opowiadał, jakaś kobieta nuciła... Autobus zatrzymał się na przystanku. Ktoś wsiadł. I w ciszy nocy .syberyjskiej, wśród szeptu rosyjskich słów, na drodze przez wiekową tajgę rozległ się głos:

- No, dziółchy, siadojta, a nie srojta tam.
- Zrozumiałam, że Wierszyna istnieje naprawdę.

y/ gościnie u Piekrasów ?

_ . pociągnij nosem, Hania - powiedział Pietras - iakie powietrze czujesz?
-. Rzeńskie...

_ Polskie powietrze, Hania, polskie. Pociągnij jeszcze raz, No? A coś ty myślała. Choć w Rosyji, choć syberyjskie - to co, my nie Poloki, szto li? Weszliśmy do domu.

- Nie ścieśniaj się, Hania, chodźże.

Pietrasowa patrzyła jak na ducha.

_ A mnie się nawet śniła dzisiok biała bielizna.. Pospadowała tak ta bielizna i ja jom zbierała. Rano mówię swojemu Bronkowi - jakiś przybył będzie. No i patrzcie, dziółeha z Polski przyjechała. Ale coś zielona taka...

- To ta podróż...
- Helka, przynieś no kropli!
- Od boleści czy od słabości?
- Wszystkie.

Dali mi jeszcze wywar z korzenia, który rośnie w tajdze. I posłodzony samogon (- Pij, Hania, pij, sama pędziłam). I "Moskiewską" z imbirem, po buria-cku. I poczułam, że wracają mi siły i mogę odpowiadać na wszystkie pytania Pietrasów.

- Z jakiej jesteś guberni, Hania?
- Po żelaznej drodze do Irkucka przyjechałaś?
- A po jakiemuś jedna?
- Bo postanowiłam was w końcu znaleźć. Nikt dotąd nie wiedział, gdzie szukać was, a od dawna słyszeliśmy, że gdzieś tu, w Syberii jesteście...
- Jak dziwnie gadasz, Hania. To tak teraz w Polsce wszyscy gadajom?

Będzie obiad

O szóstej rano obudził nas motocykl. Przyjechał przewodniczący kołchozu, Buriat. Mówił po rosyjsku, robił gorzkie wyrzuty Pietrasowi, że nie zawiadomił go o przyjeździe delegacji.

- Nie zdążył - broniłam gospodarza.
- Ale czy chociaż przyjął was tak, jak się przyjmuje delegację zagraniczną?
- Oczywiście, lepiej jeszcze. Przewodniczący trochę się uspokoił.
- Opowiedzcie trochę o waszym kołchozie - poprosiłam.
- Teraz nie - odparł stanowczo. - Najpierw zadzwonię do rajkomu, powiem, że delegacja zagraniczna przyjechała. Potem zbiorę kolektyw - brygadzystę, przodujących traktorzystów, przodujące do j arki, żebyście mogli z ludźmi porozmawiać. Potem zrobimy na waszą cześć obiad.
- Nie, po co obiad, ja się źle czuję...

- To nic. To możecie nie jeść. Ale jak przyjeżdża delegacja, to jest obiad. Porządek musi być...

Wsiadł na motocykl i pojechał do Komitetu Rejonowego.

Historia

Czekając na kolektyw oglądałam gospodarstwa Wierszyny. Jest ich sto. W każdym pięcioro, sześcioro dzieci i dwoje, troje dorosłych, więc mieszkańców 800 prawie.

Nazwiska wierszynian: Pietras, Pietrzyk, Maśląg, Nowak, Niedbała, Januszek, Pośpiech, Wójcik, Figura,

Wiktorowski, Kania, Konieczny, Korczak, Łyda, Kus(tm)
tosz, Mitręga.

Imiona dzieci: Karoleia, Hela, Marysia, Frania, Janek, Felek, Paweł, Wałek, Antek.

Imiona psów są polskie. Najczęściej - Burek. Bo z czy tanki polskiej zapamiętali: "A ten Burek, pies kudłaty, co pilnuje naszej chaty". Natomiast koty, których w czytance nie było, są zrusyfikowane. Wąski na ogół.

Spośród żyjących mieszkańców wsi w Polsce urodziło się pięć osób, z tego tylko jedna Polskę pamięta. Pozostali przyjechali do Wierszyny będąc dziećmi.

Przyjechali w 1910 roku w ramach tzw. reformy Sto-łypina. Jeszcze w końcu poprzedniego wieku wprowadził ulgi dla chłopów, którzy zechcą osiedlić się na Syberii.

Przesiedlali się więc z ubogich przeludnionych wsi Rosji, Białorusi, Ukrainy i - z Polski. Z Krakowskiego, Kieleckiego i Zagłębia przyjechało najpierw paru chłopów, żeby sprawdzić, co to jest Syberia. Powiedzieli potem w domu: las jest tak blisko, że jak zrabiesz sosnę, to prosto do pieca leci. A drzewo darmo dają. To zadecydowało. Zebrali "wozy, pługi i kufery" i przyjechali "po żelaznej drodze". Dostali po przyjeździe ziemię i las. Wymienili u Buriatów portki na siekiery. Tymi siekierami cięli las i stawiali domy. I pozostali w Wierszynie na zawsze. Sześćdziesiąt lat mieszkają na Syberii. Przez ten czas nikt do nich z Polski nie przyjeżdżał. Gazet polskich nie prenumerują, bo czytają słabo. Nauczyciel polskiego był do 1929 roku. Do 1941 był ksiądz. Obchodzą Boże Narodzenie i Wielkanoc według katolickiego, a nie prawosławnego kalendarza. Modlą się tylko starzy, ale wszyscy chrzczą swoje dzieci. Ponieważ księdza nie ma, chrzczą je sami wodą. Specjalnie kiedyś do Irkucka, do księdza jeź-

dzili, żeby powiedział, jak leje się wodę i co się mówi. Na pogrzebach śpiewają po polsku, ale mają z 'tymi kłopot, bo poumierali ci, którzy znali żałobnicze pieśni.!

Strojów ludowych już nie mają. Ostatnim był strój; krakowski Mirka Błażeja, ale kazał się w nim pach- : wać.

Na cmentarzu są polskie napisy: Konieczna Monika Józefowna, Janaszek Roman Stanisławowicz, W napisach są błędy. W słowie "umarł", na przykład, nigdzie nie ma końcowego "ł". Wszyscy każą się chować "w ojczyźnie, w Wierszynie znaczy". Nawet ci, którzy wyjechali z niej i zawierali małżeństwa z Rosjanami. Ich rosyjscy małżonkowie przywozili skądś, z głębi Rosji, trumny i mówili: on sobie życzył tego.

Na wszystkich grobach stoja krzyże. Na jednym jest krzyż i czerwona gwiazda. Leży tu Władek Nowak, komsomolee. Jego ojciec chciał krzyż postawić, a kom-somol gwiazdę. Więc gwiazdę przymocowali do krzyża.

W grób Witka Kucka jest wetknięta butelka moskiewskiej wódki i szklanka na niej. W prawosławne zaduszki - tzw. "roditielski. dzień" - Rosjanie przychodzą na cmentarz wspominać najbliższych. Jedzą przy tym, piją, płaczą, a czego nie dopiją i nie dojedzą, zostawiają tym, których wspominali. Jest więc na grobie nie dopita wódka: znak, że rosyjscy przyjaciele przyszli na polski cmentarz i Witka Kucka wspominali.

Wśród Rosjan mają wielu przyjaciół. Rosyjskie dzieci mówią świetnie po polsku, a Kolka Danielenko gra na garmoszce "Czyje to polusie nie orane, mojego Ja-sieńka zaniedbane" i "Dziewczyno ty moja, ty ulubiona, daj buzi, daj buzi, będziesz zbawiona..."

Mówią gwarą, do której wtrącają spolszczone rosyjskie słowa. Nie zdają sobie z tego sprawy. Tylko nauczycielka, która uczy w rosyjskiej szkole, ma niejasne

10

e, że język, którym mówi, nie jest językiem lite-c. 'zadaje mi dziesiątki rzeczowych pytań. - A lak się właściwie mówi - nadziewałka czy nadzle-jjca? _ A co to jest? - No, soroczka (koszula męska). Albo: - Kiedy się mówi "kiej", a kiedy "kaj"...? Czytają o Polsce w prasie radzieckiej i wiedzą oczywiście, że się po wojnie zmieniła. Ale nie potrafią sobie tego wyobrazić. Natomiast tę Polskę, którą z rozrzewnieniem wspominali rodzice - widzą, wyobrażają sobie. Polskę 1910 roku. Polskę najbiedniejszych podkrakowskich •wisi. Pewnie dlatego mówią rzeczy bardzo dziwne. Np.: - Zostań do jutra, Hania, traktor zobaczysz. Albo z wahaniem: - Czy w Polsce ludzie chodzą bosy? Bo nasze matki chodziły bosy i mówiły, że butów szkoda na co dzień. - Teraz w Polsce wszyscy mają buty - powiadam. - A, no tak...

Dostatek

Gospodarstwa mają zasobne. 0,60 ha każde, jak przewiduje regulamin kołchozu dla działki przyzagrodowej. Ale na tym kawałku ziemi - wszystko, co uda się zmieścić: dom, stodoła, obora, chlew, kurnik, sad, ogród warzywny, szklarnia, ule... Ponieważ tajga jest dookoła, a drzewo nadal bezpłatne, więc wszystko buduje się z drewna. Zimą tylko drewnem palą. Całe gospodarstwo przegrodzone jest płotami - oddzielnie pasieka, szklarnie, sad... Stwarza to wrażenie przytulności i porządku. Dom składa się z dwóch izb (pośrodku jednej izby stoi ogromny rosyjski piec), jest też w ogrodzie letnia kuchnia. Wszędzie, i w domach, i w ogrodzie, jest niezwykle czysto. Pietrasowie trzymają dwie krowy, dwie jałówki, jednego byczka, dwie świnie, kaczki, gęsi indyki, 25 kur. Sąsiedzi podobnie. Żywno-

11

soi nie ibuiipuiją wcale. Nawet chleb sami pieką. Mięso solą, wędzą i mrożą. Jedzą je codziennie. Trochę mięsa sprzedają. Sprzedają też kartofle, warzywa, owoce. Samych pomidorów mają po 100 kg z jednej szklarni. Rocznie dostają za to 500-600 rubli. Miesięczny zarobek kołchoźnika wynosi 120-140 rubli i właściwie wszystkie pieniądze mogą przeznaczyć na oszczędności.

Mówią, że nigdy im jeszcze tak dobrze nie było jak przez ostatnie dziesięć lat. Żeby itylko 'pokój był i żeby człowiek miał siłę pracować...

Lubią pracę. Władze kołchozu nie mogą się ich na-chwalić. W wielonarodowym kołchozie "Družba" są cztery brygady: rosyjska, ukraińska, buriacka i polska. I brygada polska jest ze wszystkich najlepsza. Zajmuje pierwsze miejsce w całym rejonie. Osiąga do 36 kwintali pszenicy z ha (średnia kołchozu dla zbóż wynosi 14 kwintali).

Pracują w kołchozie i w swoich gospodarstwach ciężko, ale dostają należyta zapłatę. W kołchozie powszechnie wiadomo: Polacy najlepiej pracują i najlepiej żyją. Najwięcej telewizorów, motocykli i pralek jest właśnie w polskiej wsi. Zachęcają do pracy w gospodarstwie wszystkich członków rodziny. Także dzieci. Jeżeli nie można tego pogodzić z nauką, to po prostu nie posyłają ich do szkół. Zapewne z tym właśnie związany jest fakt, że tak mała część wierszyńskiej młodzieży idzie na studia. W całej dotychczasowej sześćdziesięcioletniej historii wsi wyższe uczelnie ukończyło zaledwie pięć osób.

W marzeniach, które przywieźli ze sobą ich rodzice, było miejsce dla dwóch rodzajów karier - księdza i nauczyciela. Księdzem teraz zostać trudno, pozostaje

więc druga możliwość i dlatego być może spośród tych, którzy ukończyli studia, i którzy studiują teraz, większość wybrała uczelnie pedagogiczne.

Buriaci, których w tej okolicy jest wielu i którzy niedawno'jeszcze w odzieży ze skór chodzili, a pierwsze tkane spodnie zobaczyli wtedy, kiedy dostali je za topór od Polaków - chętniej wyruszają do miast na uczelnie. I ponieważ mają stosunkowo wysokie wykształcenie - zajmują stanowiska wymagające kwalifikacji i najbardziej eksponowane zarazem: przewodniczącego kołchozu, zootechnika, głównego lekarza, ekonomisty, dyrektora szkoły... W miejscowej sz-kole jest dwóch nauczycieli Polaków, trzech Rosjan, a B-urłatów dziesięciu. Polacy w Wierszynie tych aspiracji nie podzielają. Uważają, że jeśli ktoś woli się uczyć, to po prostu dlatego, że mu się pracować nie chce.

Nauczycielka miejscowej rosyjskiej szkoły, Natalia Janaszek, próbuje zachęcać swoich rodaków do nauki tym bardziej, że dzieci polskie są bardzo zdolne. Na razie jej się to nie udaje. Kilka dni temu znowu poruszano na sielsowiecie (radzie narodowej) sprawę paru rodzin z Wierszyny, które nie posyłają dzieci do szkół.

Nauczycielka rozumie oczywiście, że to się wkrótce zmieni, że telewizja, której we wsi coraz więcej, wpływ miasta,, rozwój cywilizacji zrobią swoje. Że już na pewno te dzieci, które teraz we wsi podrastają, będą miały inne niż ich ojcowie marzenia... Ale chciałaby, żeby wszystko to szybciej następowało.

Obiad

Tymczasem robi się późno. Przewodniczący kołchozu wrócił z rajkomu. Mówi, że już zawiadomił przodowników pracy - tego, który przez osiem dni obsiał 830 ha pszenicy, tego, który zasiał kukurydzę na 200 ha, i przodujące dojarki, i najlepsze pracownice fermy kurzej, i zaraz będziemy mogli zasiać do stołu.

1

13

12

Stół ustawiono w sadzie Pietrzyków. Sad jest piękny, duży, oddzielony jak wszędzie płotem od reszty gospodarstwa. Obok jest letnia kuchnia - kobiety przygotowują tam przyjęcie. Ustawiły na stołach jajka, sery, kury, grzyby, mięso, kompoty, owoce marynowane, wszystko swojej, domowej roboty, wyciągnięte właśnie ze spiżarni i piwnic.

Siadamy. Ja, gość - na honorowym miejscu - między przewodniczącym kołchozu i przedstawicielem władzy radzieckiej (Maślągiem), naprzeciwko brygadzisty Pietrzyka. Przewodniczący kołchozu daje znak przewodniczącemu rady narodowej, Maśląg wstaje i przez wzgląd na obecność przewodniczącego zagaja po rosyjsku: - Dla powitania, delegacji korespondentów polskich na czele z Hanną Krall udzielam głosu towarzyszeni Pietrzykowi...

Brygadzista Pietrzyk mówi o nich, o Polakach syberyjskich. Tak właśnie określają siebie. Mówi o ich ojczyźnie - Związku Radzieckim. Dla nich istnieje tylko !ta jedna, radziecka, syberyjska ojczyzna. I kończy:

- Mieszkamy tu 60 lat i nasze (dzieci mówią po polsku i jeżeli za 60 lat inny korespondent przyjedzie, to dzieci, które wtedy tu zobaczy, fez będą mówiły po polsku...

Pytają, co na .mnie zrobiło w Wierszynie największe wrażenie. Że między ich przyzagrodowymi polami - mówię - nie ma miedz. I że dzieci mówią w nocy przez sen po polsku...

Wiedzą, co to jest miedza, ale nie rozumieją, dlaczego akurat brak miedzy może robić jakiegokolwiek wrażenie. Mojego (pytania o walkę o miedzę też nie rozumieją, więc już nie 'tłumaczę.

- Naszego sybirskiego Polaka nie obraził tu nigdy

Ani Ruski, ani Buriat, ani Chochoł - wraca jesz-do najważniejszego brygadzista.
- A łączy nas wszystko, co przeżyliśmy razem. I czterdziesty pierwszy rok, kiedy wojowaliśmy w [syberyjskiej dywizji pod Moisisfcwą. I czterdziesty czwarty rok, kiedy jedliśmy wszyscy korzenie cyranlki. I trzydziesty siódmy, kiedy przyjeżdżali nocą do doimów. Po nich i po naszych jednakowo. A teraz łączy nas to, że tak dobrze, tak spokojnie już można żyć.

Wiedzą, kto w 1937 roku podsunął komu trzeba nazwiska niektórych Polaków z Wierszyny. Wiedzieli zawsze. I nawet po roku 1956, kiedy ludzie już wiracali, a do Wierszyny nie wrócił nikt - nawet wtedy nie zabili 'go. Chodzili do niego i mówili - przez ciebie zginął mój ojciec... A on mówił im - ludzie, darujcie... Kiedy umarł, na jego pogrzeb nie poszedł nikt, ani jeden człowiek, choć 'zawsze na wszystkie pogrzeby chodzi solidarnie cała wieś.

Do naszego stołu w sadzie Pietrzyków podeszła małeńka stara Buriatka.

Natychmiast wistali i zrobili jej miejsce. Pośpiesznie podali nakrycie.

- Gdyby ona przyszła do mojego domu - zwrócił się do wszystkich Pietras - i gdyby powiedziała - nie mam gdzie żyć, powiedziałbym: zostań z nami na zawsze. I każdy w Wierszynie zrobiłby tak...

- Każdy - potwierdzili za stołem.

- Kiedy w 1937 zostałam bez rodziców, sama, z młodszym rodzeństwem i kiedy nikt nam nie odważył się pomóc, ona, ta Buriatka, przyniosła nam ukradkiem chleb - szepce Natalia Janaszkowa.

Dziewięćdziesięciosiedmioletnia kobieta orientuje się, o czym mówimy, uśmiecha się i obie rozumiemy dobrze, że nie ja jestem, już honorowym gościem przy 'tym stole.

Moskiewskiej i pomarańczowego likieru jest już w

15

14

butelkach coraz mniej. Zebrani porzucili oficjalne formuły, nie zwracają się już do siebie po "otczestwu". Ndc dziwnego. Wszyscy siedzący za tym stołem, tak jak i cała wieś, są spokrewnieni między sobą. Brygadzista Piętrzy k to, okazuje się, bratanek Figury, kierownika fermy. Figura to szwagier przewodniczącego Maśląga. Maśląg to brat Nowakowej, Figurowej i Korczakowej, a mąż Nowakowej, czyli szwagier Maśląga, to kierownik stajni i brat...

- Bardzo Itrudno ikierować taką brygadą - powiada Pietrzyk. - Zwrócisz komuś uwagę, to zaraz: "jak ty się zwracasz do wuja?" - mówi.

Spostrzeżenia Pietrzyka o jego brygadzie są bardzo ciekawe. Mówi, na przykład, że Polacy są straszliwymi indywidualistami, największymi w całym wielonarodowym kołchozie. Każdy ma o wszystkim własne zdanie. Każdego trzeba przekonywać z osobna, ale kiedy go się już przekona, to pracuje wspaniale.

Mają wyjątkowy zmysł humoru - żarty chwytają w lot i odpowiadają z miejsca żartami.

Najlepsze kołchozowe dowcipy mnożą ,się w polskim środowisku. Z pewnym zdziwieniem dowiadują się ode mnie, że wszystko to są tradycyjne cechy narodowe Polaków.

Polacy najlepiej w całej okolicy jeżdżą konno i świetnie polują. Zenek Mitręga upolował już 12 niedźwiedzi. Sam Pietrzyk, kiedy go żona prosi o futerko, idzie w tajgę i przynosi sobola. A ich gościnność przewyższa wszystko, co kiedykolwiek widziałam i co mogłabym wyobrazić sobie.

- A może iby pośpiewać trochę?

Natasza, przez dlonych zwana Natalcią, śpiewa:

Sztoż wy gołowy powiesili, wy sokoliki moi Nawierno wypit' zachotielł, alkoholiki moi...

_ - Nie, Natalcią, nie, tego nie trzeba śpiewać kores-ondentowi - strofuje' ja Bałwana Kania, dojarka. _ Już lepiej:
Prapjom siestru, progulajem brata, my nadziejmsa na to, szto Sybir bogata...
Starsze kobiety proponują, żeby coś po polsku.
Przychodzi Kolka Danielenko z harmonią. Natalcią prosi Pdetrzykową do tańca, a mnie Balwina Kania. Zanosí się na całonocną zabawę.
Rano Natalia Janaszkowa odprowadza mnie do autobusu. Szukamy tego autobusu po całej wsi, bo pada deszcz i nie wiadomo, gdzie dzisiaj stanie.
- Tak bym chciała pojechać trochę do Polski. Ale potrzebne zaproszenie, a my - tak się złożyło - nic nie wiemy o naszych rodzinach w kraju...
Trzymam chleb, który przed wyjściem wetknęła mi Natalia do ręki.
- Po co, już w Irkucku zjem.
- To nic. Trzeba wziąć. Trzeba zawsze kawałek chleba mieć na drogę...

16

2 - Na wschód od Arbatu

Pomnik z białego marmuru

Rodzina Władimira Dzineladze składa się z czterech osób. [Są to: rodzice, córka i syn.

Dokładnie taka sama była tamta rodzina, Stanisława Siwka, koło wsi Babiee, na Lubelszczyźnie. I dokładnie tyle lat, ile mają dziś dzieci Władimira Dzineladze, rnieli młodzi Siwkowie, kiedy ich rozstrzelano.

Władiimir Dzineladze po ucieczce z obozu jeńców w Kruszynie dowodził w 1943 roku oddziałem partyzanckim GL; znany był jako "Czarny Wołodia".

Rodzina Siwków zginęła, bo nie chciała powiedzieć, gdzie jest "Czarny Wołodia" i gdzie znajdują się partyzanci.

Dzięki milczeniu Siwków Władiimir Dzineladze żyje, założył w Tbilisi rodzinę i dom.

Dom "Czarnego Wołodi"

Żyje dostatnio'. W piwnicy itrzynna (tysiąc litrów wina, które powinno starczyć na rok. Na strychu - 24 stoły na wypadek, jakby goście dopisali. Na dachu ma pod-wóreczko. Takie, jakie były zawsze w starym Tbilisi, ale jakich nie ima już w nowych blokach. Ale Wołodia, podobnie jak wszyscy w jego osiedlu, urządził sobie

dachu. Z winoroślą i paleniskiem. na

a Wołodia ma malutkie gospodarstwo po rodzi-h Chyba wszyscy w Tbilisi mają malutkie gospodarstwa po rodzicach. Jakiś domek, jakiś skraweczek i Ale gruzińskiej ziemi: bogatej. Starcza więc na zaopatrzenie rodziny w wędzony i solony drób, mąkę kukurydzianą, orzechy, warzywa, owoce, wino i miód. Gdyby 'to sprzedać, byłoby ładne parę tysięcy rubli. Nic więc dziwnego, że kiedy wydaje się tutaj córkę za mąż, to człowieka stać na przyjęcie za te pięć tysięcy i na' zaproszenie 500 osób, i na posag za drugie tyle.

Córka Wołodi - Manana

Ma 18 lat, rok temu wyszła za mąż, nie jest to specjalnie wcześniej, właściwie w sam raz. Ma męża dobrego i z rodziny dobrej. Gdyby się uparła i chciała nieodpowiedniego chłopca, ojciec powiedziałby jej: proszą bardzo, ale w przyszłości na mnie nie licz i z niczym się nie izwracaj.

Ale Manana była rozsądna. I kiedy przyjaciel z frontu powiedział Wołodi - mam znajomego, dobrze go znam, pułkownik, syn jest bardzo spokojny i ma wyższe wykształcenie - Wołodia nie miał nic przeciwko temu.

Manana jest ładna i skromna jak wszystkie dziewczęta w Gruzji. No, może nie tak skromna jak były kobiety gruzińskie |>przed wojną - wtedy nawet rozmawiać nie

śmiały z mężczyzną przed ślubem - ale i tak - mówi Wołodia - jest jeszcze w Gruzji znacznie lepiej pod tym względem niż na świecie. - To wszystko przez filmy - mówi Wołodia. - Tylko roz-

18

bierają się w nich i całują. On miał rację, że nie szczał tych filmów do nas. Kiedyś jeden znajomy inżynier, nieraz, który siedział 20 lat, zaczął na niego gadać. PO, wiedziałem - wstyd! Ja gotów byłem za niego zgjąć nać i dziś bym walczył, gdyby trzeba było. W każdej rodzinie mężczyzna musi być mężczyzną. Jeśli mężczyźni na nie jest na swoim miejscu, to dom nie jest domem. Więc tym bardziej - całe państwo. Nie można trzymać mocno wszystkiego, w ręku. I on właśnie był mężczyzną w naszym państwie.

A więc Manaina, jak wszystkie jej koleżanki, wychowała się surowo i obyczajnie. Gdy jeszcze chodził do szkoły, zawsze szła prosto do domu, a jak ojciec wracał z pracy - z nim wychodziła na spacer.

Po weselu Mariana zamieszkała w domu rodziców swojego męża. Zawsze syn dziedziczy rodzicielski dom więc Wołodia zostawi swój dom synowi. Córka otrzymała muje posag i idzie do domu teściów.

Starosta uroczystości - tamada - wznosił na ich weselu bardzo piękne toasty i życzył im i ich przyszłym dzieciom dwóch rzeczy: żeby byli dobrymi patriotami Gruzji i żeby mieli wyższe wykształcenie.

Droga przez wschodnią Gruzję

Karnalet, Najurodzajniejsze ziemie Gruzji. To tu: właśnie pomidory są największe, winogrona najśłodsze i brzoskwinie najbardziej pachnące.

Spotykamy Kaka Kachetalidze. Kaka również walczył w Polsce, był w partyzantce w okolicy Końskich. Zaprasza na wino.

Knajpka stoi gdzieś na uboczu, w polu prawie. Alei podają -tu misy owoców starannie przystrojone i mięso|

a ,który jeszcze nie jadł trawy, a nawet rybę szarańczę (wrzuca się ją żywą do mocno osolonej wody, pół godziny ryba zdycha i potem już tylko suszy się ją na słońcu).

Podchodzi przyjaciel Kaka. Chce nam wyznać, jak bardzo jest szczęśliwy, iż jego przyjaciel znajduje się w tak dobrym towarzystwie jak nasze. I przysiadł przy przyjacielu tego przyjaciela, Suliko, by opowiedzieć, jak pewien znajomy starzec mówił mu dzisiaj: - Mój Boże i po te dwadzieścia pięć kilo ziemi latali aż na księżyc. Toż ja bym im za darmo dał. I dwa razy tyle. I gruzińskiej, więc lepszej.

I jeszcze szwagier Suliko - AmibrOsi, kucharz, przychodzi się usprawiedliwić: bakłażany nie były tak młode, jak powinny być.

A potem wznosi się toasty.

Na cześć Kaka, skromnego kierownika piekarni, o którym całe Karnalet wie, jak piękną ma duszę, jak bardzo jest pracowity, jaką ma rodzinę i jak dobrze włada językiem niemieckim jego ciotki, która ukończyła Instytut Języków Obcych.

Na cześć Waliko, który przez 12 lat wozził rząd Gruzji, a teraz nie musi już, bo ma własną "Wołgę", ale nas dzisiaj przywiózł tutaj.

Na cześć każdego z nas, obecnych przy stole, naszych cnot, rodzin, pięknych wspomnień i tych, którzy nas czekają, gdziekolwiek są teraz.

Ruszamy w dalszą drogę. Po dziesięciu minutach spotykamy znajomego Waliko - lekarza Czcheidze. I znów siedzimy przy jakimś stole. Jak na obrazach Pirosmaszwili widać za nami drzewa i ośnieżone szczyty Kaukazu i niosą nam wino, owoce i ser. Lekarz opowiada, że w ich tbiliskim instytucie onkologii chemik nazwiskiem Karcziauli wynalazł miksturę, która leczą raka skóry. Już wieść o tym się rozniosła i już

20

21

przyjeżdżają do nich zewsząd chorzy. Jest bardzo prawdopodobne, że właśnie tu, w Gruzji, znajdzie się lek stwo ostateczne na raka.

Ruszamy w dalszą drogę.

W sowchozie, który mijamy, szwagier Wołodi jest agronorem. Można by na chwilę zajść. Na szczęście! dziś jest niedziela i szwagra nie ma w domu.

Ruszamy w dalszą drogę...

Gori

Na centralnym placu przed gmachem rajkomu i na-1 przeciwko kawiarni - stoi pomnik. Dziewiętnaście lat temu na pobliskich ulicach dyżurowały samochody. Kiedy próbowano pomnik zdjąć, dawały znak klaksnem. Na ten sygnał zbiegali się ludzie. I tak dzień i noc. I pomnik pozostał.

W mieście jest oddział Inturista. Dla obsługi cudzoziemców, którzy przyjeżdżają zobaczyć jedyną tury styczną atrakcję Gori: pomnik, dom, w którym się urodził, i muzeum. W muzeum leżą im. in. fotokopie kilku wierszy, które pisał jdszycze w seminarium duchownym w Tyflisie. Oto zakończenie jednego z nich:

No wmiesto wieliczja i sławy

Ludi jego ziemi

Otwierzcznomu otrawu

W czasie priepodniesli ,

Skazali jemu: proklatyj,

Piej, osuszi do dna,

I pieśnią twoja czużda nam

I prawda twoja nienużna.

22

Mccheta

Dawna stolica Gruzji. Najstarsza świątynia, XI wiek, siedziba katolicko-ortodoksyjna.

Przewodnik: - Ten kościół, to jeśli nie liczyć Jerozolimy, najświętsze miejsce na świecie. Bo w Jerozolimie jest wprawdzie ciało, ale tu, w tych podziemiach, zaikopana jest, towarzysze, koszula Chrystusa. Tak, właśnie, towarzysze, w Gruzji.

Groby ostatnich carów gruzińskich - Heraklita II i Giorgia XII - za jego panowania właśnie Gruzja została w 1801 roku przyłączona dobrowolnie do Rosji. Obok carów - groby książąt Bagration-Mucharskich. Konstanty Bagration-Mucharski padł w Galicji, atakując na czele piątej raty nieprzyjacielskie pozycje we wsi Zagrody. Uspokoj, Gospodi, duszu raba twojego!

INaprzeciwno kościoła, na wysokich skałach, stoi klasztor. Kiedyś obie te budowle łączył most. Ale pewnego razu szedł mostem zakonnik i zobaczył w rzece nagie kobiety. Nie wiadomo, co pomyślał - tylko pomyślał oczywiście - ale żeby więcej nie mógł nawet myśleć, most się załamał i mnich wpadł do Aragwi.

Ulica Ararat w Tbilisi

Leży na wysokim, groźnym, urwistym brzegu Kury. Jest cała w podwórcach, ganeczkach, werandkach i winorośli.

Na ulicy Ararat jest dwanaście domów i stoi dziesięć prywatnych aut. Dlaczego stoją tu, a nie gdzieś nad brzegiem morza? Przecież jest sobota. Na pewno szkoda używać? Ha, ha, to ja nie znam Gruzinów. Oni dopiero co wrócili i jeszcze śpią. Sobota jest dniem wolnym od pracy i ludzie lubią w piątkowy wieczór

23

zabawić się. Ależ skąd, oni tylko wozili -tych, którzy zabawiali się w piątkowy wieczór. Bo wszyscy mieszkańcy ulicy Ararat to robotnicy, którzy muszą bardzo

ciężko 'pracować i w nocy, i w dzień, żeby zapewnić sobie taM poziom życia, jaki Gruzinowi przystoi.

Na ulicy Ararat jest dwanaście domów, dziesięć prywatnych aut, siedmiu studentów i dwudziestu młodych ludzi, którzy właśnie próbują się na studia dostać. Nela zdaje na administracyjno-finansowy, bo chce iść na filologię gruzińską. Na filologię jest piętnastu kandydatów na każde miejsce, a na finansowy tylko czterech, więc na filologię Nela przeniesie się za rok. A kolega zdaje na ruisycystykę, bo chce iść na historię. Na historii jest już dwadzieścia sześć osób na jedno miejsce.

parę skrzyń owoców wybierze. Sto kilo pięknego mięsa dostarczy (kierownik sklepu, też przyjaciel ,z wojny. A w sklepie jubilerskim nie pracuje co prawda przyjaciel, tylko po prostu ktoś, tato za jakimś stołem powiedział: - Wołodia, ty wiesz, jakby co, to ja zawsze... Więc od tyłu, w magazynie, możemy zapytać o ładne widelce. Widelców nie ma, ale przyjemniej dowiedzieć się o.itym od tyłu niż po prostu przy ladzie. Przed tym sklepem stoi milicjant Koczua, komendant oktiabrskiego rejonu, pracował kiedyś z Wo-łodią czy może z żoną WoJodi, i mówi, że rejon przoduje, bo wykrywalność rośnie', a przestępczość spada. Czy to możliwe, by wszyscy Gruzini znali się między sobą?

Bazar w Tbilisi

Na dole stoją Azerbejdżanie i Ormianie. Nie rozpoznałabym ich, ale Wołodda mówi, że to bardzo łatwe. Wystarczy popatrzeć na ito, co sprzedają: zieleninę, kin-zi, marchew. Gruzin oie wziąłby tego do rąk - małe, brzydkie i brudne rzeczy. Gruzin handluje itylko tym, co jest duże i piękne. I rzeczywiście, na górze są Gruzini i sprzedają brzoskwinie, melony, pomarańcze. Teraz już wiem, jak poznawać narodowość na bazarze: według urody towarów.

Za straganem sprzedaje coś chudy staruszek. To też nie może być Gruzin. Takiemu starcowi Gruzin nie pozwoliłby stać. Dałby mu 30 rubli do ręki i powiedziałały: Idź pospaceruj, wina się napij i pośpiewaj sobie. W Gruzji szanuje się starość. Spotykamy kierownika bazaru - kolegę Wołodi z wojny. Jak jakieś przyjęcie, to kolega zawsze te

Gazetka ścienna

Na ulicy Szoty Rulstawelego, centralnej ulicy miaista, wisi gazetka ścienna. Ostatni jej numer przynosi nową porcję karykatur i zdjęć.

Tak sprzedawała koszule męskie spekulantka, obywatelka Seda Kałdaehcan. Obok rysunek pokazujący, jak sprzedawała koszule. I fotografia obywatelki Se-dy. Tak zbił pracownik "Metroisttroju" Rowaz Szamo-jez obywatelkę N. dnia 9. 06. 1969 r. Zdjęcie pracownika "Metrostroju".

I na najbardziej widocznym miejscu - rysunek ośmieszający narkomanów. Lecą w przepaść. Widać ośnieżone szczyty gór i gigantyczne strzykawki z igłami, które ich spychają. Niżej są nazwiska narkomanów, a także ich fotografie.

25

1

Cmentarz w Tbilisi

Jest to bardzo piękny cmentarz. Wszędzie czarny granit. Wszystkie grobowce, pomniki, -krzyże i rzeźby czarne. Właściwie jest ito wykuta w czarnym granicie kompozycja przestrzenna.

Czarny granit jest bardzo drogi. Taki grób kosztuje więc 2-3 tysiące rubli (około 60 000 zł) a są -nierzadko po 10 tysięcy i droższe. Ludzie potrafią się wyprzedzać, byle tylko ich grób nie był mniej piękny od innych.

Pomnik powinien być gotowy w rok po śmierci. W 40 dni po śmierci zbierają się krewni, jedzą, piją, ale smućą się przy tym. A po iroku, kiedy pomnik już stoi,

zbierają się znów i itym razem jest im wesoło. Wznosi się toasty. Pierwszy toast - zawsze za zmarłego. Jaki był, co dał nam, co mu zawdzięczamy i że zawsze będziemy nosili go w sercach. Dzieci są obecne: muszą wiedzieć, jak powinny, - kiedy dorosną, wspominać swoich rodziców.

Pomnik z białego marmuru

- Nie, nie słyszałem ich dobrze. Oni odpowiadali cicho, więc tylko z krzyków Niemców orientowałem się, co mówią. Zresztą nic prawie nie mówili. Siwek powtarzał tylko - nie widziałem żadnego partyzanta, nie znam żadnego Wołodi... A oni znowu - do kój go "Czarny Wołodia" chodził, jalką partyzanci ma|| broń. A Siwek - nie wiem nic o partyzantach...

Najpierw zastrzelili Siwka. Potem Śliwkową pyt; ale milczała. To córkę zaczęli bić. Potem znów mat pytali, ale ona znowu nic nie mówiła, więc zastrzelili) córkę. Potem zaczęli bić syna - i znowu ją pytają.

Ona pośrodku stała. Z jednej strony już leżał mąż i leżała córka, a z drugiej bili syna. Jasne, że wiedziała, gdzie rannego zanieśliśmy i kto nam pomaga. Zasłoniła tylko twarz rękami. Potem chłopak rzucił się w krzaki, tam gdzie leżałem. Puścili serię z automatu i upadł jakie 50 metrów ode minie. I dopiero wtedy ją zastrzelili. Ja miałem tylko dwa granaty przy sobie, a ich było dwustu...

...Ona nosiła zawsze czarną sukienkę i czarną chustkę na głowie, jak nasze kobiety w Gruzji. Leżeli tak trzy dni, zanim pozwolono ich pochować. Ja miałem jeszcze rewolwer oprócz tych dwóch granatów, ale ich było dwustu...

...Jakbym rzucił te dwa granaty, ito wtedy już by dowiedli, że są partyzanci we wsi, i wymordowałyby całą wieś. Ja jeden byłem tylko w 'tych krzakach. Wyszedłem z lasu, żeby zobaczyć, co jest z Siwkami, uprzedzałem ich, że Niemcy znaleźli opatrunek rannego koło domu, i kazałem uciekać. Aile nie uciekli, nie zdążyli, czy gospodarstwa nie chcieli zostawić. Nie wiem. Więc wróciłem, żeby ich siłą zabrać, ale jak podczołgałem się do krzaków, to już byli Niemcy we wsi i oni stali przed domem. .

Ja irn postawię z białego marmuru pomnik. Zawiozę go z Gruzji do Babie. Czy myślicie, że każą mi zapłacić cło? Niech spróbują tylko. Za wagę - proszę bardzo, ale cło ani mi się śni.

Litery będą złote. Napiszę o ich odwadze, rodzinie, zasługach. Tak, jakby to był toast. Ten pierwszy toast, jaki się wznosi w Gruzji, kiedy pomnik jest już gotowy.

I musi być wyryty róg. Taki, z jakich pije się u nas wino. I napiszemy, że my, partyzanci gruzińscy, którzy walczyli w Polsce, wnosimy toasty za nich i za nich pijemy.

26

Prezent dwóch rosyjskich kobiet

W wyniku trzęsienia ziemi w 1966 roku uległo w Taszkencie zniszczeniu blisko dwie trzecie wszystkich szpitali, sklepów, żłobków i szkół.

iW mieście, liczącym milion mieszkańców, co trzeci człowiek został bez dachu nad głową. Obecnie na jedną osobę przypada 5,4 metra kwadratowego powierzchni mieszkalnej. (W roku 1917 przypadało o jedną dziesiątą metra kwadratowego więcej).

Taszkientowi pośpieszyły z pomocą setki ludzi z całego kraju. Usunięcie wszystkich skutków trzęsienia ziemi potrwa około siedmiu lat.

Zbudowano już dwa wielkie osiedla: Masyw Oktiabr-ski i Cziłanzar. Masyw - to tradycyjne jednorodzinne domki. Cziłanzar - nowoczesne bloki wielopiętrowe.

Każdy z poszkodowanych miał możliwość wyboru. Większość Rosjan i młodych Uzbeków wybrała nowoczesność. Starzy Uzbeki - tradycje. Na działkach przyznanych przez miasto każda rodzina - sama lub przy pomocy krewnych - izbudowała sobie dom.

Budowano itak, jak od setek lat buduje się w Uzbekistanie. Najpierw stawia się drewniany szkielet domu. Potem wypełnia się go gliną wymieszaną z kawałkami słomy. Z zewnątrz smaruje się gliną jeszcze raz - i wszystko wysycha na słońcu. Całość: dom, budynek gospodarczy i podwórko - otacza się mu-

rena. Mur jest także z surowej gliny, wysoki na dwa metry, z furtką, przeważnie zamknięta na klucz.

Osiedle na Masywie jest ogromne. Już stoi kilka tysięcy domków, ulice ciągną się kilometrami, a z zewnątrz jest tylko ten wysoki żółtawy mur.

Życie mieszkańców ukryte jest za murem, na podwórzu. Rośnie tam trawa i kilka owocowych drzew, wiszą sznury iż bielizną, biegają kury i stoi tachta, rodzaj ogromnego łóżka na niskich nóżkach, przykrytego dywanem, na którym pije się z porcelanowych miseczek zielony "czaj".

Mieszkańcy kilku lub kilkunastu domów są spokrewnieni między sobą. Bracia, dzieci, wnukowie budowali zawsze swoje domy w pobliżu i kiedy przenoszono się na Masyw Oktiabrski, wszystkie więzy rodzinne i sąsiedzkie zachowano. (Teren zamieszkały przez jedną taką wspólnotę rodowo-sąsiedzka nazywa się machalla). Władze przydzielały działki, uwzględniając starannie tradycyjne powiązania. Jeden tylko dom na Masywie jest inny. Drewniany, z dużymi oknami i napisem na ścianie:

TEN DOM PODAROWAŁY TASZKIENTOWI
MIESZKANKI MIASTA SEWASTOPOLA, MAKSIMOWE...
DECYZJĄ RADY NARODOWEJ PRZEKAZANY
ZOSTAŁ RODZINIE ISŁAMHODŻAJEWA,
KTÓREGO SYNOWIE ZGINELI ŚMIERCIA BOHATERÓW
W WIELKIEJ WOJNIE OJCZYŹNIANEJ.
WRZESIEŃ, 1967 ROK.

Dom zmontowany z drewnianych elementów przysłano zaraz po trzęsieniu ziemi, kiedy każdy przysyłał Taszkientowi, co tylko mógł. Kupiły go (za oszczędności całego swojego życia dwie samotne kobiety. Napisały list: prosimy przydzielić go najzwyczajniejszym, niczym nie wyróżniającym się ludziom. I jeden tylko postawił warunek: "By ludzie ci kochali ziemię i sad".

29

28

Dom-prezent miał cudowną właściwość. Na całej trasy, od Sewastopola do Taszkientu pokonywał wszystkie formalne przeszkody i wyzwalał w ludziach dobre uczucia. Kiedy się okazało, że nie można go załadować na małe towarowe wagony, a duże kosztują dwa razy drożej, władze kolejowe postanowiły przewieźć go za darmo. Kiedy się okazało, że nie wolno go załadować w całości, tragarze sami rozebrali go na części. Kiedy po przewiezieniu okazało się, że trzeba dobudować specjalny fundament, zrobili to żołnierze bezinteresownie.

Teraz mieszka tu Isłamhodżajew, starzec z siwą brodą w pasiastym długim chałacie. Ma 80 lat. Ani on, ani jego czterdziestoletnia żona rosyjskiego nie znają. Tłumaczy mój opiekun, z uzbeckiego MSZ.

Kiedyś w dzieciństwie Isłamhodżajew zobaczył, jak starzec z siwą brodą krzyczał na innego brodatego starca, ponieważ był to jego syn. Bardzo mu się to spodobało. Mając więc 15 lat ożenił się z młodszą o rok dziewczyną. Kiedy miał 17 lat, urodził się pierwszy syn. Kiedy miał 18 - drugi. Pierwszy syn miał kiedyś usiąść po jego prawej ręce, a drugi po lewej i wszyscy mieli, rozczesując swoje siwe brody, popijać na tachcie herbatę.

Ale wybuchła wojna. Ten syn, fetory miał siedzieć po prawej stronie, zginał pod Sewastopolem. Ten, który po lewej - pod Smoleńskiem. Trzeci syn został śmiertelnie ranny i wrócił do domu, by umrzeć. Matka umarła po nim.

(Mając lat sześćdziesiąt Islámhodżajew ożenił się ponownie - z dziewczyną młodszą o 40 lat.

- Może ona, ta z Polski - zwraca się do tłumacza - myśli, że ożeniłem się wbrew woli tej kobiety? Nie, powiedz jej, że ożeniłem się za jej zgodą.

_ - A może ona, ta z Polski, myśli, że ożeniłem się wbrew woli jej matki? Nie, powiedz jej...

_ . Nie - mówi tłumacz , - on nie ożenił się wbrew jej woli. I dodaje: ona była rozwódką. Jej mąż pił strasznie i bił. A pozycja Uzbeczki - rozwódki... Stary kroi scyzorykiem chleb na duże kostki i każdemu z nas daje po kawałku. Nalewa zieloną herbatę. (W każdym domu częstowano mnie herbatą i proponowano uzbecki płow. Wstępowałam wszędzie nieproszona. I nie zdążyłam wyjaśnić dlaczego - a już gospodarze mówili: "Proszę, proszę, właśnie jest świeża herbata". Mówili jak do gościa, którego zaprosili, na którego czekali i który właśnie wszedł). - Czy ona zapisała nazwisko tych rosyjskich ko-bieit z Sewastopola? - upewnia się Islámhodżajew. - Oprócz domu przysłały nam jeszcze samowar, dwa czajniki, dwanaście filiżanek, jeden obrus. A kiedy przyjechały, przywiozły ze sobą łopatę, grabie i kilka owocowych drzew. I my posyłamy im prezenty. Osiem kilo suszonych owoców posłaliśmy i świeże pomidory. Pomidory to od razu posłaliśmy, jak tylko pokazały się na rynku i były po trzy ruble za kilogram. Wypijamy herbatę i wychodzimy: przyszedł gość. Ma pewną, bardzo ważną sprawę. Islámhodżajew jest najstarszy w tej machalla. Ma więc zawsze dużo gości i .musi rozstrzygać mnóstwo bardzo ważnych spraw.

Wykład profesora Chamida Zijajewa o istocie machalla

Instytucja ta wywodzi się bezpośrednio z epoki Wspólnoty pierwotnej i zachowała swą rodową strukturę do dziś. W skład machalla wchodzi około 20-30

31

1

30

rodzin. Machalla posiada własny majątek: wspólne na-* czynią, stoły, ławy, kotły do gotowania itd. Ale, na przykład, pralek nie ma. Obaj uczeni - profesor Zija-jew, dyrektor Instytutu Historii, i doktor Szamiazow, etnograf - śmieją się serdecznie z mojego pytania., Co iza pomysł! Kocioł do gotowania płowu - tak. Al pralka? Wszystko to znajduje się w domu i w dyspo zycji machalla-kamisa, najstarszego członka wspólnie ty. Maehalla-kamis (akcent na drugiej sylabie) ota czany jest powszechnym szacunkiem. Nie można przejść nie ukłoniwszy mu się. Kiedy wchodzi, wszyscy powinni wstać, a machalla-kamis zajmuje honorowe miejsce. Jego rady zasięga się we wszystkich ważnych sprawach. Z nim ustala się datę ślubu i wybiera ten dzień, który on wskaże. Z mm układa się listtę gości weselnych: czy zapraszamy tylko naszą machalla, czy i sąsiednie. A jeśli przedstawiciele sąsiednich machalla, to ilu. Kto będzie witał gości u wejścia, kto będzie gotował płow, kto będzie za chleb odpowiadał. To bardzoj ważne problemy, bo na weselu rzadko bywa mniej niż 300 osób.

Opinia machalla jest opinią wiążącą. Liczą się z ni wszyscy członkowie i niewątpliwie tym głównie tłuma czy się fakt, że w Taszkientie jest tak niewiele chuli gaństwa, kradzieży i przestępstw. Machalla kontroluje w zasadzie całą sferę osobistego życia swoich członków. A że na jej czele stoją starsi, więc normy zachowania, które dyktuje się młodemu, są bardzo tradycyjne. Zapewne dlatego właśnie co trzecia uzbecka dziewczyna w wieku 16-19 lat jest mężałtką, choć w Rosji np. co dziesiąta. Dlatego i dziś około 90 procent nowo narodzonych chłopców poddaje się obrzędowi obrzezania. Dlatego jest tak niewiele rozwodów w

machalla. I dlatego wreszcie mając obecnie możliwość wyboru - młodzież uzbecka chętnie iprzenoisi isiię >z machalla do

32

nowych osiedli, w których więzi rodowe i kontrola opinii są znacznie słabsze. Członkowie machalla śpieszą sobie wzajemnie z pomocą, kiedy fatoś zachoruje albo kiedy buduje sobie dom. Cała wspólnota pomaga w budowie; kolejno wszystkim swoim członkom.

Hierarchia jest oikreślona bardzo precyzyjnie,. Bierze się ją zresztą pod uwagę przy wyborach wszystkich miejscowych władz,

Oczywiście z czasem kryteria autorytetu zmieniają się. Wzrasta, na przykład, rola wykształcenia, pozycji zawodowej itd. Ale nie są to względy decydujące. I choć starszyna machalla przychodzi do dyrektora Instytutu Historii Akademii Nauk, profesora Zijajewa, z prośbą o wyjaśnienie problemów Bliskiego 'Wschodu i wojny w Wietnamie - ,to przecież przychodzi jak do mądrego wprawdzie, ale młodszego syna. I gdyby przypadkiem profesor Zijajew uznał, że jego tytuły i godności naukowe upoważniają do jakichś przywilejów czy udzielania rad - to machalla szybko i dobitnie dałaby mu do zrozumienia, jak głęboko się myli.

Cziłanzar

Cziłanzar jest osiedlem nowoczesnym. Są tu piękne wysokie bloki budowane przez wszystkie radzieckie republiki w darze dla Taszkieritu. Na domach są napisy: dla Taszkientu od Kazachów, od Kirgizów, od Kijowa, od Leningradu. Mieszkania są przestronne, wyposażone w obszerne loggie, świetne łazienki i gaz.

A mieszkańcy Cziłanzaru zrobili wszystko, by tę nowoczesność przystosować do starego, znanego sobie dobrze od lat obyczaju. Na przykład inżynier Ismaïl

33

Abdułłajew (26 sektor, 28 dom, mieszkania 48) zamiast drzwi zawiesił kilimy. W jednym pokoju ułożył na j podłodze dywany, poduszki i ustawał niziutki stół. W drugim pokoju stoją nowoczesne niebie - tu zbiera, się młodzież. A loggię przeobraził w swojskie malut-j Idę podwóreczko. Na dziesięciu metrach kwadrato-J wych wybudował ogromną tachtę: drewnianą niziut-'; ką sofę. Na ośmiu pozostałych przeciągnął sznur do i bielizny i posadził w doniczkach winorośl. Latem ro-; dzina inżyniera Abdułłajewa zasiądzie na tej tachtie,; w zielonym cieniu, pod suszącą się bielizną - i będzie popijać dla ochłody zieloną herbatę. W innych loggiach dookoła usiądą sąsiedzi i będą wołać do siebie, wymieniać przyjazne pytania, dzielić się ostatnimi wiadomościami, zasięgać wzajemnych rad.

Ale dziś jest plus 28 stopni. Chłodno. Zostawiwszy buty w sieni przeszliśmy więc do pokoju, usiedliśmy na dywanie, oparliśmy łokcie o poduszki i chwaliliśmy j placek, który przyniosła gospodyni, studentka taszkien-f ckiego uniwersytetu i podała najpierw mężczyznom.

Kibiernetiko insłitułi

Dyrektor i pracownicy naukowci Instytutu Cybernetyki noszą czarne garnitury, czarne itiubietiejki na głowach i rozmawiają między sobą po uzbecku.

Dyrektor nalewa z porcelanowego czajnika zieloną herbatę do miseczki i podaje ja jednemu z obecnych.

Dyrektor opowiada:

- W wydziale cybernetyki ekonomicznej opracowujemy optymalne rozwiązania problemów gospodarczych. Opracowaliśmy, na przykład, na podstawie informacji ekonomiczniej i przy pomocy odpowiedniego

algorytmu - model gospodarczy dla sowchozu "Pia-tilietka". Obliczyliśmy, że sowchoz może uzyskać 300 tysięcy rubli dodatkowego dochodu przez rok. Propozycje przekazaliśmy kierownictwu i po zastosowaniu naszych rad sowchoz rzeczywiście uzyskał dodatkowy dochód.

Ten, który dostał przedtem herbatę - wypił ją i zwrócił miseczkę dyrektorowi. Dyrektor nalał ponownie i podał drugiemu z obecnych.

- Wkrótce utworzyliśmy w jednym z rejonów centrum obliczeniowe połączone ze wszystkimi kołchozami służbą dyspeczerską. Będziemy mogli na podstawie otrzymanych informacji i przy pomocy maszyn matematycznych korygować natychmiast zarządzenia, omyłki i realizować precyzyjnie nasz model.

Kierownik wydziału cybernetyki stosowanej, dr Fa-radei Abutalijew (jego kandydatura zostanie zgłoszona przez Instytut do Nagrody Lenitnoiwskiej), dodał: - Opracowaliśmy algorytm, dzięki któremu można wskazać miejsca, gdzie występuje gaz. Przyniesie to ogromne oszczędności, ponieważ każde wiercenie kosztuje 5 milionów rubli. Dzięki naszej metodzie uniknie się wierceń zbędnych. Jak dotąd nasze diagnozy potwierdziły się we wszystkich wypadkach. Po znalezieniu gazu określamy z kolei optymalny sposób jego eksploatacji. Dla złóż w Gazli koło Buchary opracowaliśmy taki model po uwzględnieniu 100 tysięcy różnych wariantów! Dotąd, nie mając 'maszyn matematycznych, brano pod uwagę najwyżej trzy. Metoda najbardziej efektywnego gospodarowania źródłami gazu została opracowana po raz pierwszy na świecie.

Ten, który otrzymał ostatni herbatę - zwrócił pustą miseczkę dyrektorowi. Dyrektor nalał znów i podał trzeciemu spośród siedzących przy stole.

- Wśród wielu innych zagadnień zajmiemy się tak-

34

33

że modelowaniem twórczej działalności człowieka. Zaczęliśmy od gier. I my, jak nasi moskiewscy koledzy, chcemy -zagrać w szachy z Amerykanami. Tym bardziej że maszyny - moskiewska i stanfordzka - umieją przewidzieć z góry tylko cztery ruchy, a nasza dwadzieścia jeden. Nasza maszyna jest uniwersalna. Może grać w szachy, warcaby, pokera... Nasza maszyna uczy się na swych błędach. A w grze kieruje się nie tylko kalkulacją, lecz i uczuciem. Zaprogramowaliśmy uczu ciał ludzkich: chciwość, ostrożność, ambicję. Bo też - czymże jest uczucie?

Specjalnym stanem wynikającym z działania pewnej informacji na mózg, nic więcej... My 'możemy budować modele takich stanów.

Później zobaczę, jak wygląda gra z maszyną. Grupa mężczyzn w tiubietejkach stanie przy pulpicie. Włożą do pojemnika plik perforowanych kartek: program. Doktor Abutalijew naciśnie kilka klawiszy (- Zakomunikowałem jej, jaka jest sytuacja na szachownicy). Znów klawisze. (- Powiedziałem jej: rób ruch). Lampy maszyny zapalą się, przebiegną czerwone światełka. (- Myśli...). Światełka będą przebiegać coraz dalej (- O, teraz przemyśla już osiemnasty ruch jaki goś wariantu. Teraz z niego zrezygnuje. Sprawdź inny wariant... Co to?) Zapalają się cztery lampy w siódmym rzędzie. (- Ona mówi: poddaj się, nie masz żadnych szans... To ciekawe..) Klawisz, (- A może remis - spytałem ją). Światełka. (- Nie ma remisu, nie - odpowiedziała). Światełka. Przesunął na szachownicy biały pionek. (ONA zrobiła taki ruch). Ktoś powie z przekąsem: - Pomału myśli...

Doktor Faradei zirytuje się: - Przecież wszystkie warianty sprawdza. Minuta i dwadzieścia jeden sekund na ruch. A u Amerykanów trwało godziny.

To będzie później. A tymczasem siedzimy w gabinecie i dyrektor mówi, że ich instytut jest jednym

z najlepszych - obok kijowskiego i nowosybirskiego - w ZSRR. I znowu ktoś zwraca dyrektorowi pustą miseczkę. Dyrektor znowu nalewa...

Zastanawiam się, w jakiej kolejności właściwie por daje się herbatę obecnym. Bo przecież nie według starszeństwa - jak było przyjęte dotąd.

- Instytut nasz wykonuje zamówienia Państwowej Komisji Planowania na optymalny model gospodarczy...

Rozumiem. W kolejności naukowej hierarchii. Najpierw doktorowi nauk, potem kandydatowi nauk, potem młodszemu pracownikowi naukowemu...

Ja miałam -swoją miseczkę. Oczywiście nie dlatego, że jestem kobieta, jedyna wśród obecnych, lecz dlatego, że jestem gościem...

Dynastie Uzbekistanu

W uzbeckiej rodzinie miejskiej jest przynajmniej pięcioro dzieci. Na wsi - o dwoje, troje więcej.

Przewodniczący Komisji Planowania w Samarkandzie, Salim Kafbiłow, nie sądzi, by było to kłopotliwe. Trudne są tylko pierwsze lata, dopóki najstarsze dziecko nie pójdzie na studia. Potem dzieci pomagają sobie wzajemnie.

Sam przewodniczący ma, na przykład, dziesięcioro dzieci. 'Oczywiście, dostaje się od państwa duży zasiłek. Za czwarte dziecko 60 rubli, za piąte i szóste po 85, za siódme, ósme i dziewiąte po 125 rubli, za dziesiąte 150. I tak dalej - mówi przewodniczący.

- Kiedy już wszystkie dzieci skończą studia, nastaje prawdziwy raj. Bo obliczcie, niech każdy da rodzicom tylko po dwadzieścia rubli, rto już jest mię-

37

sięcinie 180, a do tego 120 nufoli emerytury dla z służyonych. Mówiłem: raj po prostu.

To, że każde dziecko musi ukończyć jakąś szkołę jest już oczywiste. Bardzo często wszyscy kończą wyższe studia. Powstały w Uzbekistanie całe czasy uczonych. W rodzinie Abdullajewów w Samarkandzie jest trzech docentów, jeden dziekan wydziału ekologii, jeden lekarz - zastępca głównego lekarza Samar-kandy, jedna nauczycielka... (Każdy z członków tej rodziny ma już sam po kilkoro dzieci, dziekan, na przykład, ośmioro).

'W rodzinie Irgaszewów dziesięcioro braci i sióstr ma wyższe wykształcenie.

W rodzinie Saidbajewów wszyscy są lekarzami. !W Taszkencie jest sześć sióstr Sułtanowych. (Massuda Sułtanowa (Massuda znaczy ippo uzbecku - Szczęśliwa) jest matematykiem. Przez ostatnie dziesięć lat była dziekanem wydziału matematycznego na Uniwersytecie Taszkentkim. [Specjalizuje się w teorii prawdopodobieństwa. Istnieje ponoć znakomita uzbecka szkoła tej teorii. Zapoczątkował ją Polak, prof. Roma-nowski, niegdyś profesor Uniwersytetu Warszawskiego, który na prośbę Lenina przyjechał do Taszkentu w 1920 roku wraz z całą grupą uczonych moskiewskich. Jego nazwisko jest jednym z najbardziej czczonych w tutejszym świecie. Profesor Massuda Sułtanowa jest naukową wnuczką Ronianowskiego - uczennicą jego ucznia.

Maksuma Sułtanowa (Maksuma znaczy Pokorna) skończyła wydział pedagogiczny, jest nauczycielką, właśnie otrzymała tytuł zasłużonego nauczyciela ZSRR Maszchura (po uzbecku - Znakomita) jest krytykiem i historykiem literatury. Bada twórczość Kacha-ra, współczesnego pisarza, którego nazywają uzbeckim Czechowem. Kachar ulega wpływom literatury rosyjskiej-

h wpływów zresztą w prozie uzbeckiej skie]'' .''wszystkie literackie prądy świata przenikają nie ma. • , kiej za \posrednictwem pisarzy rosyjskich-do prozy uzDw-ft j

SkRano (po uzbecku - Kwiat) jest biologiem.

Machrouza (Wyzwolona) jest geologiem.

Feruzza (Kamień) jest fizjologiem. Specjalizuje się w fizjologii roślin, bada chór aby bawełny.

Każda z sióstr ma swoją rodzinę, ale wszyscy mieszkają razem. Zachowują uzbeckie obyczaje. Wyszły za mąż za Uzbeków. (Mężczyźni żenią się niekiedy z "obcymi", ale wciąż jeszcze nieomal nie do pomyślenia jest, by kobieta wyszła za nie-Uzbecka). Na weselu każdej z nich było po dwieście - trzysta osób. Mają wielki kocioł na płow i każdej kupowano po dwa barany, żeby starczyło dla weselnych gości. Od czasu do czasu zbierają się ze wszystkimi kobietami ich machalla i całą noc siedzą, śpiewając pieśni i mieszając kolejno sumallak - syrop z przerośniętych ziaren pszenicy, który ma mnóstwo witamin. Każda ma jugosłowiańską dżersejową garsonkę, ale w szafie trzyma także narodowy strój - tiubietijkę i suknię z atłasu. Jak wszyscy, przestrzegają skrupulatnie rodowej hierarchii. Najstarsza jest profesor Massuda - matematyk. Więc kiedy trzeba teraz wydać Feruzę za mąż, odbywają się domowe narady z Massuda. Feruzza wymienia konkurentów: dwóch biologów, jednego inżyniera, dwóch doktorów nauk. Feruzza chciałaby tego biologa, ale z drugiej strony - tytuł doktora...

Massuda mówi, że nie może dać dzisiaj Feruzie od-Powiedzi, bo jednak musi się naradzić z najstarszym

ratem. A brat jest właśnie na kongresie naukowym w Paryżu...

' wstry są zdenerwowane. Za parę dni przeprowadzą się do nowych bloków (teraz wszyscy w Ta-

szkencie skądś dokądś się przeprowadzają) i niepokoi je przyszłe sąsiedztwo. Przecież trzeba będzie do tych ludzi zejść. Opowiedzieć, co się dziś przydarzyło, ucie-szyć - jeśli będzie dobrze, pomartwić - jeśli będzie,, źle, rady zasięgnąć, o dzieci zapytać - albo po prostu olt tak wstąpić i posiedzieć w milczeniu.

- Przecież - mówię - jeśli sąsiedzi okażą się źli, to po prostu nie będzie się do nich wstępować.

- Ach, co wy - woła dr Maiszehura - jakże można bez tego żyć?

Przecież tak żyło się zawsze.

Moriak, czyli Odessa

Filipowi i

Moriak istnieje naprawdę. Ten sam, któremu Pau-stowski poświęcił księgę Opowieści o życiu. W którym drukował pierwsze odeskie opowiadania Babel. Który wszedł do literatury i do legendy.

Moriak istnieje naprawdę - i wychodzi w Odessie do dziś. I pisząc o Moriaku - pisze się o Odessie.

Kostia zadzwonił

Jest starszy od władzy radzieckiej o pół roku. W latach dwudziestych był jedną z najciekawszych w kraju gazet. Drukowano go, z braku papieru, na kolorowej banderoli do oklejania paczek herbaty. W poniedziałki i środy na kremowej, we czwartki na różowej, a we wtorki - na lila. Honoraria wypłacano, z braku pieniędzy, w guzikach z masy perłowej, farbce do bielizny, czasami - w tytoniu. Spośród stałych pracowników ówczesnego Monaka żyje po dziś Jaków Krawców, ostatnio - zastępca naczelnego redaktora, obecnie emeryt. Krawców pamięta, jak pewnego dnia na plaży spotkali- się Iwanów, Pau-

stowski i on, i jak Iwanów powiedział - Zmajstrujemy taką gazetę, że zbledną przy niej romanse Duma-sa ojca... Pracowali więc razem - on, Krawców, i oni - Edia Bagricki, Izia Babel, Kostia Paustowski, czasami Wierka Inber zachodziła z wierszami, czasami - Walka Katejew w tureckim fezie - ot, redakcyjni koledzy po prostu, (kto mógł przewidzieć, co z nich w przyszłości wyrośnie? Więc kiedy iw styczniu 1963 roku, w związku z likwidacją nierentownych wie-lonafclądówek, Moriaka najzwyczajniej zamknięto, Krawców pojechał do Mostowy.

- Jasza - powiedział Paustowski - dla was to zrobię... (Bo on do końca mówił mi Jasza, po prostu, a ja jemu Kostia).
Zadziałał 'też przez znajomych odesiaków pracujących w moskiewskich redakcjach i ministerstwach...

- Zaraz - zapytała towarzyszka ze Związków Zawodowych, którą przyjechała właśnie z Moskwy, by zebrać materiał o świetności prasy związkowej - a Związki wam nie pomogły?

- Nie - mówi Krawców. - Ale naprawdę bardzo wielu odesiaków pracuje teraz w Moskwie.

Po paru dniach Paustowski zadzwonił. Powiedział, że mu oświadczyli, gdzie trzeba, iż Moriak może wychodzić. Zaraz po tym telefonie zrobili numer i gazeta wychodzi spokojnie do dziś.

- Jak to - pyta towarzyszka ze Związków Zawodowych - i żadnego oficjalnego dokumentu w sprawie wznowienia w ogóle nie było?

- Nie. Po prostu Kostia zadzwonił.

Tak. Paustowski był do końca przyjacielem Moriaka i Odessy. Ale sam nigdy już do miasta nie przyjechał. Po jego śmierci przyjechała pielęgniarka z ostatnią prośbą: Odszukać Krawcowa, pozdrowić Moriaka, pokłonić się Puszkiniowi i Morzu Czarnemu.

Babel także po opuszczeniu miasta nigdy doń nie wrócił. Wyjechał w 1925 roku, a odprowadzał go tylko jeden człowiek - Krawców właśnie. Doprawdy, już nie pamięta dlaczego. Czy nikt ze znajomych nie wiedział o dacie wyjazdu, czy nie było ich akurat w Odessie... Zresztą, nie wydawało się to wtedy ważne. Izia Babel wyjeżdża, no cóż, wróci przecież. Pamięta tylko, że walizka Babla była ciężka, więc jako młodszy kolega pomagał ją nieść. Potem spacerowali jeszcze po peronie i Babel rzekł: - Chciałbym zostawić coś na pamiątkę. - Przecież wrócisz... - Nie - powiedział Babel - nie wrócę. - I wyjął z kieszeni fajkę w futerał - łapa lwa z pazurami, bursztynowy niunsztuk, futerał z safianu, z zewnątrz czerwony, w środku wybity niebieskim aksamitem, cenna rzecz. Zginęła podczas ewakuacji. I dał mi jeszcze list na kartce wyrwanej iż notesu. Powiedział: - Może ci się kiedyś przyda (bo przecież on już był BABLEM wtedy): "Niniejszym gorąco polecam Krawcowa jako utalentowanego reportera, z którym pracowałem kilka lat w gazecie Moriak. I. Babel". - Tej rekomendacji Babla, tak się złożyło, nie pokazałem nikomu, nigdy.

Adresy Beni Krzyka

Pierwsze odeskie opowiadanie Babla Król ukazało się 23 czerwca 1923 roku na łamach Morzafca. Postacią tytułową był Benia Krzyk. Do gazety wtargnęli nowi bohaterowie, z soczystym językiem, osobliwymi obyczajami i życiem nie różniącym się od groteski. Wszyscy ci ludzie mieli swoje realne pierwowzory i mieszkali w dzielnicy koło dworca towarowego na Mołdawance. A ponieważ chcę poznać Odessę po-

prze'z Moriaka, postanawiam pójść śladami tych, wpro-dzonych doń przez Babla, postaci. Oczywiście nie znajdę ich, ale w każdym razie trafię na współczesną Moł-dawankę. (Sasza Knop - reporter Moriaka, młody, roztropny i z ekonomią polityczną obeznany - tłumaczy, że tamtej Mołdawanki nie ima, bo ona, rozumiecie, mogła istnieć .tylko w starych warunkach ustrojowych. To ówczesne stosunki ekonomiczne zrodziły ludzi takich, jak Benia Krzyk).
Misza Gled (twierdzi, że rzeczywisty Benia, czyli słynny gangster odeski, Miszka Winnicki zwany Ja-pońcem, mieszkał na rogu Proehorowskiej i Głuchej w domu Pimienowa. (Misza Gled to fotoreporter znany m. in. z tego, że na (prośbę redaktora: leć na Pere-syp, równik się załamał - polecał i szukał tego równika, poza tym zaś był świadkiem wszystkich odeskich zdarzeń i przyjacielem wszystkich odeskich osobistości. Widział np. słynną Marusię, jak szła ze swoją bandą: - A tu, zaraz za nią, komdiw Koltowski na białym koniu - i mówi - malczik, gdzie Marusia? - I to on, Misza właśnie, pokazał komdiwowi, w którą

sltronę banda pojechała). Gled także mieszkał na Prochorowskiej, tyle że pod 28 i oczywiście Miskę Ja-pońca osobiście znał i do dziś dokładnie pamięta: - Skośne oczy, garbaty nos i lak na czole, o, tu, nie tu - bardziej na prawo...
Zatem -

Adres pierwszy

Róg Ohiworoistina i Zaporoisikiiej (nazwy ulic zmieniły się). Domu Pimienowa nie ma. Zbudowano w tym miejscu blok dla pracowników Zakładu Przyrzadów Me-

dycznych Nr 2. Dawni lokatorzy Pimienowa też tutaj mieszkają. Pod dwudziestym siódmym, na przykład, fCorientiew, tokarz. Nie, nie pamięta Miszki, pracuje w Zakładach Przyrzadów Medycznych Nr 2, więc co mógł mieć z Miską Japońcem wspólnego. Tu mieszkają sami porządni ludzie. Córka Luda, studentka, czytała jednak Babla i rozumie ciekawość gościa. Pójdziemy do sąsiadów, może Ina spod szesnastego coś wie.

Luda jest na czwartym roku Instytutu Pedagogicznego. Za rok kończy studia. Co potem? Oczywiście praca w szkole. Prawie każdy chciałby pracować w Odessie, ale mogą zostać tylko ci, którzy mają małżonka z wyższym wykształceniem na miejscu. Ludzie jest wszystko jedno, ona i tak pojedzie na wieś i będzie społecznika, ale koleżanki już na trzecim roku za^ czynają wychodzić za mąż. Z miłości naturalnie. Ale wszyscy starają się, jak się to mówi, łączyć miłe z pożytecznym. Żeby i miłość, i dyplom uprawniający do pozostania. Za marynarzy? Oczywiście. O, dzisiejszy marynarz, to nie żaden tam prostak. I o Roźdiestwien-śkim można z takim pogadać i o Antonionim i jak najlepiej nylonową koszulę się pierze. Poza tym taki marynarz pływa i przywozi fantastyczne ciuchy. Co do różnicy wykształcenia - nie problem teraz. Dzisiaj ma maturę, a jutro pójdzie na studia zaoczne. Tak, małżeństwo z marynarzem także umożliwia pracę w mieście. Marynarza przecież na prowincję nie wyślą. Na jeden statek trzeźba przeciętnie 50 ludzi, a orientujecie się chyba, jak wiele nowych statków oddaje się każdego roku do użytku. Nasza flota niesłychanie rośnie.

Sąsiadka Ina (mieszkanie numer 16) marzy z kolei o tym, by dostać się na historię sztuki. Na razie pracuje w pralni. Odpruwa guziki i wydaje pokwitowania. Co ma pralnia do studiów nad sztuką? Bardzo

45

dużo. Na dzienne studia jest dwudziestu kandydatów na jedno miejsce, a na zaoczne tylko piętnastu. Ale żeby się dostać na zaoczne, 'trzeba pracować. Więc właśnie pracuje w pralni. Jeżeli się nie dostanie? To będzie zdawać jeszcze raz. I jeszcze. Nic nie szkodzi. Tu ka,żdy w Odessie talk po pięć, sześć razy, jeśli trzeba. Jedna koleżanka dopiero za ósmym razem dostała się na medycynę.

Ina i Luda starają się mi pomóc. Zdjęły z półki książkę Łukina i Polanowskiego Tichaja Odessa. Jest adres Miszki Japońca: Gospitalna 11.

Zatem -

bić zdjęcie Soni Kalice. Mieszkanie zamknięte, sąsiadka pokazuje klucz, _ . NO .tak - chwyta w lot sytuację moldawanin jytigza. - Córka jej wczoraj powiedziała: "Mama, ty zobaczysz, ona tu jeszcze wróci. Siedź cicho i nie otwieraj nikomu drzwi".

_ Biedna ciocia Sonia - wzdycha Gled - czy ta sąsiadka choć jedzenie jej przez drzwi podaje...

W każdym razie już wiemy, że tutaj Miska Japo-niec nie mieszkał. Stwierdziła to autorytatywnie ciocia Sonia. Ale - powiedziała - zaraz pod dwudziestym trzecim mieszkały siostry.

Adres drugi

Staruszka białowłosa z migdałowymi oczami.

- Podobno w tym domu mieszkał Miszka Japondec. Czy pani go przypadkiem nie znała? Uśmiecha się z politowaniem.
- Czy ja nie znałam Miszkę? Jak ja mogłam nie znać Miszkę, jeśli ja szyłam suknię ślubną dla jego narzeczonej?
Z okna wychyla się córka. Jacyś obcy przyszli i nagabują matkę. Co tacy obcy mogą chcieć? Na pewno nic dobrego.
- Ma-ma! Chodź do domu!
- Bo widzi pani - rozmarza się staruszka - ja byłam kiedyś najbardziej wzięta krawcową na całej Mołdawance. Może pani spytać każdego: Sonia Kalika. To ja. To kogo miał prosić Miszka o suknię ślubną? Aj, co to była za suknia... I koronki, i falbanki, i gipiura...
- Ma-ma-aa!
Nazajutrz rano przychodzimy z Miszka Gledem zro-

Adres trzeci

Gospitalna 23. Naprzeciwko domu, w którym było wesele siostry Beni Krzyka. Typowe mołdawańskie podwórko parterowego domu. Miniaturowe ogródeczki otoczone płotkiem, w każdym ogródeczku - stolir-czek i ławeczka, a ha każdej ławeczce - rodzina. Gawędzą, jedzą suszoną rybę tاراںkę i oliwki, zapijając wódką moskiewską. - Co ona chce? - Ona przyjechała do Japońca. - Odsuńcie się - ktoś zazdrośnie roztrąca tłum, który już się zgromadził. - To mój szwagier czy wasz? Tylko ze mną niech pani rozmawia. Miszki żona i moja żona to rodzone siostry. Szwagier - to ja.
Wuj Sioma opowiada: wszyscy zginęli podczas okupacji Odessy (za nic nie chcieli się ewakuować). Żyje tylko córka Beni Krzyka - Adela Winnicka. Mieszka obecnie w Baku. A jego wnuczka jest zasłużoną nauczycielką. Zresztą wuja Siomy syn też jest nauczycielem. Wychowuje dzieci w domu dziecka, a na

47

konkursie tańców nowoczesnych zdobył drugą nagrodę. Za hulły gally. - To bardzo odpowiedzialna praca - dom dziecka. To - rozumiecie - dzieci czasem wykolejone, z nie całkiem uczciwych rodzin... Co do Milsziki zaś, to na Miesojedowiskiej 22, mieszkania 2, w pierwszym pokoju na lewo, była jego sypialnia...

Adres czwarty

Miesojedowska 22, mieszkania 2, pierwszy pokój na lewo.

Inżynier Walentina Gamorina, specjalista w zakresie budowy aparatury chłodniczej. Ich zakład eksportuje tę aparaturę do 18 krajów. Praca inżyniera Gamoriny polega na tym, że kontroluje, czy w tych krajach nie ma akurat rodzimego patentu na urządzenie, które zakład wysyła. Jeżeli okazuje się, że patent jest, to inżynierowie fabryki natychmiast odpowiednio zmieniają konstrukcję aparatu.

O patentach mówimy szeptem. Córka już śpi. Córka jest bardzo zmęczona. Uczy się muzyki. Prywatnie, naprzeciwko. Teraz wszyscy na Mołdawance uczą się muzyki. Bo obecna Mołdawanka - to już nie ta stara nędzarska dzielnica. Ludzie pracują, dorabiają się, a jak człowiek się dorabia, to chce mieć coś, co zawsze, jak pamięta, mieli ci, którym się dobrze wiodło. Na przykład - fortepian. Bierze się więc wiec fortepian niemiecki najlepiej, za 1200 rubli, na raty. I żadnych tam młodzieżowych gitar. Porządna muzyka. Fortepian albo skrzypce. Jaik Daiwid Ojstrach, Emil Gilels, Jasza Heifetz i Jakub Żak. Wszyscy oni - żeby pani wiedziała - z Mołdawanki.

Średnia Szkoła Muzyczna im. Stolarskiego jest ob-

legana najbardziej ze wszystkich uczelni. 25 kandydatów na jedno miejsce. Rekord wszechziązkowy.

Bodzice z niesłychaną powagą traktują sprawy swych dzieci. Na przykład mama Olega Diaczeriko, farmaceutka z zawodu, w ogóle pracę rzuciła, żeby czuwać nad postępami dziecka w szkole. Oleg zdał w tym roku egzamin do szkoły Stolarskiego najlepiej ze wszystkich kandydatów i w dniu rozpoczęcia roku szkolnego będzie przecinał czerwoną wstęgę. Wstęga musi być koniecznie atłasowa i biedna mama Diaczenko już od tygodnia po sklepach biega, bo się okazało, że w całej Odessie nie ma czerwonych wstęg. - Dużo nowych obiektów oddano ostatnio do użytku. Wracamy do Miszki Japońca. Inżynier Gamorina słyszała, że tu była jego sypialnia. - I wie pani co, ktoś mi nawet radził, żeby rozwalić tę ścianę. Bo to był kiedyś jeden duży pokój i właśnie Miszka Japo-niec przedzielił go ścianką na pół. Czy on mógł coś ciekawego zamurować w takiej ścianie? Jak pani myśli? Sprawy bieżące

Moriak podjął ostatnio próbę wskrzeszenia dawnej świetności. Przyszedł nowy redaktor, nowy zastępca i kilku nowych młodych reporterów. Ich wysiłki natrafiają jednak na opór starego zespołu. - Tłumaczmy im: inaczej się już pracuje na danym etapie. A oni ciągle się dziwią, że na fotografii jest ładna przodownica, a nie przodujący portowy dźwig. Sięgnęli do dawnych tradycji: podróże, oddech wielkiego świata, zapach dalekich mórz. - Zrobimy taką malutką, wszechświatową gazetę... Dzwonią do doków

48

49

4 - Na wschód od Arbatu

w Wismarze i do Londynu do "Lloyda" i sami są tym wzruszeni, bo nie zdarzyło się 'tak daleko dzwonić już ze 40 lat.

Ale najbardziej ich obchodzą własne bieżące odeskie sprawy. Toteż z łamów współczesnego Moriaka wyłania się współczesna Odessa.

Marynarze-ojcowie wyjeżdżają w wielomiesięczne rejsy - więc gazeta pisze o problemach wychowawczych. Zdarzają się niekiedy wypadki chuligaństwa.

Marynarze-mężowie są poza domem - więc problem żon. Zrzeszyły się w specjalnym klubie, do którego zresztą ani matek, ani sióstr marynarzy się nie przyjmuje.

Nadzieńda Kowal, przewodnicząca, opowiada, jaką prowadzi się działalność. - Wychowawczo-

-polityczną, kulturalno-masową, są wykłady o sytuacji międzynarodowej i były już trzy gawędy o życiu Lenina.

Problemy tragarzy portowych. Najczęściej naruszają dyscyplinę pracy. Najoporniej przyjmują mechanizację.

- Kiedy wprowadzano urządzenia mechaniczne do ładowania pociągów, okazało się, że podłogi wagonów nie wytrzymują ciężaru tych urządzeń. Jak się wyjaśniło, ludzie specjalnie wybierali wagony z uszkodzoną podłogą. Najlepiej zarabiają: 200 rubli, dwa razy tyle, ile wynosi przeciętna płaca w ZSRR. Dostają więcej od wielu robotników wykwalifikowanych. Najwydajniej ze wszystkich pracują. - ale tylko wtedy, kiedy nie ma w pobliżu techników normowania. Najchętniej ze wszystkich się uczą, ale ich praca składa się w 60 procentach z wysiłku fizycznego. Kwalifikacje ciułają na starość, kiedy już nie będą mieli dość sił, by dźwigać na plecach ciężary.

W mieście realizuje się reformę gospodarczą. Moriak donosi, że towarzysz Kamiński z zarządu kolei znalazł nowy sposób na zwiększenie zysków. Specjalnie posyła

do portu za dużo wagonów naraz, a potem ściąga wysokie kairy za przestój.

Toczy się dyskusja o młodych marynarzach. Młodzież tradycji nie szanuje. Kiedyś, na przykład, wierzono, że dusze zmarłych marynarzy żyją w albatrosach i delfinach, i ich nie zabijano. A dzisiaj taki marynarz materialista wie: żadnej wędrówki dusz nie ma i strzela isobie do delfinów i mew! Rada Weteranów Floty

specjalne zebrania młodym poświęciła: - Chodzą, proszę was, po mieście z włosami jak u popa. Jak się zobaczy takiego, trzeba zaraz zrobić fotografię.

Rada żon marynarzy uruchomiła punkt informacyjny: każda z żon może się dowiedzieć, gdzie znajduje się statek jej męża. Stoją więc w kolejce - w swoich mini-sukienkach, angielskich, ale kupionych w Singapurze, bo taniej, w złotych klapkach na kieliszku, z grzywkami w różnokolorowe pasemka - doprawdy, tak ładnych i eleganckich kobiet nie ma w żadnym innym radzieckim mieście - i notują: że statek Sorge wyszedł z Genui, a Dziwnogorsk wiezie dla Indii cukier, po czym weźmie kauczuk w Kolombo, i czasem tylko któraś zapłacze, bo mąż popłynął do Wietnamu i powinien już przecież dawno być. - Nie denerwujcie się, po prostu jeszcze nie wyładowali zboża...

Niewątpliwie miał rację Sasza Knop, tamtej Odessy nie ma. To tylko hobby starszych panów z laseczkami, którzy w klubie "Odessica" słuchają referatów o Odessie dwudziestych lat. Niekiedy ktoś powie przybyszowi: - To tutaj był dom noclegowy, w którym mieszkał Górki, czytaliście Czełkacza? - A to jest Gambrynus - pamiętacie nowelę Kuprina chyba. Można usiąść na ławie i gryźć suszoną woblę pod piwo i melodię Sońki - "No krasiwieje ich, czto ja tak żył, Sońka, czto żywiot na Mołdawankie". Oczywiście i bar, i ławy są podrobione. A ten czyścibut bez nóg

50

51

na Preobrażeńskiej, to czyścibut nie zwyczajny, statystował w Pancerniku Potiomkinie, pamiętacie tę scenę na schodach? Iwan Andrejewicz do dziś wspomina i Eisensteina, i film, bo ekipa miała swoją stołówkę i dawali zjeść dużo, dobrze i za darmo. - A co _ dziwi się - to nawet i w Polsce o naiszyin Pancerniku słyszeli?

Ale oczywiście to wszystko dotyczy odległych wspomnień. Dziś Moriak jest normalną, sympatyczną gazetą, podobną do innych gazet. A Odessa jest normalnym, kulturalnym, zasobnym miastem, podobnym do innych miast. A tamtego Monaka i tamtej Odessy może nawet w ogóle nie było. Może stworzyli ją Paustowski i Babel? Ale przecież nie ma to większego znaczenia.

Małomówni ludzie o błękitnych oczach

Estończycy mają błękitne oczy. Wydają się dzięki temu łagodni i pełni pogody. Estończycy są małomówni. Jedną z licznych anegdot na ten temat kolega dziennikarz z Nowosti chce się pochwalić przed estońskim chłopem zwiedzającym park Rdkka-al marę (Muzeum zagród wiejskich).

- Dwaj estońscy drwale, - opowiada dziennikarz - szli do lasu i zobaczyli zająca. - "O, zając" - powiedział jeden z nich. Przyszli na miejsce. Rąbali las. Zjedli obiad. Znowu rąbali. Ściemniło się. Kiedy, wracając, doszli tam, gdzie widzieli zająca, drugi odparł: - "Aha". - Dobrze, co? - śmieje się dziennikarz. Ale słuchacz jest nachmurzony: - Głupi jakiś. Czy on musiał czekać aż do wieczora? Przecież mógł odpowiedzieć już w południe, kiedy do obiadu usiedli... Estończycy lubią śpiewać. W okresach gdy ich kraj był kolejno - przez siedemset lat - zdobywany przez Duńczyków, dzielony przez Polaków, sprzedany Niemcom, podbijany przez Szwecję i przyłączany do Rosji, w pieśniach wyrażali swe uczucia narodowe. I dziś śpiew jest, poza pracą, najważniejszym zajęciem. Święta pieśni są największymi wydarzeniami w życiu kraju. Laureaci tych świąt są czołowymi narodowymi bohaterami. A najwyższym szacunkiem społecznym cieszą się najwybitniejsi dyrygenci chórów.

To, co gdzie indziej bywa drugorzędną rozrywką, tu obrosło w instytucje - poważne i godne.

Ilmar Moss, szef sztabu operacyjnego Święta Pieśni, opowiada o przygotowaniach do ostatniego święta, które odbyło się w czerwcu. Całością kierowała główna Komisja Święta Pieśni, w skład której wchodziło 30 osób z najpoważniejszych ministerstw i resortów, zaś na czele stał wicepremier Estonii, dr Arnold Green. Główna Komisja miała doradczą radę artystyczną i wykonawcze Biuro Organizacyjne. Podwykonawcą Biura Organizacyjnego Głównej Komisji Święta Pieśni był z kolei Sztab Operacyjny. Zadania jego - opowiada Ilmar Moss - były nad wyraz poważne. W święcie uczestniczyło trzydzieści tysięcy śpiewaków z całego kraju i dwieście tysięcy publiczności. W trzystupięć-dziesięciotysięcznym Tallinnie. Toteż już dziewięć miesięcy przed świętem sztab musiał znać szczegóły całej operacji co do sekundy. I wszystko odbyło się dokładnie według planu. Kiedy z Wyru wyruszył pociąg ze śpiewakami, natychmiast przez krótkofalówkę meldowano, że wyruszył pociąg i o 16.34 były w Tallinnie autobusy na dworcu, o 16.45 już wsiadło do autobusów tysiąc czterysta osób, a o 19.04 do sztabu wpłynął meldunek, że (pierwszy transport zjadł, drugi wysiadł, a trzeci właśnie wsiada. Ponieważ takie uroczystości odbywają się co pięć lat, w Estonii są już wybitni specjaliści do spraw Święta Pieśni. Od przygotowania trzydziestu tysięcy par specjalnych butów i od trzydziestu tysięcy par specjalnych pończoch, od rozkładania specjalnej waty do spania na podłogach i od rozmieszczenia straży pożarnej zwiezionej z całego kraju, bo jest to wata łatwopalna. Goście z innych republik, którzy bardzo by chcieli coś podobnego zorganizować u siebie, mówili, że trud-

ność nie polega nawet na znalezieniu trzydziestu tysięcy śpiewaków, którzy .potrafią śpiewać zgodnie w jednym chórze (choć nie jest to łatwe). Ani nie na zgromadzeniu dwustu tysięcy cierpliwych słuchaczy (choć z tym jest gorzej). Najtrudniej byłoby - jak to robią Estończycy - ustawić na scenie w ciągu pięciu minut ten jeden trzydziestotysięczny chór. Albo sprowadzić ze sceny w ciągu siedmiu minut (czas mierzony stoperem przez Ilmar a Mossa) jeden zespół dwudziestotysięczny i ustawić inny, liczący dziesięć tysięcy osób. - u nas - mówili Ukraińcy i Białorusini - zajęłoby to co najmniej godzinę. Jak wy to potraficie? - Zwyczajnie - odpowiada Ilmar Moss - po prostu Estończyk od razu staje na tym miejscu, na którym ma powiedziane, że trzeba stać. A jak już stanie, to stoi potem spokojnie.

Estończycy są małym narodem. Mieli bardzo trudną historię. Mają wielkie ambicje. Lubią myśleć o swoich cnotach i podkreślać, ile osiągnęli, choć tak .niewielu ich jest d tak trudne mieli dzieciństwo.

Są więc ogromnie pracowici. Mają bardzo wysoką wydajność i bardzo wysokie plony i bardzo wysokie wkłady na książeczkach oszczędnościowych. Mają też wysokie zawodowe kwalifikacje. W przemyśle więc, jak stwierdzili socjologowie, stanowią 84 procent wykwalifikowanych robotników i 84,6 procent techników i inżynierów. Pozostałe 16 procent w każdej z tych grup, to ludzie innych narodowości. W ostatnim okresie zdarza się coraz więcej małżeństw Estonek z Rosjanami, co np. w przemysłowym Rejonie Kochtła Jarły związane jest z tym, że dziewczęta estońskie chciałyby wcześniej wychodzić za mąż,

zaś stateczni Estończycy żenia się później, dopiero kiedy zbudują dom i zasadzą drzewa owocowe.

Dzieci z mieszanych małżeństw mają w ZSRR prawo wyboru narodowości. W całym Związku Radzieckim większość dzieci z takich małżeństw deklaruje się jako Rosjanie. W Estonii 63 procent dzieci podaje narodowość estońską.

Są bardzo kulturalni. Wydają najwięcej w całym Związku Radzieckim książek (uwielbiają poezję). I najczęściej chodzą do teatrów. Pod względem frekwencji teatralnej zajmują nawet, jak stwierdzono na międzynarodowym sympozjum, pierwsze miejsce na świecie.

Są szalenie obyczajni. Wieczorem nie wpuszcza się do restauracji kobiety, jeżeli nie towarzyszy jej mężczyzna, wpuszcza się natomiast mężczyzn samotnych.

Są estetami. Ich moda damska jest najszykowniejsza, ich meble najładniejsze, ich klomby najstaranniej przystrzyżone, a ich jednorodzinne domki na ulicy Piritta albo Marijame mają naprawdę piękne architektoniczne rozwiązania.

Mają najlepszą obsługę restauracji i najlepszego w całym ZSRR kelnera. Jest nim Dima z baru na ulicy Mundi. Dwukrotnie wygrał wszechzwiązkowy konkurs. Opowiada, jak mimo bardzo ostrej konkurencji (startowało po dziesięciu kolegów z każdej republiki) udało mu się zająć pierwsze miejsce. - Musieliśmy nakryć stół do kolacji z okazji święta Armii Radzieckiej. To było trudne, ale wybrnąłem.

Położyłem na stół gałązki choiny przewiązane czerwonymi wstążeczkami, na odwrocie menu napisałem tekst wojskowej piosenki, którą można było przy deserze wykonywać chórem, a na gorące danie zaproponowałem kotlet "rakietą".

Mają najładniejszy na świecie język. Tak oświadczył mer Wenecji w wywiadzie dla tallińskiej prasy. Wszyscy rozmówcy powołują się na tę opinię. - Es-

toński jest tak piękny jak włoski - powiedział mer - a włoski jest najpiękniejszy, jak wiadomo. Zaś pewien polski śpiewak, co także było w gazecie, powiedział, że Francuzi mogą się nie wiem jak starać, a i tak śpiewać nie będą jak Estończycy, bo język francuski po prostu do śpiewu się nie nadaje. Co z kolei potwierdził pewien kompozytor niemiecki włoskiego pochodzenia i co również miejscowa prasa odnotowała z dumą.

56

Zagraniczny korespondent w rejonie Tujmazy

Obwodowy Komitet w Ufie uznał, że należy pokazać zagranicznemu korespondentowi rejon Tujmazy. Tujmazowski komitet z kolei wybrał w swoim rejonie kołchoz Useń. Jedziemy zatem do Uisenia - "zagraniczny korespondent", czyli ja, i mój przewodnik, redaktor Baszkirskiej Prawdy.

Wyruszamy z Ufy we dwoje, ale im bliżej celu, tym bardziej nasza grupa się powiększa. W rejonie przyłącza się sekretarz Komitetu Rejonowego partii. (Nie godzi się zwiedzać bez władzy politycznej terenu). Nieco dalej - sekretarz Rejonowej Rady. (Bez Rady ma się rozumieć nie wypada). Potem sekretarz Wiejskiego Komitetu. (Może będą szczegółowe pytania...). Potem - przewodniczący Wiejskiej Rady. (Kolektyw). Wreszcie - przewodniczący i sekretarz kołchozu. Kiedy wyruszamy na zwiedzanie wsi, grupa liczy 9 osób.

- Ona przyjechała z Polski - zaczyna redaktor. - Ona się interesuje socjologią. To całkiem proste - wyjaśnia bliżej. - To zinaaczy, że trzeba mówić, jak jest i dlaczego jest. Mówcie.

- Kołchoz ma 11 tysięcy hektarów, 840 gospodarstw, 12 wsi - zaczyna przewodniczący. - Mamy 50 traktorów, 19 kombajnów, w 120 domach jest gaz. Średni urodzaj - 14 kwintali z ha. Ale ostatnio udało się wyciągnąć 17.

Przewodniczący ma wszystkie liczby w pogotowiu. Nie jestem w końcu pierwszym korespondentem w Use-niu. Kilka dni przede mną byli dziennikarze z NRD, przed nimi - z Mongolii. Przewodniczący doskonale wie, co takich korespondentów interesuje. Najpierw oczywiście nowa szkoła. Potem - nowe muzeum. (Głównym eksponatem są łapcie). Potem nowy klub. (Hanmonista był. na kursie w Ufie.

Dostał stypendium od kołchozu). Nowa biblioteka. (Najczęściej czytają książki rolnicze i Lenina. Z przekładów - Łon-dona, Welłsa. Jeist jeden Fauilkner, ale dotychczas nie przeczytany przez nikogo). I oczywiście - nowy dom. Jeden z trzydziestu zbudowanych w tym roku. Drewniany, niebieski, z werandą, okiennice rzeźbione w stary ibaszkiński wzór. Obszerna kuchnia, wysunięty na środek wielki piec. W nim - palenisko na chleb, wmurowany kociołek do gotowania, półka do suszenia mokrych walonek i druga do suszenia rękawic, schowek na cenne drobiazgi, miejsce, na którym można spać. Pokój jest o wiele mniejszy. Z dwoma żelaznymi łózkami przy ścianach. (Na każdym stos wzorzystych poduszek przykrytych koronkową firanką). Między łózkami, na stole - samowar, na wypadek, gdyby zepsuł się gaz. Na ścianie - lam-na naftowa, na wypadek, gdyby zgasło światło.

Drugi dom. Też niebieski. Też - weranda, obszerna kuchnia, piec. I pokój - dwa żelazne łózka, między nimi samowar na stole.

Trzeci dom: kuchnia - piec, pokój, dwa żelazne łózka...

Czwarty: kuchnia - piec, pokój - dwa żelazne...

Następnych dwadzieścia sześć domów wybudowanych w tym roku wygląda nieomal dokładnie tak samo. I trzydzięci domów wybudowanych w roku zeszłym. I domy, i umeblowanie są wierną kopią starych miesz-

58

59

kań. Tyle, że wszystko jest teraz solidne i większe. Większy pokój, większy piec, poduszek na łózkach więcej.

(Mieszkania różnią się ozdobami. U dojadą Difiny wisi na ścianie dyplom otrzymany w Międzynarodowym Dniu Kobiet. U jej rodziców - fotokopia strony Koranu i korale do modlitwy przypominające różaniec. Jeden tylko dom wygląda z zewnątrz inaczej, bo ma wielkie czerwone wrota. Mieszka tu kołchoźnik, który jest także fryzjerem. Skończył dwumiesięczny kurs w Ufie na koszt kołchozu. Zna wszystkie modne fryzury - "na kanatfcę", "na polkę", "na boks", ale pracy mu nie starcza i musi chodzić do siana. Za dodatkowe zarobki zbudował sobie najokazalsze wrota w kołchozie. Domy są puste, wlszysey poszła do pracy. W obejściach kręcą się stare kobiety i dzieci. Starych mężczyzn nie ma. Zginęli na wojnie. Dwadzieścia pięć lat temu te kobiety, nie znające rosyjskiego do dziś, kierowały kołchozem i rodzinami. Baszkirscy etnografowie notują, że przeważał typ rodziny matriarchalnej - z matką wdową na czele. Później głową rodziny stawał się najstarszy, dorastający syn.

Dzieci jeist mnóstwo. Po czworo, pięcioro w domu. Tyle wynosi "norma" w Useniu. Najmniej ma dyrektor szkoły: troje. Ale tylko dlatego, że młody jeszcze.

Siedemdziesiąt rodzin ma więcej niż siedmioro dzieci. Najstarszy syn czterdziestoletniej dojarke Szangii Ganiejewej ma 19 lat, każdy z ośmiu następnych jest o półtora roku młodszy od poprzedniego.

Szangija częstuje nas smażoną rybą. Stawia na stole wielką patelnię, a obok kładzie garść małych łyżeczek. Jemy ze wspólnej patelni, a przewodniczący szelpcze, że -te łyżeczki są wyłącznie na moją cześć.

Liczna rodzina Szangii - tak jak wszystkie rodziny w kołchozie - jest w pełni samowystarczalna. Każdy

icołchoźndk może mieć dwie krowy, jednego cielaka, jedną świnię, pięć owiec i jagnięta. Drobiu - ile chce. Ogółem krów jest w kołchozie tyle samo, ile w gospodarstwach przyzagrodowych kołchoźników. Na działce uprawia się wszystkie warzywa i owoce. Dzięki temu kołchoźnicy nile kupują wcale żywności. Mają swoje mięso, nabiał, warzywa i chleb. I chleb bo wiem pieką sami. Przeważnie co drugi dzień. Cukier dostają w zamian za buraki. Kupują więc tylko odzież, a i to niecałą, bo wełnę mają z własnych owiec. Część produktów sprzedaje się w

mieście. Dochody z tego wynoszą w ciągu roku średnio 300-400 rubli. Jeśli dodać wartość produktów, to okaże się, że dochód uzyskiwany z działki przyzagrodowej jest talki sam (a czasami wyższy), jak zarobek otrzymywany za pracę w kołchozie. Pracujący na rzecz kołchozu ludzie są fachowcami. Obsługują maszyny. Sjspejalizują się w różnych rodzajach prac. Kończą odpowiednie kursy. Kiedy wracają do domu i rozpoczynają pracę na swojej działce - stają się tradycyjną rodziną chłopską. Nie ma podziału zajęć ani podziału dnia na pracę i wolny czas. Rodzina jest zarazem załogą produkcyjną - tak jak nasze chłopskie rodziny. Prowadzona przez nią gospodarka jest gospodarką naturalną. Wśród prezentowanych dziennikarzowi osiągnięć najwyraźniej brakuje ośrodka zdrowia dysponującego w pełni wykwalifikowanym zespołem lekarzy. W Useniu liczącym 3 tysiące mieszkańców nie ma lekarza w ogóle. Ci, którzy tu byli, wyjechali do miast. Nie znieśli, jak powiada przewodniczący, różnicy między wiejskim i miejskim trybem życia. Sekretarz Komitetu Rejonowego partii mówi, że zmniejszanie różnicy między miastem i wsią jest naczelnym zadaniem partii. "Dlatego budujemy tyle klubów, kin, szkół średnich..."

60

Mimo jednak tych starań inteligencja wiejska nie chce pozostawać w kołchozie. Ucieczka inteligencji do miast jest zjawiskiem masowym. Zwłaszcza wśród specjalistów pochodzenia miejskiego. Przyjeżdżają na wieś z nakazem pracy, a po wymaganym stażu wyjeżdżają natychmiast. Można by oczywiście kierować do pracy w kołchozie specjalistów pochodzących ze wsi. Rzecz jednak w tym, że jest ich niewielu. Większość osób przyjmowanych na studia wywodzi się z miejskich szkół. Wobec tego władze podjęły ostatnio radykalną decyzję: skoro absolwenci wiejskich szkół nie dostają się na uczelnie drogą normalnego konkursu, kołchozy same będą kierować swych pracowników na studia - poza konkursem. Wystarczy, jeśli ludzie, skierowani przez kołchozy, otrzymają na egzaminie wstępnym trójkę. Będą przyjęci niezależnie od liczby kandydatów i miejsc. Useń kieruje w tym roku na studia trzy osoby. Chętnych było mnóstwo. Warunki przyjęcia są znakomite, materialne też - 70 rubli miesięcznie. Dla wielu jest to jedyna szansa dostania się na uczelnię. Kierownictwo kołchozu zastosowało zatem bardzo surowe kryteria: pracę zawodową, pracę społeczną, przynależność do partii, stosunek kandydata i stosunek jego rodziny do kołchozu. - Musimy mieć pewność, że ci ludzie na zawsze w kołchozie pozostaną. Dlatego oceniamy postawę .przede wszystkim... - powie przewodniczący. Powie to w czasie uroczystej kolacji wydanej na naszą - redaktora i moją - cześć. Po czym wtrąci mimochodem: - Ndc dziwnego, że jemy z talerzy. Młodzież już prawie codziennie z nich je. Kulturalny sposób jedzenia jest jednym z zadań, które postawiła sobie komsoimoliska organizacja. Kolacja jest wystawna. Do stołu podaje sekretarz rady narodowej. Podaje uprzejmie i sprawnie - ale z na-

mi nie siada. Bowiem sekretarz rady narodowej jest kobietą. I choć, jak wiele kobiet, pełni w kołchozie ważne społeczne funkcje - bo przecież równouprawnienie jest faktem powszechnie znanym - to jednak do stołu nie siądzie, bo sama wie, że nie przystoi jej siaść, kiedy mężczyźni jedzą. Młodzież Usenia w ogóle często używa słowa "kultura". Dyskutuje: jak kulturalnie jeść? Albo: jak kulturalnie podrywać dziewczynę? (Strojem? Słowem? Wynikami w pracy? Chwalić się nie wypada. Sam Lenin uczył skromności). Albo: czy trzeba być panienką przed ślubem? (Orzekli: trzeba). Albo: jak tańczyć? Specjalnie wysłali tego harmonistę do Ufy na kurs, żeby się nauczył grać po miejsku. Albo: jak należy żyć kulturalnie? I - kiedy - sikoro tak mało zostaje po pracy czasu...? To wśród młodzieży właśnie rodzą się pierwsze wątpliwości: czy jest sens harować na działce po to, żeby samemu produkować to wszystko? Czy nie lepiej po

prostu część produktów kupować za pieniądze? Ale to dopiero pierwsze głosy, nieśmiało. Rodzice są wciąż jeszcze urzeczeni faktem, że to jest. Że jest mięso i chleb - do syta. Nie chcą wydawać pieniędzy. Od pięciu lat jest tych pieniędzy więcej. Niedawno wprowadzona stała pensja podniosła średni zarobek miesięczny o 13 rubli (do 63). Trzymają więc te pieniądze. Gromadzą na dom.

Wieść o tym, że w kołchozie "można żyć", dotarła już do miasta. Do niedawna ruch na trasie miasto - wieś odbywał się w jednym kierunku. Z Usenia każdego roku wyjeżdżało kilkanaście rodzin. W ubiegłym roku po raz pierwszy w historii kołchozu potok uchodźców zatrzymał się. W tym roku pojawili się przybysze z miasta. Zaczynają wracać ci, którzy kiedyś wyjechali z Usenia.

Skrupulatnie pokazują kolejnym gościom wszystkie swoje osiągnięcia. Badają, czy wywarły należyte wrażenie. Cieszą się. Nowym domem - nie nazbyt nowoczesnym jeszcze. Nowym nożem, którym posługują się z trudem. Nowymi przybyszami, którzy powracają z miast. Nową myślą, nieśmiało: że może jest sens kupować, a nie uprawiać wszystko samemu...

Goście widywali szkoły ładniejsze, a kluby lepiej wyposażone. Ale pamiętają przecież, że nie do milionerów Kubania przybyli, tylko do Baszkirów. Ich alfabet i osiadły tryb życia mają zaledwie czterdzieści parę lat. Ich łapcie znajdują się w muzeum dopiero od lat dwudziestu. Ich radość bierze się z innego poczucia czasu: wiedzą, że dziś jest im lepiej, niżbyło przed rokiem. I gorzej, oiiż będzie za rok.

Na radzieckiej wsi przeprowadzono pierwsze badania socjologiczne. Ekipa badaczy, którą kierował prof. Jurij Arutiunian, dysponowała materiałami socjologicznymi z dwudziestych lat (w ich zebraniu uczestniczył Mikojan, Kujbyszew i Krupska) oraz świadomością, że pierwsze badania inspirował osobiście Lenin.

Od zakończenia owych prac, które były jedyną w ZSRR próbą socjologicznego zbadania wsi, minęło lat czterdzieści.

Postanowili w swoich badaniach opierać się przede wszystkim na faktach obiektywnych i sprawdzalnych. Badali księgi kołchozowe i gospodarcze, ustalali wysokość zarobków, wykształcenie, wyposażenie mieszkań, wiek. Doszli do przekonania, że przyjęty dotąd podział na klasy - jest niewystarczający. Różnice w łonie samych klas są znacznie większe niż między nimi. Tym, co decyduje o różnicach, jest charakter wykonywanej pracy. Są więc na wsi specjaliści o najwyższych kwalifikacjach, urzędnicy bez kwalifikacji, robotnicy z kwalifikacjami i bez. Zauważyli, że różnice między tymi kategoriami osób dotyczą wszystkich dziedzin życia. Zaczynają się od wypłaty: płace specjalistów są dwukrotnie - czasami nawet siedmiokrotnie - wyższe od płac niewykwalifikowanych robotników. Z tego wynikają z kolei różnice w wielu innych

językiem przedmiotów i liczb. Aby np. ustalić zamożność mieszkańców wsi, przyglądali się dachom (czy są z dachówki) i podłogom (czy z drewna). Żeby poznać życie duchowe, liczyli książki, a także ikony. Żeby poznać gust, obserwowali sposób dekorowania mieszkań. We wsi Tierpienie na Ukrainie (5 tysięcy mieszkańców) sporządzili następującą statystykę: domy murowane ma trzy czwarte specjalistów, co trzeci wykwalifikowany robotnik i co szósty robotnik bez kwalifikacji. Drewniane podłogi w mieszkaniach mają wszyscy bez wyjątku pracownicy umysłowi i prawie wszyscy robotnicy wykwalifikowani, a w co trzecim mieszkaniu niewykwalifikowanych robotników jest klepisko.

Upodobania estetyczne mieszkańców wsi Tierpienie różnią się bardzo. Im wyższe są kwalifikacje ludzi, tym mniej jest atrybutów tradycyjnego wiejskiego stylu - drewnianych ław i dużych ślubnych fotografii. Tym więcej jest natomiast biblioteczek.

Za materialny atrybut duchowego życia mieszkańców wsi uznano także ikony i policzono je troskliwie. Okazało się, że w domach inteligencji z wyższym

wykształceniem ikon prawie w ogóle nie ma, wśród urzędników wiszą w co czwartym domu, wśród fizycznych wykwalifikowanych w co trzecim, a wśród fizycznych bez kwalifikacji - w co drugim i nawet częściej. Większość dzieci wiejskich jest ochrzczona, choć ich rodzice traktują chrzest najczęściej jako gest na rzecz starszych i tradycji.

Kontynuowanie tradycji wiejskich wyraża się niekiedy dość osobliwie. Zamożność bowiem nie usuwa tradycji, lecz dostosowuje do nowych możliwości. W dużym zamożnym kołchozie koło Riazania socjologowie ujrzeli solidne, nowo wybudowane domy składające się z jednego tylko pokoju. Życie rodzin koncentrowało się tu zawsze w jednej izbie, więc w nowych domach buduje się sale o 40-50 metrach kwadratowych, ustawia w nich piec, za piecem łóżka, i w izbie gigancie mieszka wspólnie cała kołchoźnicza rodzina.

W zamożnych kołchozach socjologowie notowali sposób i kolejność wydawania pieniędzy. Jest następująca: 'najpierw buduje się dom, potem kupuje meble, potem dywany (w wielkim bogatym kołchozie "Rossija" koło Riazania w każdym prawie pokoju wisi i leży po kilka dywanów), potem lodówkę i motocykl.

65

5 - Na wschód od Arbatu

Różnic w sposobie ubierania i wychowywania dzieci socjologowie nie zauważyli. Jest ich zresztą w rodzinie niewiele: jedno, dwoje najwyżej. Dzieci są lepiej odżywione i ubrane niż ich rodzice i bardzo rozpieszczone. Ten liberalny stosunek do nich wydaje się być elementem nowego stylu wychowania przyjętego i zaakceptowanego przez wieś.

Grupy społeczne na wsi są grupami otwartymi. Tylko połowa mężczyzn zaczynających jako niewykwalifikowani robotnicy pozostaje przy tej pracy na stałe. Połowa specjalistów z wyższym wykształceniem zaczynała zawodową karierę jako niewykwalifikowani pracownicy fizyczni.

Najsukuteczniejszym sposobem awansowania jest uzyskanie dyplomu uczelni. Rodzice dobrze to rozumieją i nawet pomoc w gospodarstwie stała się ostatnio - wobec odrabiania lekcji - drugorzędnym obowiązkiem dzieci wiejskich.

Mają płacić w tych dniach

Wszystko, co opisuję poniżej, zaczęło się dnia 1 kwietnia 1966 roku, gdy w Dziesiątym Wydziale Moskiewskich Zakładów Telewizyjnych wprowadzono reformę gospodarczą.

1. Zasady reformy

Wydział kupuje od zakładu surowce i narzędzia, a sprzedaje mu gotowe wyroby. Różnica między kosztami i ceną sprzedaży stanowi zysk. Tym zyskiem dzielą się po połowie: zakład i wydział. Część zysków przeznaczona jest na premie dla pracowników. Premie są tym wyższe, im niższe koszty wydziału.

2. Pierwszy błąd

Po trzech miesiącach trwania reformy okazało się, że premii nie będzie. Wydział nie wypracował zysku. Ustalono, że przyczyną był błąd kierownictwa zakładu przy obliczaniu cen. Jak się później zorientowano, produkcja jest opłacalna wtedy, kiedy cena zbytu wyższa jest

67

przynajmniej o dziesięć procent od kosztów produkcji. Kierownictwo zakładu o tym nie wiedziało. Ustaliło ceny o pięć procent za niskie.

Dyrektor ekonomiczny powiedział:

- Oczywiście, uczyłem się kiedyś, że produkcja od jakiegoś tam momentu staje się opłacalna, ale przez trzydzieści lat pracy w przemyśle nie musiałem się zastanawiać od jakiego. Kiedy zaczęła się ta reforma, trzeba było na gwałt przypominać sobie to, czego uczono nas na wykładach ekonomii.

3. Pierwsze rezultaty

W następnych trzech miesiącach wydziałowi udało się wypracować zysk. Najlepszym pracownikom wypłacono premie. Zapowiedziano, że w (przyszłości pieniądze otrzyma każdy bez wyjątku. Zrozumieli: wysokość premii zależy tylko od tego, czy uda im się produkować taniej swoje wyroby.

Robią z masy plastycznej części do telewizorów. Wykonanie niektórych wymaga ogromnej wprawy. Kiedyś, na przykład, połowę produkcji pewnego asortymentu wyrzucano na złom. Jest to mały przedmiot z pięcioma drucikami. Kosztuje trzy kopiejki. Odrzucano trzy tysiące sztuk w czasie każdej zmiany. Jedną tylko kobietą robiła te części bezbłędnie. Zarabiała więcej pieniędzy, miała więcej splendoru. Sekretu nie wyjawiała. Z pierwszego zarobionego przez wydział zysku wręczono jej premię. Potem kierownik tłumaczył ponownie wszystkim, że gdyby udało im się polepszyć jakość, to mieliby większy zysk. Później ta robotnica przyszła do kierownika i zapytała: - Czy myśleliście kiedy, dlaczego jest tyle braków? - Myślałem - powiedział -

nadal nie wiem. - Bo trzeba wiedzieć, jak trzymać tę płytkę - powiedziała. - I jaka temperatura powinna być właśnie wtedy. Nic wielkiego, tylko trzeba na to po prostu wpaść. A ja pracuję czternaście lat w zakładzie.

Braków jest obecnie o połowę mniej.

Przedtem i braki, i odpady po prostu wyrzucano. Ostatnio dwaj robotnicy wydziału samorzutnie skonstruowali maszynę, która wszystko miele. Otrzymany proszek staje się surowcem. Oszczędność wynosi sto tysięcy rubli na rok.

Na biurku dyrektora zakładu postawiono w ubiegły wtorek dwa transformatory.

Różniła je tylko cena. Jeden kosztował rubel osiemdziesiąt, drugi o rubel dziesięć kopiejek mniej. Obniżenie kosztów zaproponowali pracownicy.

Przy końcu roku obliczono: wydajność wzrosła o czternaście procent. Zwolnili dziesięciu ludzi (z 220). Płaca jest o osiem procent wyższa.

Wskaźniki powyższe obliczono dla celów statystycznych. Ani poziomu wydajności, ani stanu zatrudnienia dyrekcja już nie kontroluje. Wyznacza się teraz zakładowi, a zakład wydziałom, tylko pięć wskaźników planu: wielkość produkcji, zysk, ogólny fundusz płac, centralne inwestycje i postęp 'techniczny. Dyrekcja dobrze wie, że o wszystkie pozostałe wyniki wydział sam będzie dbał, jeżeli zechce mieć duże zyski.

Zysk za 1966 rok wkrótce zostanie wypłacony pracownikom. Tym, którzy pracują dłużej niż dziesięć lat - w wysokości podwójnej.

Zagadnęłam o to Annę Romanową, robotnicę wydziału (sekretarz partii dyskretnie wyszedł - by nie przeszkadzać korespondentowi zagranicznemu w "rozmowach z dudźmami") i była to rozmowa następująca:

'- Co z premią za zeszły rok?

68

- Mówią, że będą płacić. ' *" : , ' ?•

- Ile?

- Mówią, że siedem roboczych dni.

- Kiedy?

- Mówią, że na początku lutego.

- Ale czy to już pewne?

- Jeśli mówią, to znaczy, że tak. Uważam, że w ostatnich sześciu słowach zawiera się największy sens przeprowadzanej obecnie reformy.

miał dla ludzi". W dodatku brygada źle pracowała. W ogóle - zauważyli - dobrze traktowani ludzie dobrze pracują. Co nie znaczy - powiada sekretarz - że zainteresowali się człowiekiem tylko dla dobra produkcji. Oczywiście, że nie. Względy humanistyczne są najważniejsze nadal. Ale i korzyści produkcyjnych

pomijać nie ma sensu. Zwłaszcza dziś, w czasach reformy. Kiedy muszą szukać wszystkich możliwych rezerw i kiedy na najmniejszej nawet z nich tak bardzo im zależy.

4. Sposób wykorzystania czasu

Kierownictwo wydziału ma więcej czasu: kierownik nie biega nerwowo po detale, sekretarz nie przypomina ludziom o zadaniach, każdy przecież pilnuje sam siebie. Ten dodatkowy czas wykorzystano następująco:

Polecono majstrom zrobić spisy ludzi z zaznaczeniem daty urodzin. Majstrowie i działacze związkowi będą każdemu w dniu urodzin składać życzenia. Sekretarz zainicjował zbiórkę na tort. Niedrogi, dwa ruble kilo. Tort wręcza się bardzo uroczyście solenizantowi'.

Majstrowie kupują karty świąteczne i będą wysyłać w dni świąt wszystkim pracownikom życzenia.

Majstrowie, brygadziści i działacze związkowi powinni odwiedzać chorych. Nie jest to forma kontrolowania dyscypliny - wytłumaczono im - tylko koleżeńska troska o zdrowie.

Każdy majster i brygadzysta ma obowiązek znać stan rodzinny swoich podwładnych, interesować się dziećmi, pytać o zdrowie, a kiedy trzeba - przyjść ze skuteczną pomocą.

Już zwolniono jednego majstra za to, że "duszy nie

5. Zwolnienie na własną prośbę

Zwolniono dotąd trzech majstrów. Kilku innych odejdzie niebawem. Wszyscy pracowali w fabryce od wielu lat.

Według dotychczasowych kryteriów pracowali dobrze. Według kryteriów, które narzuciła reforma, nie nadawali się. Zabrakło im samodzielności, inwencji, organizatorskiego zmysłu.

Ze stanowiska starszego majstra odeszła kobieta pracująca w wydziale od lat czterem (oczywiście i jej, i pozostałym zapewniono inną pracę). Była sumienna i miała zasługi społeczne. W nowych warunkach okazała się niezaradna. Niestety, kobietę o wybitnych zasługach trudno zwolnić za niezaradność. Znieśli więc funkcję starszego majstra, a wprowadzili stanowisko drugiego zastępcy kierownika wydziału do spraw technicznych i na to stanowisko powołali kogo innego. Tak oto pojawiła się w wydziale nowa, o zaskakująco długiej nazwie funkcja. I tak odeszła kobieta, którą inaczej zwolnić było niepodobna.

Wkrótce odejdzie inny majster, ponieważ nie nadaje się do kierowania ludźmi. Wszystko chce robić sam.

Siedzi do siódmej wieczorem i reperuje maszynę. Mógłby to zlecić ślusarzowi, ale uważa, że lepiej sam naprawi. Naprawianie maszyn nie jest jednak jego specjalnością i tylko traci czas, "Czy w warunkach nowej reformy majster może tracić czas na próżno"?

Jest to człowiek bardzo ofiarny. Dobry człowiek. Niestety, dobroć już nie jest tym, co zastępuje znajomość rzeczy. Sytuacja jest delikatna.

Radzieckie prawo zabezpieczyło ludziom stabilność pracy i określiło sytuacje, w których można zwolnić pracownika. Każdemu zwalnianemu należy podać przyczynę, a także uzasadnić ją.

Oczywiście można udokumentować nieudolność. Daje się wtedy majstrowi jakieś trudne zadanie. Majster nie wykonuje go. Zwraca mu się uwagę. Daje mu się jeszcze trudniejsze zadanie. Majster nie wykonuje go. Zwraca się ponownie uwagę. Pisz się: dnia tego i tego zwrócono uwagę za... .1 dopasowuje się paragraf. Rzecz staje się przykra i dla zwalnających, i dla zwalnianych.

O wiele prościej jest, gdy człowiek sam składa prośbę. Kierownictwo wydziału zgadza się na odejście i nikt nie musi wiedzieć, że tak zasłużony i zany człowiek po prostu nie nadaje się na stanowisko.

Kierownik wydziału wie, że wkrótce czeka go rozmowa z owym niezaradnym majstrem. Wyobraża ją sobie tak: Powiem - słuchaj, pisz prośbę do kadr! - Do tej pory byłem dobry (to on powie). - Tak, ale dzttś, widzisz, takie zadania... (to ja powiem). Ciągle cię trzeba prowadzić za rękę (to jeszcze ja.) A czy mamy na to teraz czas? No, sam powiedz.

I zrozumie. Napisze: "Proszę o zwolnienie mnie na własną prośbę z dniem..." Niektóre zwolnienia wynikają z przemyślnego rachunku. Zwolniono, na przykład, trzech 'kontrolerów,

a przyjęto dwóch itzw. nastawiaczy. Kontrolerzy sprawdzają gotową produkcję. Nastawiacze przygotowują maszynę, zaopatrują robotnika i dbają, by w jego pracy nie było żadnych przerw. Okazało się, że ich praca jest wprawdzie wyżej opłacana, ale za to o wiele bardziej przydatna.

Nie wpadli sami na tę myśl. Podpowiedział im ją wydział naukowej organizacji pracy, który jest zupełnie nowym wydziałem w ich, istniejącej trzydzieści trzy lata, fabryce.

6. Każdy ma własne kłopoty

Tylko w trzech wydziałach wprowadzono reformę. Pozostałe pracują d rozliczają się z zakładem tak jak dotąd. Powstała więc różnica dość istotna: Wydział Dziesiąty liczy, a te pozostałe - nie. Wydział Dziesiąty może liczyć, ponieważ wszystko stało się wymierne, a zatem możliwe do sprawdzenia.

Zamawiają jakieś przyrządy w Wydziale Instrumentów. Dostają je - tylko że za czternaście tysięcy rubli, a nie, jak ustalono, za dziesięć. Kiedyś nie zauważyliby tej różnicy. Dziś - o te cztery tysiące będzie mniejszy ich zysk. Kierownictwo z ekonomistą i sekretarzem partii znowu będzie musiało się i sprawdzić całą dokumentację tego wydziału, by dowieść, że żąda czternastu tysięcy bez uzasadnienia.

Mogą dostać od Wydziału Uzupełnień za mało części zamiennych. Albo od Wydziału Armatury za mało detali. Będą próbowali wyjaśnić, jak wielkie znaczenie mają dla ich zysku te detale. Na co - bardzo prawdopodobne - tamten wydział dość obrazowo wyjaśni, gdzie właściwie ma ten ich zysk,

73

I Wydział Dziesiąty znów odwoła się do zakładowej komisji, która rozpatruje rocznie sześćdziesiąt takich spraw. Komisja orzeknie winę, wymierzy karę (najpewniej odbierze premię opieszalemu działowi). Ale Wydział Dziesiąty uważać i będzie nadal, że jedynym skutecznym sposobem byłoby wprowadzenie reformy do wszystkich wydziałów fabryki. Jeżeli bowiem tamci i będą musieli we własnym interesie sprzedać swoją produkcję, to oni nie będą mieli kłopotów z detalami. Dyrekcja zakładów uspokaja: z biegiem czasu oczywiście we wszystkich wydziałach wprowadzi się reformę.

Ale .sam zakład jest dokładnie w takiej samej sytuacji w stosunku do własnych dostawców. Rozlicza się według zasad nowej reformy. Współpracuje z fabrykami, More funkcjonują po staremu. Prosi więc zakład swoje z kolei władze, by reformę gospodarczą wprowadziły wszystkie kooperujące z nim fabryki. I słyszy uspokajające: oczywiście, przecież stopniowo wprowadzi ją cały kraj. Reforma jest gigantycznym łańcuchem. Dziesiąty Wydział to najmniejsze jego ogniwo. I miniatura wielkich, dziejących się w całym kraju spraw.

Zwycięstwo Olega Iwanowicza

Komuna obchodzi dziesięciolecie. Faina Jakowlewna postanowiła przygotować jubileusz i zebrała swoich wychowanków. I nawet było bardzo przyjemnie. Tylko niczego nie uchwalili. Po prostu każdy miał coś swojego do powiedzenia i każdy czego innego chciał. - Dawniej ja bym zaproponowała, kolektyw by przegłosował, wszyscy byliby oczywiście "za", a nawet krzyczeliby "hura".

W dodatku nie siedzieli razem, jak 'kiedyś, tylko grupkami. (- Aha - pomyślałam - to są grupy nieformalne. Bo teraz i ja już wiem, co to znaczy).

Olega Iwanowicza na jubileuszu nie będzie. Choć to Oleg Iwanowicz właśnie 'zebrał dziesięć lat temu uczniów starszych klas Frunzowskiego rejonu Leningradu, by stworzyć eksperyment pedagogiczny: komunę. Kolektyw, któremu bezwzględnie podporządkowani są wszyscy jego "członkowie. W którym druzja żywuit bez ,,ja" i jest tylko izaimek "my"!

Jednocześnie Oleg Iwanowicz - takie było założenie eksperymentu - uczył ich demokracji. - Każdy jest współgospodarzem komuny - mówił - a że wszyscy naraz nie mogą rządzić, więc będziecie mieli władzę, radę komuny. A dorośli są doradcami tylko...

Tak uczył ich Oleg Iwanowicz. A młodzież słuchała pilnie. Potem - któregoś dnia - wydano w komunie

7-5

bal, była orkiestra. Olegowi Iwanowiczowi orkiestra się nie podobała i ją wyrzucił. A komunardzi zrobili pier-szy użytek z nauki o demokracji i wyrzucili Olega Iwanowicza. Samowolnie naruszył przecież demokratyczne normy współżycia. (Z kroniki: "Saszka Brutt wstał i zapytał Olega Iwanowicza: - A jakie właściwie mieliście prawo do wyrzucenia orkiestry bez naszej zgody"? Saszkę poparł cały oddział).

Kiedy nazajutrz chciano im wręczyć przechodni proporzec za czystość, nie przyjęli go: "Nie będziemy przyjmować odznaczeń od kogoś, kto narusza suwerenność komuny..." I podyktowali swoje warunki: Po pierwsze - dorośli nie mają prawa decydować, są przecież doradcami tylko. Po drugie - radę komuny i dowódców oddziałów wybiera odtąd sama komuna. Po trzecie - nie może być mowy o zakulisowych nominacjach na wymienione stanowiska. Oleg Iwanowicz krzyczał: - Co za nieporozumienie! Ja tu prowadzę pedagogiczny eksperyment, a wy mi go pisujecie! Ale komuny eksperyment nie interesował. Komuna chciała być sobą na serio.

Ogólne Zgromadzenie Komuny postanowiło: Olega Iwanowicza usunąć.

W kronice komuny napisano potem: "To było jego zwycięstwo. Dopiero teraz rozumiemy, że być może ta klęska była najważniejszym, najpełniejszym zwycięstwem Olega Iwanowicza i jego idei". Przecież to on uczył ich demokracji oraz samodzielności myślenia i decyzji. To on uczył ich odwagi. A że pierwszy użytek z jego nauki zrobili właśnie wtedy i wymierzili go przeciw niemu? W gruncie rzeczy to nie ma większego znaczenia. Ważne, że oni już byli dorośli i świadomi. Że byli w stanie podejmować samodzielne decyzje. I samodzielnie istnieć. Po odejściu Olega Iwanowicza bowiem ko-

muna istniała nadal. Jej opiekunem została Paina Ja-kowlewna, "F. J".

- Ach, jacy byliśmy kiedyś szczęśliwi! (to dygresja F.J. właśnie). Wszystko wtedy było jasne: kolektyw, praca, zawsze wspólny cel... Opowiadałam o tym komuś i, pamiętam, nagle zapytał: "Wy chyba ciągle maszerujecie i śpiewacie chórem? - Tak - powiedziałam z dumą. - A bo co? Na obozach letnich nawet do stołówki maszerowaliśmy przez wieś z pieśnią na ustach. Po raz pierwszy poczułam się tym zażenowana dopiero przed pięcioma laty. I oni poszli, śpiewając, a ja pod jakimś pretekstem odłączyłam się. Teraz, oczywiście, każdy idzie sobie sam, którądy chce. Po prostu spotykamy się u celu. W końcu - najważniejsze jest, żeby do tego celu dojść, nieprawdaż?

Pierwsze refleksje na temat "kolektyw i osobowość" pojawiły się w kronice komuny wkrótce po odejściu Olega Iwanowicza. "Coraz surowsze są nasze rozmowy. Coraz częściej rozlega się - wygnąć! Czy nie ma w tym jakiegoś fanatyzmu? Oczywiście, tylko kolektywny trud, tylko wspólna sprawa przynoszą radość. Ale teraz następuje nowy etap. Kolektyw już stworzono i trzeba pomóc każdemu człowiekowi odnaleźć siebie, wzbogacić własne ja..."

Wychowawczyni, F. J., która dotąd umiała kroczyć na czele z pieśnią na ustach, musiała teraz pomóc swym wychowankom w formowaniu indywidualności. - Ba!

(dygresja F. J.) - Ale jak się właściwie taką indywidualność formuje?

Kiedyś, na przykład, pracowaliśmy na budowie. Było niebezpiecznie, więc mogliśmy trenować odwagę. Dziś obowiązują na (budowach przepisy bhp, żadnego niebezpieczeństwa już nie ma. Pracowaliśmy na wsi. Było ciężko, więc mogliśmy trenować wolę. Dziś są maszyny. Każdy traktorzysta robi

77

w parę minut to, nad czym męczyliśmy się godzinami. Więc i trening woli w kołchozie odpada.

Tworzyliśmy kółka amatorskie, bo chcieliśmy dostarczać rozrywki ludziom. Dziś jest telewizja, komu może być potrzebny nasz śpiew?

Wszyscy mieszkaliśmy kiedyś w ciasnych, wspólnych mieszkaniach, więc zbieraliśmy się w naszym Frunzow-skim Domu Pionierów i spędzaliśmy kolektywnie czas. Dziś każdy ma wygodne mieszkanie. Zbierają się grupkami. I nawet nie bardzo wiadomo, po co mieliby zbierać się razem, bo i tak, kiedy zejdzie się czterdziestu, to jest piętnaście różnych zdań.

Żyje się teraz lepiej, łatwiej, wygodniej. To, oczywiście, doskonale. Tylko trudności jest coraz mniej. Trudności, które można by pokonywać.

Doszli w końcu do wniosku, że jedyną trudnością godną komunarda, jaka jeszcze pozostała, jest wiedza. Zrozumieli także, że drogi do kształtowania osobowości wiodą przez wiedzę właśnie. A także przez literaturę, sztukę. Przez twórczość.

Wychowankowie komuny uczą się, studiują psychologię, socjologię, pedagogikę.

Piszą doktoraty na uniwersytecie. Uczą się języków. Pracują w zakładach Akademii Nauk. Jest ich ponad czterdziestu. Już wiedzą, jakiego człowieka i jakimi metodami chcą wychować. Stworzą więc własną szkołę. Jest ich wystarczająco dużo, by obsadzić w niej wszystkie funkcje i dyscypliny nauczania.

Będzie to kolejny pedagogiczny eksperyment, tym razem ich własny. Będą wychowywać młodzież trenując ją - tak, trenując - w dobroci, wyrozumiałości, tolerancji, samodzielności i niezawisłości myślenia... A kolektyw będzie im potrzebny po to, by formować osobowość tych ludzi. Nie na odwrót. I nic nie będzie pedagogiczną grą. Wszystko będzie na serio.

F. J., która ma przeszło 40 lat, idzie w tym roku na

studia. W końcu nie mogą być wszyscy ci wychowankowie komuny mądrzejsi od niej.

- Zamknięte na remont - odpowiadają, kiedy ich teraz pyta kto o komunę.

(Zastanawiali się, czy nie lepiej mówić o remanencie, ale postanowili, że nie.

Remanent powinien się skończyć w jakimś przyzwoitym terminie, a oni nie są gotowi do ponownego otwarcia). - A więc w gruncie rzeczy już koniec - mówią im.- Przeżyliście się...

- To prawda - odpowiadają. - Coś się skończyło. Ale coś nowego wkrótce się zacznie.

78

1

Nasza szkoła na Kutuzowskim...

Jest jedną z kilkudziesięciu moskiewskich "spec-szkół" (spec - to skrót od "specjalna"). Niektóre spośród nich przeznaczone są dla dzieci o uzdolnieniach matematycznych albo przyrodniczych. Inne nauczają w obcym języku: są szkoły angielskie, francuskie, niemieckie, hiszpańskie i chińskie (trzy).

W naszej szkole, na Kutuzowskim, wszystkich przedmiotów uczy się po angielsku.

Najpierw trzeba było zdać egzamin: do szkół specjalnych jest zawsze o wiele więcej kandydatów niż miejsc. Przez kilka dni czerwca stał na szkolnym korytarzu tłum. Rodzice byli zdenerwowani. Dzieci - na ogół nie. Dla dzieci to po prostu

szkoła. Dla rodziców - zaraz szansa, ambicja i prestiż... Spec-szkoła to bowiem nie tylko możliwość staranniejzego wykształcenia. To także coś, co wyróżnia. Czym można się przed ludźmi pochwalić. Co - w środowisku inteligenckim zwłaszcza - należy do dobrego tonu.

Udzielano ostatnich rad: "Staraj się od razu w pierwszym zdaniu powiedzieć, że znasz Odyseję". Albo: "Tylko pamiętaj, który wybraliśmy wiersz..."

Wybór wiersza był sprawą bardzo ważną. Wszyscy mówili, że wiersze robią na komisji duże wrażenie, ale nikt nie wiedział, który spodoba się bardziej: o wiosnie czy o Leninie?

Po egzaminie okazało się zresztą, że nikt prawie nie zdążył powiedzieć o Odysei, bo komisja akurat chciała się dowiedzieć, co to takiego tęczą albo jak zimą wygląda las.

A kiedy wreszcie egzaminy minęły, okazało się, że dziewczynki stanowią około 70 procent wszystkich uczniów. Chłopcy idą do innych szkół - tam, gdzie jest specjalizacja matematyczna lub przyrodnicza. Rodzice sami dokonują podziału: mężczyźni, wiadomo, potrzebna jest matematyka, dziewczynce, która oczywiście będzie humanistką, przystoi język obcy.

Publikuje się listy przyjętych. Matki mogą zająć się szyciem mundurków.

To zadziwiające, w ilu subtelnych wariantach można zrealizować zarządzenie, że "mundurek składa się ze spódnicy i żakietu w kolorze chabrowym". Okazuje się bowiem, że może to być i banalna plisowana spódnica i dżersejowa garsonka z komisu...

Pierwszego września o ósmej trzydzieści można obejrzeć swoistą rewię mody. Im starsza klasa, tym wariant mundurka swobodniejszy. I tym większy niepokój przyglądających się mam: "Skąd ja na to wszystko wezmę?" Bo to, że "dziecko musi mieć" - jest prawdą, której się nie kwestionuje. To nie jest sprawa metod wychowania. To coś większego: stosunek Rosjan do dzieci.

Kiedy w Moskwie do autobusu wsiada dziecko - nawet duże, w wieku ośmiu czy dziewięciu lat - natychmiast kilka osób wstaje, żeby mu zrobić miejsce.

Kiedy do Domu Igruszki na Kutuzowskim przywożą ogromne angielskie misie - natychmiast ustawia się kolejka. Miś kosztuje 22 ruble. Jakkolwiek obliczać, wynosi to przynajmniej 400 złotych i stanowi piątą część przeciętnej miesięcznej pensji.

Kiedy zaczął się rok szkolny, większość matek

6 - Na wschód od Arbatu

81

80

pierwszoklasistów wzięła normalny miesięczny urlop z pracy. Cały wrzesień przeznaczyły na to, by czuwać nad dzieckiem w czasie pierwszych, najtrudniejszych dni.

Codziennie rano odprowadzają dzieci do szkoły. Potem jeszcze na chwilę zatrzymują się, by pogawędzić; zdołały kupić polskie tornistry; wynajęły specjalną nianię, która czuwa nad tym, by dzieci zjadły na pauzie drugie śniadanie. Teraz zastanawiają się - co dalej. Ktoś mówi, że koniecznie trzeba zorganizować lekcje rytmiki. Rodzice szkoły francuskiej znaleźli bardzo dobrą nauczycielkę, wychowankę Izadory Duncan. Dla dziewczynek to bardzo ważne, rytmika uczy wdzięku i ładnej postawy. No dobrze, a co z francuskim? Matki z niemieckiej szkoły zorganizowały już prywatne lekcje. Bo przecież jeden język obcy to stanowczo za mało. A muzyka? Przecież w większości domów są pianina i dzieci uczą się grać. A teatr? Najlepiej kupmy abonament. A balet? Moja musi uczyć się tańca. Boże, żebyście ją widziały, Ułanowa po prostu. A jazda figurowa na łyżwach? A koncert?

Mamy z naszej szkoły nie są pod tym względem wyjątkiem. Każda rosyjska mama, a już moskiewska na pewno dokłada wszelkich starań, by zapewnić swojemu dziecku edukację należytą i wszechstronną.

Wczoraj ukazał się felieton na ten temat w Wieczornej Moskwie. (Jeśli już Wieczorka, najpopularniejsza z popołudniowych gazet, pisze o czymś, urosło to na pewno do rangi problemu). Oto jego fragmenty:

"Mamusia załamała się zupełnie. Jej przyjaciółka zadzwoniła rano i oświadczyła, że swoją Nataszę z wielkim trudem ulokowała w sekcji jazdy figurowej na łyżwach. Pięć minut później zadzwoniła żona przy-

82

jaciela taty. Ona też podzieliła się radosną nowiną. Jej roczny maluch, wychowanek jakiegoś tam specjalnego żłobka, zaczął mówić. I to od razu po angielsku. Trzeci dzwonek podwyższył ciśnienie mamusi do dwustu. Przybiegła sąsiadka, by opowiedzieć o tym, jak jej bliźniakom udało się - a wyobrażacie sobie, jaki tam był (konkurs! - dostać się do szkoły dla uzdolnionych dzieci przy konserwatorium. - Ach, jak ja się denerwowałam - mówiła ta sąsiadka. - Koncert Vivaldiego! Rozumiecie chyba!

Wieczorem z pokoju, w którym jadł kolację tatuś, doleciał mnie głos:

- Ty całe życie miałaś niepoważny stosunek do wszystkiego... Czy ty w ogóle myślałaś kiedyś o tym, czy twój syn jest w stanie wytrzymać tę konkurencję, która...

Sądząc po milczeniu - tato nie myślał.

- Bo ciebie w ogóle przyszłość twojego dziecka nie obchodzi. Wszyscy starają się oddać dzieci do szkół chemicznych, fizycznych, angielskich, hiszpańskich. Weź którąkolwiek z moich przyjaciółek - dzieci chodzą i na języki, i na 'muzykę, i do kółka matematycznego przy uniwersytecie. Tylko nie Sierioża. Ale ja nie mogę ryzykować przyszłością naszego syna! Więc tak - w głosie mamy zadźwięczała stal - zgadzasz się, czy nie - ale Sierioża i tak będzie chodził niezależnie od szkoły muzycznej jeszcze na studium sztuk pięknych...

- Tak, ale on absolutnie... - usłyszałem nieśmiały głos taty...

- Nie szkodzi. Nauczą go. Ale to nie wszystko. Sierioża będzie chodził do szkoły matematycznej. No to co, że na drugim końcu miasta? Po trzecie..."

Tak, to szalenie zabawne: matka snobka i sterroryzowany syn. Ale jeszcze zabawniejsze, że ta matka

83

ma całkowitą rację. Jej Sierioża za parę lat skończy szkołę średnią jak wszyscy i jak prawie wszyscy będzie zdawał na studia. Ale już w tym roku było po 10-15 kandydatów na jedno miejsce. A co będzie za parę lat? Jeśli Sierioża zechce być tym jedynym przyjętym z dziesięciu starających się - to musi wiedzieć więcej niż przewiduje program. Szkolne minimum będą znali przecież wszyscy. Trzeba więc zabłysnąć czymś, czego tamtych dziesięciu nie wie. Dostanie się na studia nie ten, kto bardzo dobrze zna matematykę, lecz - kto najlepiej ją zna. I kto najlepiej maluje. I najudolniej gra. I najwięcej zapamiętał z odczytów, na które roczny abonament wykupiła już mama. Z początku, oczywiście, to mama pcha Sieriożę do większego wysiłku. Ale już po paru latach Sierioża zauważył sam, że nie chodzić do kółka przy uniwersytecie po prostu nie wypada. W środowisku młodzieżowym obowiązuje teraz taki styl: trzeba coś ekstra czytać, najlepiej w obcym języku. I czegoś specjalnego wysłuchać, na przykład w muzeum techniki. I coś nawet napisać samemu, choćby w naukowym kółku, a jeśli w miesięczniku 'Junost', to jeszcze lepiej. Nie wiem, co tu jest przyczyną, a co skutkiem - fakt jednak, że mówi się już nie o modzie, lecz o zjawisku ożywienia intelektualnego młodzieży radzieckiej, obserwowanym przez pedagogów i socjologów przez parę ostatnich lat.

Szkoła zresztą narzeka. "Coraz trudniej pracować z nimi", stwierdzają nauczyciele, a Już najtrudniejsi z trudnych to uczniowie miast. Pedagog, dr T. Malkowska, próbowała wyjaśnić przyczynę kłopotu. Okazało się, że dzisiejsi uczniowie w odróżnieniu od swych rówieśników z poprzednich lat

84

"niczego nie przyjmują na wiarę, o każdej sprawie chcą mieć własny sąd... Ich szacunek budzi nie wiek nauczycieli, tylko ich wiedza, niezależność, naturalność w sposobie bycia". (Dr Malkowska chyba wie, co mówi: zbadała opinię i postawy półtora tysiąca uczniów najstarszych klas).

Kim, sam zresztą nauczyciel z zawodu, śpiewa o tych mądralach współczesnych w piosence krążącej po Moskwie w prywatnych magnetofonowych nagraniach.

"Ja im goworiu - eto tak to i tak,

A jeśli nie tak - znacit łóż.

A oni kriczat - a gdzie fakty?

.' ' Argumenty wyń i połóż!";

No, ale nas, rodziców ze szkoły na Rutuzowskim, wszystko to jeszcze mię dotyczy. Nasze dzieci poszły do pierwszej "A" i borykają się dopiero z kunsztownymi zawijaskami dużego "T", które w języku rosyjskim przypomina trochę ornamenty z Pałacu Kultury.

Matki poszły do pracy po wrześniowych trudach. Zmęczone: nie miały urlopu przecież. Ociężałe: nie chodziły nigdy na rytmikę do uczennic Izadory Duncan. Skromnie ubrane: nie kupują sobie garsonek w komisie. Ale ich dzieci będą to wszystko miały. Wszystko, czego one same nie mogły mieć. Co kiedyś było dla ich rodziców, a i dla nich symbolem kultury, dostatku, dobrego tonu. I co dziś potrafią urzeczywistnić nareszcie!

Po dzieci przychodzą teraz babcie. Stare, w chustkach na głowie, z dobrymi twarzami spracowanych, wiejskich kobiet.

Rozmawiają o czymś innym niż ich ambitne córki.

Spoglądają w niebo z z troskaniem.

85

Mówią: - Pogoda utrzymuje się. To dobrze. Jeszcze nie skończył się siew. No i są przecież w polu kartofle...

Od dwóch lat cała młodzież radziecka wielkich miast kończy szkołę średnią.

Obecnie czyni się starania, by i każda wieś znalazła się w jej realnym zasięgu.

Dla nowej szkoły opracowano nowe programy. Usunięto rzeczy przestarzałe i wprowadzono dziedziny, których szkoła nie nauczała dotąd. Do matematyki - m. in. teorię prawdopodobieństwa i problemy cybernetyki. Do fizyki - podstawowe pojęcia teorii względności i mechaniki kwantowej. Do biologii - genetykę: budowę i funkcje kwasu nukleinowego, mechanizm dziedziczności.

Do programu literatury powrócili pisarze, których nie było tam przez ostatnie 40 lat. Na przykład Dostojewski.

Nowe podręczniki piszą takie autorytety naukowe, jak matematyk prof. Kołmogorow, fizyk, dyrektor Instytutu Fizyki Akademii Nauk, Kikoin, prof. Dubinin zaś, który przed laty musiał opuścić stanowisko dyrektora Instytutu w Nowosybirsku, bo genetyka była nauką podejrzaną - opracował program biologii.

Nowe programy stanowią obowiązujące minimum państwowe. Poza tym każdy uczeń starszych klas ma wybrać sobie, zależnie od upodobań i zdolności, jeden siedemnastogodzinny kurs z dowolnej dziedziny: fizyki kosmosu, teorii literatury, mikrobiologii, podstaw psychologii, historii sztuki itd. Każda szkoła może wprowadzić nauczanie fakultatywne pod warunkiem, że ma odpowiednio przygotowanych wykładowców.

Wprowadza się także nowe metody nauczania, które polegają na zmuszaniu ucznia do aktywności. Gabinety programowanego nauczania wprowadza się stopniowo do wszystkich szkół. (Dzięki specjalnej aparaturze zapewniony zostaje dwustronny kontakt między nauczycielem i każdym uczniem z osobna). Uczeń czyta krótkie

fragmenty ze specjalnego podręcznika, po których są pytania kontrolne, światełka na pulpicie wskazują, czy udzielił prawidłowej odpowiedzi.

Powołano szkoły specjalne: matematyczno-fizyczne, przyrodnicze i z wykładowym językiem obcym oraz kilka szkół przy uniwersytetach dla największych talentów matematycz-

86

nych. Wybiera się do nich uczniów tylko spośród zwycięzców olimpiad - w stosunku 1:20. I jedynie z wiejskich i małomiasteczkowych szkół, by zapewnić im prawdziwie równy start na studia.

Z początku środowisko nauczycielskie wyrażało obawy, że specjalizacja szkół zagrozi zasadzie zespolowości w wychowaniu komunistycznym. Na świadków powoływano nawet Łuna-czarskiego i Krupską. Zwolennicy reform zaś - powołując się na te same autorytety (tyle, że wypowiedzi cytując inne) udowadniali, iż rozwijanie indywidualnych uzdolnień jest zgodne z najgłębszym sensem socjalistycznej pedagogiki. Nie wydaje mi się zresztą, by zwolennicy zmian byli w większości. Ale sprawę rozstrzygnięto decyzją najwyższych władz, które jednoznacznie poparły reformę.

Spośród absolwentów szkół średnich wszyscy prawie próbują dostać się na studia. Socjolog Wł. Szubkin podaje, że 80 procent wszystkich maturzystów Syberii ma zamiar uczyć się dalej (w tym 92 procent dzieci inteligencji). W rzeczywistości dostaje się na uczelnie co drugi maturzysta. Przy czym spośród młodzieży inteligenckiej -[^] większość, bo 73 procent, a spośród dzieci kołchoźników mniej niż połowa. Szansa zrealizowania aspiracji życiowych zależy więc w dużym stopniu od przynależności do klasy społecznej. Młodzież inteligencka ma szansę większe od robotniczej, a ta z kolei większe od chłopskiej. Wynika to z istniejących wciąż jeszcze różnic w poziomie szkół i w poziomie kulturalnym różnych środowisk.

Fakt, że prawie cała młodzież próbuje dostać się na uczelnie świadczy o tym, iż w świadomości społecznej tylko dyplom wyższej uczelni gwarantuje sukces życiowy. Większość maturzystów, którzy nie dostali się na studia, podejmuje pracę w produkcji. Szkoła średnia stała się, po raz pierwszy w historii ZSRR, źródłem dopływu kadr nie dla szkół wyższych przede wszystkim, lecz dla przemysłu. Spośród maturzystów 1966 roku, na przykład, półtora miliona osób podjęło pracę robotników. Obecnie przybywa państwu rocznie około dwa miliony robotników, absolwentów szkół średnich. Robotnik z maturą staje się w radzieckim przemyśle zjawiskiem codziennym.

"Czują, że rozwijają się intelektualnie"

Stosunki między Saszą Cypko i Karolem Marksem są nie tylko przyjazne, lecz wręcz zażyłe. Od czasu do czasu Sasza odrywa się jednak od Marksowskich ksiąg i stara się skonfrontować przeczytane z tym, co jest dookoła. Na przykład - zamyśla się Sasza - jak też właściwie robotnicy realizują u nas postulat uczestniczenia w rządzeniu? I po prostu zadaje to pytanie robotnikom. (Są to robotnicy Zakładów Elektrotechnicznych im. Kujbyszewa w Moskwie).

Więc jeden z nich - który nie przyswoił sobie, jak Sasza, nawyku wyrażania własnych myśli własnymi słowami - sądząc, że tu na pewno potrzebna jest jakaś deklaracja zasadnicza, zaczyna tak: - Wszyscy wiemy, w jak niesłychanym tempie rośnie... jak coraz więcej... jak coraz lepiej... i jak my robotnicy zakładów im. Kujbyszewa...

- Co wy - dziwi się Sasza - przecież to nie akademia.

Mówcę - Wołodię Murawiowa - speszyło to, więc już dodaje tylko, że właściwie robotnicy powinni uczestniczyć w opracowywaniu norm. Wtedy jednak ożywia się inżynier Smirnow i pyta, jaki może być udział robotników, skoro zupełnie nie są do tego przygotowani. Znacnie ekonomię? Nie. No to o co w ogóle wam chodzi?

Sasza wspomina w tym miejscu o instytucjach gwarantujących w zakładzie demokratyczne zarządzanie (rady młodych specjalistów, kontrola podziału premii itd.), ale zaraz stwierdza zdziwiony, że o niektórych ci robotnicy nawet nie słyszeli, a do innych odnoszą się sceptycznie. ("Wyjaśnić przyczynę sceptycyzmu. Zorientować się, dlaczego instytucje demokratyczne funkcjonują w zakładzie słabo" - zapisał skrupulatnie i uczciwie w swoim dzienniku Sasza).

A że zdążył już zarazić zebranych nawykiem wypowiedziania niebanalnych zdań, więc zaczęli się teraz zastanawiać, czy właściwie nie należałoby wybierać dyrektora zakładu drogą głosowania, a jeżeli tak, to jaki ten dyrektor powinien być. Saszy to nie zakłopotало, problem zarządzania technicznego i zarządzania społecznego w ujęciu Marksa ma w małym palcu. O wiele bardziej zaniepokoił go ten Wołodia Murawiov. Zapisał sobie nawet: "Jakże on przyswoił ;obie taki sposób myślenia, ten paradny i krzykliwy styl? Czy to typowe? Trzeba będzie pogadać z chłopakami o społecznym niebezpieczeństwie demagogii, o którym uprzedzał Lenin".

Dwudziestu rozmówców Saszy

To ludzie, którzy są robotnikami do dziś lub byli nimi w przeszłości. Mają po dwadzieścia parę lat. Wszyscy urodzili się w Moskwie. Spotykają się z Saszą, studentem piątego roku filozofii, tylko dlatego, że chcą. Nikt ich do słuchania o egzystencjalizmie i socjologii Eltona Mayo nie zmusza. Słuchają, bo - jak mówi Tania Szumakowska - "czują, że rozwijają się intelektualnie".

88

Wszyscy - i ci, którzy byli kiedyś robotnikami, i ci, którzy są nimi nadal - mają co najmniej średnie wykształcenie. Bo w zakładach im. K u j b y s z e w a na dwa tysiące pięćset pracowników, nie mających jeszcze trzydziestu) lat, aż 90 procent ma maturę. Niektórzy już z nią przyszedli do zakładu, inni uczyli się w wieczorowej średniej szkole. Zależało to od wieku: roczniki 1941-45 i starsze nie miały ojców. Ci chłopcy musieli pomagać swoim owdowiałym matkom i rozpoczynali pracę mając 14, 15 lat. Pracując uczyli się. A od roku 1963 zaczęli napływać ludzie urodzeni po wojnie, mający oboje rodziców i kończący szkołę średnią w normalnych warunkach.

Wszyscy - zanim przyszedli do zakładów im. Kujby-szewa - zdawali na uczelnie, ale im się nie powiodło. Sekretarz Komsomołu Smirnow mówi o nich, że przychodzą rozpieszczeni i rozczarowani. Zwłaszcza jedynacy. Całe życie ich rodzin podporządkowane było dzieciom, które nie robiły nic, bo przecież musiały się uczyć. Byli zmuszeni nawet powołać w zakładzie specjalną komisję, która prowadzi pracę wychowawczą z rodzicami i z dziećmi. "Nauczyli się tylko żądać - mówi Smirnow- - A gdzie się ich rewolucyjność podziała?"

Inflacja wykształcenia

Przychodzą więc cło fabryk: z maturą, naukowymi aspiracjami i goryczą pierwszej porażki.

Zapewne mogliby i tu znaleźć sobie miejsce. Mają przecież ogólne średnie wykształcenie, potrafiliby wykazać inwencję, może w jakimś skromnym zakresie swego stanowiska stworzyć coś oryginalnego.

Niestety, na stanowiskach, które wymagają .samodzielności, pracuje tylko 30 procent robotników. Pozostałe prace są na ogół monotonne, polegają na powtarzaniu tych samych ruchów w ten sam sposób. Nie wymagają nie tylko inwencji, lecz w ogóle - myślenia.

I okazuje się, że przy takich zajęciach robotnicy z maturą pracują gorzej i mniej wydajnie od swoich kolegów mających niższe kwalifikacje. Ich wykształcenie "przeszkadza" niejako wzrostowi wydajności.

Socjolog, profesor Włodzimierz Jadów, który zbadał sytuację dwóch tysięcy robotników, doszedł do wniosku, że przy obecnym poziomie techniki i organizacji

przedsiębiorstwa nie są w stanie wykorzystać w pełni kwalifikacji swych robotników.

To odbija się oczywiście na ich stanie ducha. Jadów powiada, że im wyżej robotnicy są wykształceni, tym mniej zadowoleni z pracy. Uważa zresztą to zjawisko za krzepiące: świadczy o wzroście potrzeb duchowych młodego radzieckiego robotnika, a "nie budzi niepokoju wzrost potrzeb - lecz niemożność zaspokojenia ich".

W najbliższym dziesięcioleciu liczba robotników ze średnim wykształceniem będzie wzrastać szybciej niż liczba miejsc pracy odpowiadających tym kwalifikacjom.

"Toteż - pisze Jadów - warunki kształtujące stosunek młodego pokolenia robotników do pracy będą się pogarszały..."

Kapitolina Korolewa o Aleksandrze Macedońskim

^ -'

>.- Podobnie jak ludzie, z którymi rozmawiał Jadów, młodzi robotnicy zakładów im. Kujbyszewa nie wykorzystują swojego wykształcenia w pracy.

91

Do czynności, które wykonuje Kapitolina Korolewa, potrzebne są chyba cztery klasy ("a może i tego nie"). Kapitolina bierze bowiem lewą ręką drucik, a prawą pręt, umieszcza to pod przyciskiem i nogą uruchamia pedał. Odkłada przylutowaną część, potem bierze lewą ręką drucik, prawą pręt i uruchamia pedał. Odkłada część. Potem bierze lewą ręką drucik, prawą pręt... W ciągu dnia Kapitolina powtarza ten ruch dwa tysiące razy. Oczywiście robi to wszystko mechanicznie, myśli o czymś zupełnie innym. Że na przykład bardzo chciałaby wyrwać się z tej pracy i że tylko dalsza nauka da jej tę szansę. I że wobec tego będzie próbowała zdać egzamin do Instytutu. I że dziecko odda do internatu, bo inaczej nie da sobie przecież rady...

Później iznaeznie, w leningradakłej "Świetłanie" spotkam robotnice, które zaczęły od takiej samej prasy lutującej jak Kapitolina. Ale ponieważ wierzyły wciąż, a nawet śpiewały, że "młodym wieździe u nas doro-ga" - poczuły się tymi prasami zawiedzione gorzko. Co prawda, jeśli drogi stoją otworem wszędzie - to znaczy, że i do pras lutujących też. Ale one myślały! raczej o jądrach atomu i kosmosie. (Bo zresztą takie| właśnie wizje roztaczała przed nimi niepoprawnie optymistyczna szkoła). I zaczęły składać wymówienia z pracy.

Ale w Leningradzie jest o pracowników bardzo trudno. Kierownictwo "Świetlany" wpadło więc na pewną interesującą myśl.

Skonstruowano mianowicie zamiast prostych pras skomplikowany aparat. Teraz rzecz wyglądała już poważniej: robotnica musiała obrócić elektrody i coś tam wstawić, znów odwrócić, coś umocować, znów odwrócić... A wszystko automatycznie, przy prawdziwej, skomplikowanej maszynie. Ba, mechanizm mógł się przecież zepsuć, więc trzeba było wołać technika. Ro-

bożnica konsultowała z technikiem zagadnienie. Praca robotnicy była teraz ważna. I ona sama stała się ważniejsza. Nie poruszała już bezmyślnie rękami i nogą. Obsługiwała skomplikowaną aparaturę.

Kierownik wydziału, inżynier Aleksander Roberto-wicz, wyjawiał mi, że ów aparat nie zwiększa ani o jotę wydajności pracy. Co więcej: jest dokładnym zaprzeczeniem wszystkiego, z czym dotąd łączono pojęcie postępu technicznego. Bo nie tylko nie zwiększa wydajności, ale również nie ułatwia pracy. Na odwrót. Właśnie czyni ją o wiele trudniejszą. Lecz cóż się okazało? Robotnice, wykonując znacznie więcej czynności przy znacznie bardziej skomplikowanej aparaturze - zaczęły znakomicie pracować. Wydajność pracy zwiększyła się o 12 procent. Poprawiła się dyscyplina. Nawet zmalała płynność kadr. Po prostu ROBOTNICE Z MATURĄ PRZESTAŁY SIĘ NUDZIĆ.

Inżynier Robertowicz, który pracuje w przemyśle trzydzieści lat mówi, że gdyby tego wszystkiego nie widział i nie sprawdził - nie uwierzyłby. Ale przez te trzydzieści lat przemysł nie zatrudniał tak wielu robotników z tak wysokim poziomem wykształcenia. A wymagania tych robotników są, jak się okazuje, zupełnie inne. Czego innego oczekują i od pracy, i od kolegów, i od zwierzchnika.

W Wydziale Trzynastym "Świetlany" zdarzyła się kiedyś taka historia: majster zobaczył, że jedna z robotnic przyniosła na halę, wbrew przepisom, kefir. Kazał go wynieść. I stał, czekając, aż polecenie wykona. Majster - doświadczony i stary, który przepracował w przemyśle swoje dwadzieścia lat - zawsze tak stał nad robotnicami i nigdy nikt się nie obrażał z tego powodu. Ale ta robotnica powiedziała, że usłyszała polecenie i że nie trzeba nad nią stać. Majster zaczął krzyczeć. Robotnica zaczęła demonstracyjnie popijać

kefir. Wybuchła awantura. Nazajutrz zebrano wszystkich majstrów.

- Było, jak zwykle - opowiada kierownik - przegięcie w lewo: ktoś zawołał, że to całe gadanie jest bez sensu, bo robotnicę trzeba najzwyczajniej zwolnić. I było przegięcie w prawo: ktoś dowodził, że nie byłoby nieszczęścia, nawet gdyby majster jeszcze i chleb do kefiru przyniósł. W końcu wypracowano "linię centrową": stwierdzono, że wprawdzie robotnica naruszyła dyscyplinę, ale majster także zawinił, bo wykazał kompletną ignorancję w dziedzinie metod zarządzania ludźmi.

Od tamtej właśnie pory zaczęto metod tych uczyć wszystkich przełożonych. Tak się składa, że brygadziści i majstrowie to przeważnie starzy fachowcy, którzy od dziesiątków lat kierowali ludźmi, jak umieli, "i było dobrze". A teraz okazało się, że ktoś, kto ma maturę, wymaga zaraz specjalnego traktowania. I co dziwniejsze - traktowany lepiej - lepiej rzeczywiście pracuje.

Do kontroli transformatorów w moskiewskich zakładach im. Kujbyszewa wystarczają wiadomości z zakresu 'jśmiu klas. Robotnicy wykonujący tę pracę mają średnie wykształcenie, a pięciu spośród nich podjęło nawet studia. Kontrolują te transformatory nadal, ale taki - na przykład - Sława uczy się jednocześnie w Instytucie Energetycznym. A Edik Guterman studiuje ekonomię na Uniwersytecie im. Łomonosowa.

Robotnik-student różni się od nie studiującego robotnika pod wieloma względami. Ma określone upodobania. Do teatru na Tagankę, na przykład, chodzi, a do Sowremiennika nie. Albo na odwrót. Studiuje jak Edik amerykańską literaturę ekonomiczną, bo interesuje go naukowa organizacja wielkich zespołów ludzkich. Gra w brydża i lubiłby polowanie, gdyby miał na to czas.

No i studiuje filozofię w towarzystwie i przy pomocy Saszy Cypko.

Bo robotnik-student (podobnie zresztą jak robotnicy nie studiujący, ale z wykształceniem średnim) pragnie stworzyć sobie pewną intelektualną egzystencję. Seminarium, które prowadzi Sasza w zakładach im. Kujbyszewa, jest po prostu jedną z wielu form.

Na to seminarium przychodzi Kapitolina Korolewa po wykonaniu dwóch tysięcy ogłupiających ruchów rękami i nogą, by głośno zastanawiać się nad sensem historii powszechnej ("Historia nie może obejść się bez stosów trupów ludzkich, po których wielcy wspinali się na jej szczyt - mówi. - Czyż wielkość Aleksandra Macedońskiego i Napoleona nie jest rezultatem niezliczonych krwawych batalii?"). A znów Żenią Korzin, sekretarz Komsomołu, który przedtem był ładowaczem, a teraz studiuje prawo - głośno zastanawia się, czy wybuchłaby rewolucja w Rosji, gdyby nie było Lenina z jego talentem organizatorskim i partią, którą stworzył. To seminarium jest wymianą zdań ludzi dorosłych. Nie ma tam pytań, których nie należy zadawać. I nie ma odpowiedzi, których udzielać nie wolno.

Na najbliższym spotkaniu będą mówili o autorytecie. Potem chyba wezmą egzystencjalizm, bo członkowie kółka o to prosili. Tylko z terminem mają kłopot.

Wszyscy, włącznie z Saszą, będą teraz strasznie zajęci. Na moskiewskich uczelniach trwa sesja egzaminacyjna.

94

Wieczór poezji

W Zakładach Samochodowych im. Lichaczowa odbędzie się dzisiaj wieczór poezji Siergieja Kakurina, kierowcy.

Siergiej Kakurin już jest. Przyszedł w czarnym ubraniu. Siedzi pod ścianą. Jest trochę spocony i drża mu ręce.

Publiczność zajmuje miejsca. Ktoś przyniósł gruby tom, słownik wyrazów obcych. (Ostatnim razem nie zrozumiałem jakiegoś słowa...).

Gleb Siergiejewicz mówi, że w najnowszym numerze miesięcznika Moskwa ukazał się artykuł Zabieli-na: - Bardzo interesujący artykuł. Radzę przeczytać dla wzbogacenia się duchowego i intelektualnego.

Już jest ze czterdzieści osób. Połowa wszystkich członków klubu literackiego ZIŁ. Większość pod pięćdziesiątkę, kilku emerytów, kilkunastu młodych.

Inżynierowie, księgowi, robotnicy i wicedyrektor zakładu. Jeden z młodych ma długie włosy z grzywką i golf. Jeden ze starszych nosi ciemny garnitur i gwiazdę Bohatera Związku Radzieckiego.

- A teraz proszę towarzysza Kakurina o przeczytanie wierszy - mówi Gleb Siergiejewicz, który jest konsultantem do spraw poezji.

Kakurin trzyma w ręku notesik (na ręce ma tatuaż):

- Układam wiersze, kiedy siedzę za kierownicą. Wiersz W odlewni:

Pędzącą wstęgą chlusnął metal...

Właściciel słownika przewraca kartki. - Analogia... Aplikacja.. W ogóle nie ma tu słów potrzebnych w poezji.

Odlewnicy ZIŁ-a .Potrafią w pełni Napełnić metalem Wielką Niedźwiedzicę I zrobić koronę Księżycowi w darze...

I jeszcze Wiersz dla córki, Jabłka, Myśli moje niespokojne.

A wy się przede mną kryjecie

W wiersza linijkach nie zawarte,

a W sercu moim nie sprawdzone

I wyobraźnią nie ogrzane....

, - Rozpoczynamy dyskusję, towarzysze, najpierw pytania.

- Czy wstęga może pędzić?

- Jak sobie towarzysze Kakurin wyobraża pracowników odlewni robiących coś tam dla Księżycy, a już tym bardziej dla Wielkiej Niedźwiedzicy? Przy ich poziomie wykształcenia? Tylko odlewy potrafią robić. Co to może mieć wspólnego z kosmonautyką?

- Dlaczego u niego rymów nie ma?

- Bo to jest biały wiersz. Zresztą dobrze rytmicznie zorganizowany (inżynier).

- W końcu cała antyczna literatura jesit pisana białym wierszem (buchalter).

Wala Reźnik, ślusarz, poeta, jedyny z członków klubu przyjęty do koła młodych przy Związku Pisarzy:

96

7 - Na wschód od Arbatu

97

^= Nie rozumiem, po co zajmujecie się tymi drobiazgami. I nie rozumiem, po co ty, Siergiej, piszesz takie wiersze. Skąd u ciebie ta romantyka, ta zgniła, głupia romantyka odcisków i potu? Od kogo nauczyłeś się jej, Siergiej? Wiem. Przejąłeś ją od gazetowych poetów, tych spryciarzy spekulujących na robotniczej

temaityce. Ale nam, którzy znamy odciski i pot, należałoby zabronić, kategorycznie zabronić podobnych spekulacji!

Pataszow, najbliższy przyjaciel Wali Reźnika, oficer:

- Takich wierszy napisano z tysiąc. Słowo honoru. Tylko, że ja ich nie przeczytałem. I twoich wierszy też nie przeczytam, Kakurin. Przyjrzyjcie się. Jakich on używa słów. Jak rzeka - to zaraz rwąca. Jak zawód - to trudny. Jak przyjaźń - to surowa. A jak matka - to "Rosja nasza rodzona".

- A myśl jaka? Nie widzę myśli. To mnie przeraża. Ja cię przepraszam, Kakurin. Ale ja widuję 'te twoje wiersze - takie jak twoje - w gazetach. Budzą odrazę. Są jak martwo urodzone dzieci. Nie wolno ci budzić odrazy swoimi wierszami. Nie wolno zniechęcać ludzi do wierszy! Trzeba zabronić! Grzmieć! Słowo honoru, grzmieć trzeba!

Pataszow krzyczy. Wala krzyczy. Gubariow, robotnik, równieśnik Wali, krzyczy także.

- Co wy za bzdury gadacie! O rumiankach byście tylko pisali. A !tu o partii pisać trzeba! Dobrze Kakurin robi. Niech pisze dalej.

Teraz już wszyscy krzyczą. Pataszow, Reźnik, Gubariow i sala. Inżynier-emeryt uspokaja. Konsultant uśmiecha się. Gubariow woła:

- A twoje wiersze, Pataszow, jeśli już chcesz wiedzieć, wcale nie są lepsze. Konsultant przestaje się uśmiechać.

- Proszę sobie wyobrazić, towarzyszu, że to nie

Pataszow siedzi tutaj, tylko Wissarion Bieliński. Bieliński był bardzo złym pisarzem. A krytykiem wspaniałym.

To robi wrażenie, sala przycicha. Z konsultantem liczą się najwyraźniej.

Prowadził przez siedem lat klub literacki w Instytucie Geologii w Leningradzie.

Z klubu tego wyszła grupa prawdziwie świetnych poetów: Gorbowski, Kuszniw, Tarutin, Ogiejew. Cała młoda poezja Leningradu to wychowankowie Gleba Siemionowa. Więc uczy ludzi pisania? Nie. Mówi, że po prostu co piąty geolog jest poetą i wystarczy go tylko umiejętnie prowadzić. Nie wie jesz-cze, czy robotnicy ZIŁ-a też są poetami. Ale sądzi, że jeśli nauczą się odróżniać dobre wiersze od złych, lubić dobre i rozsądnie wyjaśniać, dlaczego je lubią - to konsultant do spraw poezji spełni swoje zadanie.

A więc sala przycicha i Krupieniu, robotnik, poeta (w klubie literackim wszyscy piszą wiersze, prozą zajmuje się niewielu, starsi przeważnie) - otóż Krupie-nin pragnie zabrać teraz głos, choć uprzedza, że nie całkiem na temat.

- Ja także kiedyś chciałem napisać wiersz o odlewni. Poszedłem. Pomyślałem: może zobaczę coś niezwykłego, coś, co mnie poruszy, i może wiersz napiszę. Widzę - krople płynnego metalu na ziemi, iskry po hali się sypią. Mówiłem sobie: iskry, czy to nie piękne - iskry, jak sztuczne ognie, nie, jak gwiazdy, nie, jak złoto, nie, jak wszechświat... Ale wiedziałem, że to w gruncie rzeczy nic. Że iskry jak iskry. Są, owszem - lecą sobie. I nie napisałem wiersza. Tak tylko mówię o tym towarzyszom, właściwie nie na temat.

Inżynier Uszaticow, kierownik klubu, chciałby teraz opowiedzieć, jak kiedyś po zajęciach podszedł do niego Kakurin i powiedział: - Wiecie, Mikołaju Siergiejewiczu, zrozumiałem dziś, że to, co dotąd pisałem,

98

99

to nie wiersze. Inżynier rad by wiedzieć więc, czy Ka-kurin teraz już sam rozumie, czym jest wiersz, bo to jest dosyć ważne.

Inżynier pracował w produkcji, ale zrezygnował na rzecz pracy w gazecie zakładowej i klubie literackim. Czuje się dzięki temu bliższy literaturze i w ogóle twórczości. Opowie chętnie historię zakładowego klubu. Istnieje 38 lat, powstał z inicjatywy Gorkiego, a pierwszym kierownikiem był Aleksander Bezymień-

ski, poeta. Klub miał uczyć rozumienia literatury i miał sam tworzyć literaturę. Tak było. I potem robotnicy ZIL-a, 'byli członkowie klubu, zostawali zastępcami naczelnymi redaktorów poważnych czasopism, a także cenionymi poetami. Bella Achmadulina w klubie zaczynała. Pracowała przy montażu. Było ito dobrych kilkanaście lat temu. Bella była wtedy... o taka, w takiej króciutkiej sukience latała. No a potem poszła do Instytutu im. Gorkiego i stała się sławna. Ale Bella jest nasza. Do klubu przychodziło wielu sławnych ludzi w gości. Charles Snów, angielski pisarz i jakiś beatnik z Ameryki, i Francuzka, Nathalie Sarraute. Kiedy tej Nathalie przeczytał Aksionow, tynkarz z zawodu, swoje przekłady z Baudelaire'a, to miała łzy w oczach, wszyscy widzieli. Dyskusja w klubie literackim trwa.

Mężczyzna z gwiazdą Bohatera Związku Radzieckiego - poważny i opanowany - właśnie zwraca się do wzburzonego Pataszowa i do Wali:

- Za dużo myślicie o swoim warsztacie pisarskim. Za mało o tych, dla których piszecie. O robotnikach. To samolubnie. Korzyść, jaką ludzie wyniosą, oto co jest ważne. Ja w swoich wierszach pokazuję, czym żyje kolektyw robotniczy. A jak piszę, to sprawa drugorzędna. I my będziemy walczyli właśnie o to, by prace naszych poetów przynosiły realny pożytek,

a nie żeby towarzysze tak bezprzedmiotowo krytykowali się nawzajem.

Nikt z Bohaterem nie polemizuje. (Onieśmielił? Przekonał?).

Więc jeszcze tylko zabierze głos konsultant i powie, że trzeba czytać jak najwięcej, bo nie mamy prawa nie zinać tego bogactwa, jakim jest rosyjska literatura. A kiedy ją poznamy, będziemy o wiele mniej pewni swoich dokonań i mniej zadowoleni z siebie.

Potem, już prawie na odchodnym, powie ktoś, przy-przypominając tym samym, że w końcu o Siergieja Ka-kurina także tutaj chodzi: - Wierzę w ciebie, Siergiej, mimo wszystko - i Kakurin z wdzięcznością skinie głową. I jeszcze kierownik zakomunikuje zebrany, że za tydzień, jak zwykle w środę, spotkają się znów, by ocenić opowiadania towarzyski Płotnikowej.

I rozejdą się, bo już prawie zrobiła się noc, a jutro trzeba na szóstą przyjść do pracy.

]00

Pozytywny bohater

W krajach pustynnych dobrze przeżył życie ten, kto wykopał, studnię. W bezleśnych - kto posadził drzewo. Na Syberii - kto budował drogę.

Drogę buduje się tak. Zrzuca, się z samolotów w głąb tajgi tzw. desant. Ludzi i sprzęt. Ludzie przebywają piechotą kilkadziesiąt kilometrów, wyrabując miejsce na każdy krok toporem. Posuwają się z szybkością około trzech kilometrów dziennie. Ciągają za sobą sanie z żelaznym piecykiem, lekarstwami i żywnością. Udział w desancie jest dobrowolny.

Duża część obwodu irkuckiego leży w strefie wiecznej zmarzliny. Latem zmarzlina zamienia się w nieprzebyte błota, więc budowę można prowadzić tylko zimą.

Średnia temperatura stycznia w północnych rejonach, zajmujących trzecią część irkuckiego obwodu, wynosi minus 33 stopnie. Najniższa - minus 60. Przepisy zezwalają na przerwanie pracy przy temperaturze poniżej 50 stopni mrozu.

Podczas budowy linii wysokiego napięcia do Ust'-Ilim średnia temperatura wynosiła ponad 40 stopni mrozu. Na drodze ustawiono następujące drogowskazy: "Do .butelki piwa - 68 km". "Do łaźni - 45 km". "Do ostatnio spotkanego niedźwiedzia - 17 metrów". Następna tabliczka - "Do Ust'-Ilim - 191 km" - wskazywała drogę, którą należało jeszcze przejść.

W wypadku choroby niesie się człowieka do najbliższej bazy. Podczas budowy drogi do Ohaliuzowki niesiono przywalonego drzewem robotnika nocą 30 kilometrów przez śnieg sięgający piersi.

"Na trasie Abakan - Tajszet wskutek zalania wodą komsomolcy utracili prowiant. Trzech poszło po chleb, a reszta przystąpiła do budowy mostu. Szli po chleb w lodowatej wodzie sięgającej gardła... Zadanie wykonali. Most zbudowali w terminie". (Z pierwszego zjazdu młodych budowniczych Syberii w Bracku).

"Ślusarz Stepan Machowik pracował oblany od stóp do głów wodą, która na czterdziestostopniowym mrozie zamieniła się w lodowaty pancerz. Zszedł ze stanowiska o drugiej w nocy uruchomiwszy linię ciepłowniczą na czas". (Z drugiego zjazdu młodych budowniczych w Angarsku).

- Ledwie przybyliśmy, nastąpiła noc. Było 35 stopni mrozu. Ustawiliśmy dyżurnych, którzy co 15 minut zmuszali do przewracania się na drugi bok... (Z opowieści Borysa Gorbaczowa, który siedem razy uczestniczył w desancie).

- A w ogóle to chłopaki młodzi. Wieczory odpoczynku wypadają po prostu wspaniale. Dużo różnych numerów. Zwłaszcza udał się numer, kiedy jeden z zawiązanymi oczami starał się nakarmić kisiem drugiego... (jeszcze z opowieści Borysa).

Obwód irkucki zajmuje powierzchnię 748 tysięcy kilometrów kwadratowych.

Dokładnie tyle, ile zajmują razem oba państwa niemieckie, Szwajcaria i Włochy.

Na tej powierzchni mieszka 3,5 miliona osób.

Na każdą z nich przypada średnio po 45 ha tajgi.

Tereny zaludnione to rejon wzdłuż kolei transsyberyjkiej i wzdłuż rzeki Angary. Wszystkie tereny, na

10B

103

których buduje się obecnie nowe miasta i zakłady przemysłowe - ludzie wrywają tajdze.

W całej wschodniej Syberii - jeden człowiek przypada na jeden kilometr kwadratowy. (W centralnych rejonach Rosji - 53 osoby. W obwodzie moskiewskim - 91 osób).

Problem zagospodarowania Syberii zatem - to problem kadr.

Amerykański senator Ellender przyrównywał Sybiraków do pionierów amerykańskiego Zachodu. Pionierom syberyjskim nie podobało się to porównanie. Socjologowie Obkomu partii i dziennikarze APN odpowiedzieli ankietą, z której wynikało, że ludzie przyjeżdżają na Syberię nie z chęci zysku - jak Amerykanie z westernów.

"Romantyka" - odpowiedział krótko Miikołaj Łapin z Czeremchowa i ta odpowiedź wydała się dziennikarzom prawdziwie godna młodego pioniera z Syberii. Podobnie jak równie lapidarna odpowiedź Tamary Marczenko z Szelechowa, którą się w ankiecie cytuje z satysfakcją: „Po prostu - przyjechałam”.

Decyzje młodych przybyszów nie są jednak tak jednoznaczne, jak sugerują dziennikarze. Na zeszłorocznym zjeździe młodych budowniczych, który się odbył w Angarsku, powiedziano w referacie, że spośród młodzieży przyjeżdżającej w komsomolskim zaciągu pozostaje na Syberii co trzeci zaledwie człowiek.

Jednym z nowo wybudowanych na Syberii miast jest Szelechow. Warunki, jak wszędzie, były surowe i romantyczne zarazem. Najpierw przyjechało w zaciągu komsomolskim. 900 młodych ludzi z Orła. Potem kierownik budowy wygłosił przemówienie:

- Stoją przed wami trzy zadania - powiedział, --

Zjeść śniadanie. Postawić namioty. Zbudować miasto.

Potem wszystkie trzy zadania wykonano. Trzydzie-stotysięczne miasto Szelechow już jest - tak jak są inne syberyjskie miasta wybudowane w ostatnim

dziesięcioleciu: Brack, Angarsk, Żeleznogorsk i Baj-kalsk (z ich wielkimi zakładami chemii, aluminium i elektrownią największą na świecie). A jeszcze później zaczęto liczyć: kto też z owych pierwszych dziewięciuset pozostał. I doliczono się dwustu osób.

Przewodnicząca Rady Miejskiej Marina Archipowa mówi, że ci, co przyjechali z centralnej Rosji, wrócili do domu. Na ich miejsce przybyli ludzie z głębi Syberii, z Północy i Dalekiego Wschodu. To oni stanowią dzisiaj trzon miasta. To oni budują isobie ezteropokojo-we wille po 4 tysiące rubli. Zbudowano już 1200 takich domów - cały "prywatny sektor". A ponieważ są to ludzie ze wsi, więc hodują sobie kury i krowy, a Rada Miejska pomaga im w załatwianiu pastwisk. To tym ludziom wreszcie zakłady udzielają najchętniej specjalnych stypendiów, dzięki którym mogą dostać się na wyższe uczelnie poza konkursem. Tym - ponieważ wiadomo, że pozostaną na zawsze.

Po przybyściach z Orła pozostała w Szelechowie wdzięczna pamięć, domy iprzez nich zbudowane, pomnik z betonu: namiot - i ulica Otłówekich Komsomol-ców.

Zarówno dziennikarze, jak socjologowie interesowali się żywo przyczynami, dla których młodzi przyjeżdżają na Syberię. Nie pytali jednak nigdy - dlaczego tak wielu wyjeżdża. Wyjeżdżających zwykło się traktować po trosze jak rozkapryszone mięczaki, po trosze jak dezenterów. Mówiono o nich z zażenowaniem i niechętnie...

Pracownia socjologiczna poświęcała zresztą uwagę

104

J

problemom pryncypialnym. Na przykład walce z relikami przeszłości lub kontrpropagandzie. Były to prace ogromnie interesujące. Badając relikty przeszłości socjologowie stwierdzili, na przykład, że w jednym z kin wyświetlano kolejno filmy: Babette idzie na wojnę, Trzej muszkieterowie, Czarna maska. "Takie filmy - powiedział kierownik pracowni socjologicznej W. Smolkow - dokonują niekiedy niezauważalnych, lecz ciężkich spustoszeń w umysłach młodzieży".

Tak więc ani socjologowie, ani dziennikarze tematu rezygnacji nie podjęli. Ale dla władz sprawa zagospodarowania Syberii jest najważniejsza. A ponieważ, jak mówi docent irkuckiego Instytutu Gospodarstwa Narodowego dr Tokarska, od ekonomistów nie oczekuje się już wspierania cytataami aktualnych uchwał, lecz wymaga się przedstawiania prawdziwych faktów i rozsądnych propozycji, więc ekonomiści przedstawili prawdziwe fakty.

Ludzie przybywający w ostatnim dziesięcioleciu na nowe budowy Syberii to młodzież o wysokim poziomie ogólnego wykształcenia i kultury. Niepełne średnie i średnie wykształcenie ma 96 procent. (Wśród ludzi, którzy przekroczyli już czterdziestkę, maturę ma ledwie co dziesiąty).

Przybysze pozostają na Syberii około czterech lat, jeżeli trafiają na nowe budowy. Jeżeli mieszkają w starych ośrodkach, jak Irkuck, wytrzymują o dwa-trzy lata dłużej.

Ci, którzy rezygnują, są z reguły najmłodszy i mają najwyższy poziom wykształcenia i kwalifikacji.

Dlaczego odchodzą? Nie zniechęcają ich zarobki. I nie przeraża ich klimat, choć i to gra pewną rolę. Odchodzą, bo są niezadowoleni z tego, co robią. Bo sama praca wydaje się nudna, źle zorganizowana i nie stwarza im konkretnych, interesujących perspektyw.

106

Ta konkluzja, tak sprzeczna z przyjętym dotąd stereotypem rozkapryszonego mięczaka nawet samych ekonomistów wprawiła w zdumienie. Ale mieli na jej potwierdzenie ważki argument. Opinie ośmiu tysięcy ludzi, którzy odeszli.

Następny rekonesans przeprowadzono inaczej. Zadawano pytania tym, którzy jeszcze pracują. I okazało się, że procent ludzi niezadowolonych z pracy, z organizacji, z braku perspektyw awansu jest dokładnie taki, jak procent ludzi odchodzących. I - ponownie - najmniej zadowoleni okazali się ci, którzy mają wyższe wykształcenie.

Zgodnie z tą tezą najbardziej związani z Syberią powinni być ludzie, którzy znaleźli w niej szansę osobistego rozwoju.

Największe szansę dano uczonym.

W Irkucku istnieje filia syberyjskiego oddziału Akademii Nauk ZSRR (prezydium oddziału mieści się w Nowosybirsku). Przyjechali tu naukowcy ze wszystkich stron Związku Radzieckiego, niektórzy via nowosybirski Akademoorodok. Przyjechali ci, którzy tam, w starych ośrodkach, nie zdążyli na czas. Zastali w nich obsadzone kadrami instytuty i precyzyjnie określone naukowe hierarchie. Stwierdziwszy, że nie ma już w nich wolnych miejsc - pojechali do wschodniej Syberii.

Jest to szlak wypróbowany. Kiedyś ludzie z Moskwy i Leningradu jeździli do Nowosybirska. Teraz z Nowosybirska jeżdżą do Irkucka. Kiedyś będą zapewne z Irkucka przenosić się do Władywostoku.

Na razie wszakże miejsca w Irkucku jest dość. Każdy może zrobić doktorat i habilitację, zyskać naukową samodzielność, wybierać tematy badań.

1 OT

J

Ośrodek irkucki skupia wielu bardzo wybitnych uczonych. Tu właśnie pracuje profesor Odincow, ten sam, który przewidział i teoretycznie uzasadnił występowanie jakuckich diamentów. I profesor Szostakowski - autor głośnego lekarstwa zwanego balsamem Szostakowskiego, którym tu, w Irkucku, leczą syberyjskie odmrożenia i oparzenia słoneczne.

Młodzi uczeni szukali zatem możliwości twórczej pracy i nieskrępowanego, naukowego rozwoju. Wszystko to w Irkucku znaleźli. Dlatego też problem ucieczki na zachód w tym środowisku w ogóle nie istnieje.

Jest wszakże kategoria ludzi niezadowolonych. Kobiety. Żony uczonych także mają wyższe wykształcenie, ale w nauce osiągają nikłe rezultaty ("Bo kobiety to nie uczeni, powiedzmy sobie szczerze"). I podobnie jak w Nowosybirsku powstał wielki problem społeczny: rozwodów. Kobiety nie znajdują satysfakcji zawodowej i nie chcą zostać na Syberii. Mężczyźni - znalazłszy tutaj sens życia - nie chcą jej opuszczać.

Mechanizm jest następujący: przyjeżdżają oboje z dyplomami na tym samym poziomie. On się rozwija, ona nie. On robi doktorat i uważa, że ona mało czyta. On robi habilitację i widzi jeszcze wyraźniej, że ona nie czyni postępów w nauce, a do tego jeszcze turystyki nie lubi. Wycieczki w tajgę i w góry wokół Bajkału nadają na równi z pracą twórczą sens życiu syberyjskich uczonych. A potem ona zabiera dzieci i jedzie do rodzinnego Kijowa lub Leningradu.

Ekonomiści przedstawili sposoby, które powinny przybywającą młodzież związać z Syberią na stałe. Proponują dokładnie określić maksymalne wykształcenie w różnych zawodach. Jeśli, na przykład, stolarzowi potrzebne jest podstawowe wykształcenie, to nie wolno do prac stolarskich kierować ludzi, którzy ukończyli 9 klas. A jeśli ślusarz powinien mieć 9 klas, to nie wgl-

no jako ślusarzy zatrudniać ludzi z maturą. Praktyka dowodzi, że tacy znudzeni stolarze d ślusarze -: to przyszli rozczarowani "dezertery".

Następnie - kontynuują ekonomiści Instytutu Gospodarstwa - należy opracować nie tylko plan rozwoju budownictwa, lecz plany indywidualnego rozwoju budowniczych. Każdy człowiek musi określić przy podejmowaniu pracy swoje zamiary i każdemu trzeba przedstawić konkretny plan ich realizacji.

Sekretarz Obwodowego Komitetu Komsomołu w Irkucku Oleg Swirin mówi, że 120 tysięcy młodych przybyłych w komsomolskim zaciągu to ludzie z wykształceniem nie niższym niż osiem klas. Połowa ma maturę. Dla radzieckiego maturzysty istnieje

dzisiaj tylko jeden model życia: dyplom. Każdego roku tysiące ludzi stara się więc dostać na irkuckie uczelnie. Ostatnio na irkuckiej politechnice przypadało średnio już dwunastu kandydatów na jedno miejsce. Na niektórych wydziałach nawet szesnastu. Na uniwersytecie - siedmiu, ośmiu. Liczby te z roku na rok rosną. Jeżeli więc przyjmuje się jednego z dwunastu ludzi, to jedenastu pozostałych - dla których sukces życiowy to jedynie dyplom wyższej uczelni - traci grunt pod nogami.

- Nie można zwiększyć liczby studentów - mówi Oleg Swirin - trzeba więc zmienić ów model. Dotąd roztaczaliśmy przed młodymi porywające perspektywy geologii i fizyki jądrowej. Teraz trzeba przedstawiać powaby pracy aparaturowego i operatora sprzętu. I trzeba w każdej z tych dziedzin stworzyć pole dla twórczej inwencji. Ale, by można było tworzyć, musi istnieć jaki taki organizacyjny ład. Dlatego właśnie Komso-moł uważa za najważniejsze swoje zadanie zmianę aspiracji życiowych i poprawę organizacji pracy. Obie sprawy mają ścisły związek i wspólny sens.

Tradycyjny stereotyp obdarza młodego radzieckiego

109

budowniczego dość nieskomplikowanymi cechami. Powinien to być bezinteresowny romantyk i nieulekły bohater. Model ten wywodzi się z lat trzydziestych - lat budowy Magnitogorska i Komsomolska nad Amurem. Wszyscy zresztą - i szkoła, i literatura, i film - trzymają się do dziś tego wzorca. Jest on nadal pod wieloma względami aktualny. Tyle że - co stanowi różnicę istotną - współczesny romantyk ma średnie wykształcenie. A, jak się okazuje, romantyk z maturą to zupełnie co innego niż romantyk bez matury.

Romantryk z maturą najpierw entuzjastycznie pracuje, a potem nagle zamyśla się. Ten moment refleksji przychodzi u jednych po roku, u innych po dwóch latach. Ale przychodzi, to pewne. I młody człowiek zaczyna konfrontować ogólny, społeczny cel ze swoim osobistym. Docent Tokarska mówi, że nikt nie ma prawa kwestionować tego osobistego celu, że zresztą jego realizacja leży również w (tym ogólnym społecznym interesie.

W. Smolkow, kierownik pracowni socjologicznej Ob-komu, zanotował w wyniku jednej z ankiet, że młodych najbardziej zadziwia w ich rodzicach wytrzymałość i brak życiowych wymagań. Razi - niski poziom wykształcenia. I że, z kolei, rodziców najbardziej irytują w dzieciach nadmierne wymagania właśnie...

Współczesny radziecki budowniczy to człowiek, który nie boi się tajgi, pięćdziesięciostopniowego mrozu i lodowatej wody, przez którą brnie po chleb. Boi się natomiast, że nie będzie mógł rozwijać się intelektualnie.

Człowiek ten wydaje mi się bardzo sympatyczny.

Dobrze jest mieć Syberię

I. Dziecko Tani

Mróz wcale nie jest straszny. Wieczorem, wracając z urodzin Giery, zgadujemy, ile może być. Dwadzieścia cztery - mówimy. No, dwadzieścia sześć, to wszystko. A jak przychodzimy do domu, gospodyni powiada, że jest trzydzieści siedem stopni. Nie czuje się, bo wiatru nie ma, mróz bez wiatru i wilgoci można wytrzymać z łatwością. Giera mówiła, że prawdziwe chłody zaczynają się od minus pięćdziesięciu. Wtedy nie wolno już przystawać na ulicy, idzie się szybko, oddycha równomiernie (zresztą z pewnym trudem), obserwując mijanych przechodniów. Kiedy widać, że komuś zbieleło czoło czy nos, pokazuje mu się to miejsce na własnej twarzy. Tamten szybko wyciąga wełnianą rękawiczkę albo szalik - nacieranie wełną jest najskuteczniejsze. (Dopiero nazajutrz, w drodze do wiluj-skiej elektrowni - najdalej na północ wysuniętej elektrowni świata, zobaczyliśmy, jak wygląda w dorzeczu Leny blisko pięćdziesięciostopniowy mróz. W powietrzu wisiała mleczna mgła. Świerki były precyzyjnie pociągnięte białą kreską - podobno właśnie ta mgła i ten nierealny rysunek drzew znamionują

prawdziwe mrozy. Był 27 października... Pierwszy mroźny dzień wypadł w tym roku 24 sierpnia, a ostatni będzie zapewne w końcu maja, jak zawsze).
Giera mieszka jeszcze w hotelu dla inżynierów, więc

111

urodziny przypominały trochę prywatkę w domu akademickim, ale przyjęcie było wspaniałe. Pieczeń z niedźwiedzia i jagnięcia, dziesiątki zakąsek i tylko orzechy do sałatki i "Nescę" przysłano w paczce z Leningradu.
Giera jest inżynierem "zmarzlinologiem" i zajmuje się (budową domów i dróg w strefie wiecznej zmarzliny. Największa trudność polega na tym, by nie zapadały się pod wpływem ciepła. Właśnie dlatego - żeby nie tajał grunt - domy w Mirnym stoją na tych wysokich, betonowych pałach. Są to śliczne, przytulne drewniane domy z ganeczkami i kiedy tak idziemy nocą ulicami wśród śnieżnych zasp, wydaje nam się, że jesteśmy w Zakopanem, a nie w przemysłowym mieście Mirnyj.
Niestety, już nam mówiono, że drewniane domki zostaną zburzone. Mirnyj będzie jeszcze jednym miastem murowanych wieżowców, ale też inaczej nigdy nie rozwiąże się tu problemu mieszkań. W pobliskim mieście diamentowym, Udacznaja, leżącym już za kręgiem polarnym, bloki zostaną połączone galeryjkami. To coś w rodzaju ulic pod dachem. W galeryjkach będą sklepy, szkoły, przedszkola, fryzjer, szewc i na dobrą sprawę będzie można żyć w ogrzewanym i klimatyzowanym świecie nie wychodząc w ogóle na mróz.
Wracam do urodzin Giery. Było to normalne przyjęcie jak wiele innych, które już w radzieckich domach widziałam, z mnóstwem jedzenia, gitarą, piosenkami i nastrojem dość dalekim od sztywnej towarzyskiej etykiety. Ktoś przynosił brakujące sztuce, ktoś inny wkraczał ze słojem marynat własnej roboty, gospodyni załamywała ręce, bo brakowało miejsc, a goście ochoczo przesuwali lodówkę, by wygospodarować do-

w U.UHJLU

stroić gitarę...

Oleg jest ślusarzem, jego żona, Sasza, skończyła uniwersytet - informował mnie poufnym szeptem Żenią Szlonskij, socjolog. Wśród robotników Mirnego przeważają mężczyźni, a wśród inteligencji z wyższym wykształceniem - kobiety. Dlatego tak dużo tutaj inżyniersko-robotniczych małżeństw. Nie jest to w końcu dziwne, bo w Związku Radzieckim nie ma barier towarzyskich, osobliwość Mirnego polega po prostu na tym, że wyższe wykształcenie ma kobieta, a mężczyzna "musi się podciągać". Właśnie dlatego najwięcej osób kształcących się zaocznie spotkać można w tym środowisku: robotników ożenionych z inżynierami i lekarkami.
Oleg, mąż wykształconej Saszy, zaczął śpiewać Soł-daty grupy Centr, bardzo starając się naśladować chrapliwy krzyk Wysockiego, co mu się nie udawało jednak, bo dysponuje głosem lirycznym. Poeta obiecał, że zadeklamuje nowy wiersz, tylko się odrobinę rozgrzeje. Co się zaś tyczy dziecka Tani, to matka twierdziła uparcie, że stoi w kącie nadal. - Jak to - pytałam - mimo że rodziców nie ma w domu? - Ależ oczywiście - dziwiła się mojemu zdziwieniu Tania. - Przecież kazałam jej stać, więc stoi. Poszła jednak do domu zbadać osobiście sytuację. Oleg zrezygnował w tym czasie z krzyku Wysockiego na rzecz liryki Okudźawy, poeta przerzucił się na koniak, po czym udzielono głosu Lenie dla wzniesienia toastu. - Za biesko-niecznoje putieszestwie... - powiedziała Lena. Za wędrowanie bez końca... I dziwny ten toast zabrzmiał w języku rosyjskim prosto i naturalnie. Zresztą - może nie chodziło nawet o język. Może sprawiła to bliskość tundry, obecnej tuż, za kręgiem polarnym. Może - wieczna zmarzlina, na której stał nasz hotel. A może -

113

8 - Na wschód od Arbatu

świadomość siedmiu tysięcy kilometrów dzielących hotel od rodzinnego miasta Giery, Leningradu.

"Za nieskoniecznoje putieszestwie" wychyliliśmy wraz z Leną kieliszki i wtedy właśnie wkroczyła Tania patrząc na mnie z triumfem. Ależ oczywiście, że dziecko stało w kącie przez cały czas. To jest dobre dziecko, zdyscyplinowane, a ja - co wyobrażałam sobie?

Wracaliśmy do hotelu przez mroźny śpiący Mirnyj i nie mówiliśmy wcale o diamentach i tundrze. To już stało się zrozumiałe, do tego zdażyliśmy przywyknąć. Byliśmy pod wrażeniem dobrego dziecka Tani.

II. Diamenty

Lisia nora Jurija Chabaradina była dokładnie tu, gdzie dziś stoi pulpit zdalnego sterowania, kierujący kopalnią odkrywkową diamentowej rudy "Mir". Lisia nora należy do legendy Mirnego, więc i Leonid Sołdatow, dyrektor Zjednoczenia Diamentowego, od niej właśnie zaczyna. - Szedł sobie Jurij Chabaradin i trzymał młotek, bo były to jeszcze te rozczulające czasy, gdy geologowie używali młotka, a nie komputera, i na zboczach doliny dostrzegł nagle lisia norę. Pochylił się przed nią i podniósł - kawałek skały. Strzepnął z niej pył i zobaczył krwawnik, a wiedząc, że krwawnik towarzyszy zawsze diamentom, rozejrzał się porządnie dookoła i rzeczywiście w kolejnym kawałku skały tkwił diament. Było to 13 czerwca 1955 roku. Chabaradin nadał przez radio zaszyfrowaną wiadomość "Zakurił trubku mira, tabak priekrasnyj" - i od tej pory - kończy część historyczną dyrektor Sołdatow - zaczął się rozwijać, po raz pierwszy w historii ZSRR, przemysł diamentowy.

Komputer i pulpit stojący na miejscu lisiej nory

utrzymuje w ciągłym ruchu kopalnię. Przez okno widzimy, jak w dole poruszają się koparki, podjeżdżają ciężarówki, zabierają rudę, mijają wagę automatyczną - na tablicy ukazuje się wtedy świetlny napis, informujący o wadze ładunku i numerze fabryki przetwórczej, do której trzeba jechać. Ludzi nie widać wcale. W kopalni praca jest ciężka, mamy dzisiaj wicher i mróz - i gdyby nie ta mechanizacja, ludzie po prostu nie chcieliby pracować tutaj. A diamenty wydobywać trzeba.

Diamenty są sprawą wagi państwowej. Po to więc, by ludzie chcieli je wydobywać, zmechanizowano im wszystkie prace, zapewniono w stołówkach znakomite jedzenie, w łazienkach gorącą wodę, w szkołach - należyty poziom, a w sklepach - rzeczy, których nawet w Moskwie nie można dostać, nie mówiąc o Irkucku.

Właśnie dlatego dyrektora Sołdatowa nie trapi problem braku kadr, tak dotkliwy wszędzie na Syberii. Zimą mróz dochodzi tu do sześćdziesięciu stopni, latem - upał do czterdziestu, zima trwa osiem miesięcy, a kandydatów do pracy jest tyle, że każdy musi już rekomendacje przedstawić.

Zresztą i charakter samej produkcji wymaga starannego doboru ludzi. Są tutaj pewne stopnie wtajemniczenia. Do "karjeru" - kopalni odkrywkowej - mają dostęp wszyscy. Do fabryki oczyszczającej rudę - już tylko pracownicy wybrani. Spośród nich jedni mają przepustkę do wydziału, w którym kruszy się rudę, inni - nieliczni już - tam gdzie diamenty osadzają się w zawieszynie. A potem są już drzwi z "judaszem" i oko, które nas uważnie lustruje - i tu mogą wejść jedynie dyrektor i główny inżynier fabryki. Teraz i dla nas otwierają się drzwi. Stoją dwaj milicjanci. Znowu drzwi, "judasz", oko... I wreszcie nieduży, przytulny pokój, przy stołach pięć pań w białych fartuchach,

115

114

pincetami usuwają coś z małych, błyszczących szkiełek, które są diamentami. Jedna z pań przesiewa te szkiełka sitami do maki i segreguje według wielkości. Inne coś układają w miseczkach. Czysta robota, spokojna. Panie mają swoją

stołówkę, swoją szatnię i swoją kontrolerkę, przed którą przechodzą nago rano i po pracy (całkowita zmiana ubrania i' bielizny jest jedyną formą kontroli). Wszystko jest takie swojskie i intymne. Nawet białe lniane woreczki, nawet małe drewniane skrzyneczki (jest specjalna krawcowa i specjalny stolarz), do tych woreczków kładzie się diamenty, a do skrzyneczek woreczki, skrzyneczkę bierze do kieszeni młody, dobrze zbudowany i wysportowany człowiek i wsiada z nią do samolotu "Aerofłotu" udającego się do Moskwy. Skrzyneczka ma wartość milionów dolarów.

Tak więc ludzie są tu dobierani starannie, im delikatniejszy dział - tym dłuższy staż i dokładniejsza obserwacja. W owym ostatnim pokoiku siedzą pracownice o stażu przynajmniej dziesięcioletnim i w zasadzie wybór jest trafny, skoro zdarzyły się dotąd tylko cztery kradzieże. Ostatnia - przed trzema miesiącami. Pracownica przechodziła nago koło kontrolerki trzymając diamenty w zaciśniętej pięści. Przyszli potem, któregoś dnia, towarzysze do domu. Wyjmij diamenty, powiedzieli jej, to ona wyjęła. 7 sztuk, 29 karatów, 8 lat wyroku - to wszystko. Kierowniczką ostatniego wydziału, Nina Charitonowa ma 354 ruble pensji (7 tysięcy złotych), dwóch synów, z których jeden uczy się w angielskiej, drugi w muzycznej szkole. Do szkoły muzycznej jest ogromny konkurs, dziesięcioro dzieci na jedno miejsce, każdy rozumie przecież, że dziecku trzeba wszystko dać - i rytmikę, i muzykę, i języki obce, i basen - nic nie mniej niż w Leningradzie i Moskwie.

- Mirnyj to miasto specjalistów - mówi socjolog, Eugeniusz Szlonskij. - Czasy romantyków się skończyły.

Po romantykach pozostał pomnik wzniesiony ku czci 59 kierowców, którzy pierwsi przebyli dwa tysiące kilometrów przez tajgę skutą 50-stopniowym mrozem. Pomnik ma formę wielkiej tablicy z rysunkiem przebytej trasy i napisem następującym: "Żeby przewieźć artykuły spożywcze i techniczne skierowano tu kolumnę 40 ciężarówek. 26 lutego 1957 roku kolumna przybyła na miejsce pokonawszy wielką drogę od stacji Bolszaj Nowej do Małej Muchtui. W wyjątkowo trudnych warunkach bezdroża i silnych mrozów zespół godnie wypełnił swój obowiązek, umożliwiając zbudowanie przedsiębiorstwa diamentów w dalekiej jakuckiej tajdze".

A potem produkcja wymagała już nie heroizmu, lecz wiedzy. Romantycy musieli ukończyć szkoły. Przenieśli się też z namiotów do drewnianych domków. Potem z drewnianych do murowanych, bez wygód. Wreszcie do murowanych z wygodami. Mieszkania były coraz większe i coraz więcej mebli trzeba było, więc romantycy musieli meblom poświęcić trochę czasu. Rodziły się dzieci, a dziecko musi mieć owoce i mleko - i byli romantycy domagali się owoców od dyrekcji kombinatu. A kiedy dzieci urosną, muszą mieć fortepiany i "Speaking English School". I tak oto Mirnyj staje się normalnym, kulturalnym miastem ustabilizowanych, zamożnych ludzi. Po romantykach pozostał pomnik...

III. Czabanka Gala

Jedziemy przez step do miejsca wypasu owiec. Mieszka tam czaban, pastuch, ze swoimi stadami. Przyjeź-

116

117

dza raz na jakiś czas do domu w kołchozie, kupi nowy, importowany mebel, zobaczy w klubie film, telewizję obejrzy, odwiedzi sąsiadów i wraca do otary, do stada. Czaban to najważniejszy, najbardziej poważany człowiek na buriackiej wsi. Od niego zależy, czy ludność miast dostanie mięso i wełnę, jego się więc najczęściej fotografuje w gazecie rejonowej, jemu daje się premię: co piąte ponadplanowe jagnię i w pierwszej kolejności - przydział na samochód. - Jeśli jest się tak dobrym czabanem jak Cerempiłowa, na przykład, można dojść do pięćdziesięciu własnych sztuk. No, a iżeby czabanka nie przekształciła się w

kułaka, może zachować tylko dwadzieścia, resztą zaś sprzedaje po 30 rubli. Za dwadzieścia jagniąt można mieć przyzwoity urlop w Soczi. Za dwieście trzydzieści - "Wołgę". A cóż to jest dwieście jagniąt dla dobrego czabana?

W kołchozie "Komunizm" jest 180 czabanów - i ty-luż kandydatów w kolejce do "Wołg". Więc przydział na samochód daje się trzem czabanom, którzy zajęli pierwsze miejsca we współzawodnictwie.

W tym roku kupił "Wołgę" pastuch Gombojew. Właśnie na jego otarę jedziemy przez step. Przez tę suchą trawę jedzie się godzinami - usypia się - budzi - widać tylko góry na horyzoncie - mija parę godzin - widać suchą trawę... Nieoczekiwany ślad obecności człowieka: wagon kolejowy zamieniony w mieszkanie, tymczasowe domostwo czabana. A przed wagonem - nowiutka, błyszcząca, szaroniebieska "Wołga". Dokąd jeździ nią czaban Gombojew? Wszędzie. Do swojego stałego domu w kołchozie, za owcami, albo po prostu - ot, tak, przez step...

Odwiedzamy sławną Cerempiłowa, deputowaną do Rady Najwyższej ZSRR.

Przeprasza za nieład, żałuje, że nie może przyjąć nas

W domu w kołchozie. Kupiła właśnie komodę za 400 Sfuli (import), a tu - taki prymityw...

W domku jest i córka, Chanda, studentka drugiego roku Instytutu Literatury. Rozmawiamy o modzie. Chanda mówi, że modne są teraz wysokie obcisłe kozaczki i mama przywiozła jej takie, francuskie, z Moskwy. Mama jako deputowana bywa w Moskwie dwa razy do roku i tam w sklepie specjalnym kupuje prezenty. Czy długo stała po kozaczki? - Cały dzień. Córka coś jej mówi po buriacku. - Z każdym rokiem coraz lepiej się żyje - dodaje Cerempiłowa. - Co chciałaby jeszcze mieć? Córka mówi coś po buriacku. - Właściwie mają już wszystko, czego im potrzeba. 7 listopada ruszy stacja telewizyjna. Od dawna są telewizory w całej wsi, a teraz będzie można już i program odbierać.

Żegnamy się z Cerempiłowa. Jedziemy do otary Cerenowa. (Przy każdej otarze jest trzech czabanów, w tym jeden "starszy", pozostający w nomenklaturze rajkomu. Jego imieniem nazywa się całą otarę). Wiktor Cerenow i Gala są pastuchami-studentami. Mają po dwadzieścia parę lat. Mieszkali przedtem w mieście, przeczytali o możliwościach, jakie daje praca hodowcy, a że mieli już dwoje dzieci i małe stypendium, przyjechali do kołchozu "Komunizm". Co po studiach? Czy będą pastuchami z wyższym wykształceniem? - Niestety, nie. Partyjna świadomość i dyscyplina nakażą im podjąć pracę inżynierów, choć oczywiście finansowo sporo stracą. Częstują nas gotowanymi jagniętami i zieloną herbata z mlekiem. Te jagnięta jemy na japońskiej porcelanie, którą Gala dostała w prezencie od kołchozu jako bodziec moralny (bodźcami bywają też telewizory, lodówki).

Cerenowie są gościnni. Długo siedzimy u nich i pijemy koniak, sekretarz rajkomu Aleksander Romano-

119

118

wież wznosi toasty za polsko-buriacką przyjaźń (podkreślając zresztą, że nie jesteście tu pierwszymi cudzoziemcami, bo rejon ma kontakt z wielkim światem, sąsiaduje z Mongolią przecież), pijemy ducha-rian - bruderszaft buriacki, pijemy dużo ducharianów i wnosimy dużo toastów... A potem wychodzę z Galą w step. Wdychamy ajagangę - zapach stepu, zapach jesiennej trawy, obejmujemy się przyjaźnią, bo po tylu ducharianach jesteście już sobie tak bliskie - i w tym buriackim stepie pod mongolską granicą czabanka Gala mówi mi: - Wiesz, garsonkę z granatowej krempliny już mam. Japoński serwis mam. Jeszcze by tylko "Moskwicza"...

IV. 400 rytmów

Profesor Łubsanow, dyrektor Instytutu Nauk Społecznych w Ułan-Ude, opowiada o przenikaniu się starej buriackiej tradycji ze współczesnością. Buddę prosi się, na przykład, o przyjęcie dzieci na studia albo żeby w kołchozie spadł deszcz, żeby trawa była wilgotna, a krowy tłuste. W ajmaku (rejonie) Ogińskim modlący się prosił: "Niech dzieci moje zasiądą w przyszłości w KC albo przynajmniej w Akademii Nauk".

Uczucia religijne zresztą zanikają stopniowo. Towarzystwo buniackie "Wiedza" prowadzi w dziedzinie laicyzacji poważną pracę, na przykład publikuje sztuki teatralne o wymowie ateistycznej, kieruje aktywistów do pracy z rodzinami wierzących, a przy dużych zakładach, np. mięsno-konserwowym kombinacie w Ułan--Ude zorganizowano Radę Ateistów pracującą nad świadomością pracowników kombinatu. W rezultacie takich wysiłków liczba chrzczonych dzieci spadła już

o 72, a modlitw o 40 procent w porównaniu z rokiem 1960.

Zresztą wobec buddyzmu prowadzi się politykę elastyczną. Zwalcza się zacofanie, ale korzysta z mądrości ludowej nagromadzonej w tradycji. Na przykład Akademia Nauk w Ułan-Ude przygotowuje dla UNESCO atlas starotybetańskiej medycyny. Sięga się do doświadczeń siedmiu tysięcy lat, odtwarza się stare metody diagnostyczne oparte na rytmie tętna. Jest 400 rytmów, np. "kukułka" - tętno zdrowego człowieka, "skowronek" - tętno przedśmiertnej agonii - i inne. Odtwarza się też lekarstwa, z których najprostsze ma 83 składniki.

Jednak ludzie znający tajemnice tej trudnej sztuki - lamowie - już wymierają. Zanim więc umrą wszyscy, Akademia Nauk pośpiesznie wyszukuje ich, sprowadza do Ułan-Ude, daje wykształconych współcześnie asystentów i prosi o wyjawienie sekretów.

Lama siedzi pośrodku, asystenci-farmakolodzy i lekarze z obu stron, lama przygotowuje ze swoich tajemniczych ziół i zółci niedźwiedzich lekarstwa, a oni powtarzają jego czynności. Asystentami są mężczyźni - bo religia nie zezwala lamom na powierzenie sekretu kobiecie.

O tych pasjonujących pracach opowiada nam profesor Filipów, ogromny 150-kilogramowy mężczyzna, częstuje nas kurungą - napojem przypominającym ku-mys, czka głośno, jak przystało po smacznej kurundze, i wspomina, że w 1931 roku likwidował na Syberii kułactwo jako klasę systemem trzyetapowym - w jaczej-ce, w Komitecie biedoty i następnie na ogólnym zebraniu wiejskim, na którym wykazywano, jak wielką wartość dodatkową przywłaszcza sobie rozkułaczony osobnik. Profesor Filipów, doktor weterynarii, jest Pre-. zydentem Akademii Nauk Buriacji.

120

121

Jeden z lamów, o których mówił prof. Filipów, pracuje w Instytucie Nauk Społecznych. Pomaga w odczytywaniu starych rękopisów. Nazywa się Gempyl, jest maleńkim, zasuszonym staruszkiem, dziesięć lat studiował w młodości w dacanie - świątyni buddyjskiej, potem dziesięć lat był lamą, a potem, w 1936 roku, poszedł do pracy do kołchozu. Trzydzieści pięć daca-nów - wspomina lama Gempyl - zamknięto w 1936 roku i wszyscy lamowie musieli przejść do kołchozu.

Trzy lata temu odnaleziono go w tym kołchozie, przywieziono do Akademii Nauk i posadzono wśród rękopisów, z których najświeższy ma dwa tysiące lat.

Był tylko pewien kłopot: jaki etat dać lamie, który, choć zna sześć języków, nie ma formalnego dyplomu. Załatwiono jednak sprawę pomyślnie: dano etat "unikalnego specjalisty", 170 rubli i lama Gempyl jest szczęśliwy. Otacza go znowu sanskryt, ma trzypokojowe mieszkanie, a syna przyjęto na studia w Ułan-Ude.

V. Rodzina profesora

W skład tej rodziny wchodzi: profesor Michaił Wo-ronkow, jeden z najwybitniejszych radzieckich chemików, który przyjechał do Irkucka, bo ma tu

świetne warunki dla badania aktywności biologicznej krzemu. Jego żona i córka, które nie zdecydowały się na przyjazd, bo mają w Leningradzie piękne mieszkanie. Wiktor - 26-letni syn, który znalazł na Syberii nieograniczoną wprost szansę dla demografii. Żona Wiktora, Tania, sfrustrowana, bo jak wyszła na irkucką ulicę w przywiezionym z Rygi płaszczu maxi, to wzbudziła sensacje i śmiech. I wreszcie - dwuletni wnuk profesora, a syn Wiktora i Tani, urodzony już na Syberii.

- Nasze doświadczenia - mówi profesor - dały zaskakujące rezultaty. Zauważyliśmy, że niektóre procesy patologiczne w organizmie człowieka, rakotwórcze na przykład, związane są z naruszeniem przemiany związków krzemu. Wydzielanie krzemu moczem jest u chorych na raka 17 razy mniejsze niż u człowieka zdrowego. Fakt ten może okazać się pożyteczny dla wczesnej diagnostyki nowotworów. Spróbowaliśmy też podziałać na tkanki nowotworowe jednym ze związków (krzemu). Stwierdziliśmy, że tkanki te giną... Nawet jeśli profesor ma jakieś przyziemne kłopoty, to po pierwsze - są błahostka wobec satysfakcji, jaką daje kir żem. Po drugie - mają charakter przejściowy, właśnie władze podjęły kolejną uchwałę w sprawie zaopatrzenia rynku w artykuły deficytowe - meble, tapety, sztucce, firanki, puch, ręczniki frotté, co oznacza, że zdają sobie sprawę z potrzeb rynku i myślą o nich. A po trzecie - bieżące kłopoty łagodzi znacznie pozycja dyrektora Instytutu Chemii Organicznej. Status społeczny ułatwia niewątpliwie dostęp do deficytowych dóbr, a i odwrotnie - pozycję społeczną człowieka można dość dokładnie określić zaglądając do jego lodówki. Kiedy w tej lodówce jest ryba - rarytas omul, jak u docenta T. - to pozycja jest doskonała. Kiedy, jak u malarza Georgija L., przeważają sery - status jest już gorszy. A młody Wiktor, syn profesora, daje na obiad tort "Podarocznym", co oznacza, że jest jeszcze na starcie. Ale nie roztkliwiajmy się.

Jak Wiktor zrobi doktorat, będzie mógł zaopatrywać się w sklepie akademickim. Poza tym - 'można przecież i teraz zakupy robić w Angarsfcu, mieście wagi państwowej, zaopatrywanym ze ,spec-puli, w którym jest nie tylko polędwica, ale i trykotaże japońskie. A w ogóle - gdyby Tania Woronkowa zamiast fru-

122

123

stować się, zrobiła, jak tyle innych gospodyń, zapasy na zimę, to i obiad wyglądałby inaczej.

Przeiciętna irkucka gospodyni kupuje do spółki z trzema innymi rodzinami krowę za 300 rubli. Dwa-trzy dni trzyma ją jeszcze u gospodarza, żeby przytyła. Po zabiciu tnie na kawałki, zanurza w wodzie i wystawia na balkon. Tam w temperaturze około minus 30 stopni krowa zachowuje świeżość aż do wiosny. Obok krowy stawia się na balkonie ze dwa worki zamrożonych pierożków - pielmieni (jakieś dwa-trzy tysiące sztuk), a do piwnicy - beczkę kapusty kiszonej, beczkę solonych grzybów, z dziesięć worków kartofli, a jeśli już szczęście dopisze - oimula.

Teraz, w październiku, przygotowania do zimy mają się ,bu końcowi. Sekretarz .naukowy Instytutu Chemii Organicznej ma, na przykład, w piwnicy kapustę, w garażu kartofle, a w najbliższych dniach ruszy po krowę na wieś. A Tania Woronkowa - jak mówię - zapasami się nie zajmuje. Tania jest piękna, długowłosa i smutna. Kiedy umalowała oczy - patrzyli na nią ze zdziwieniem. Kiedy zdziwiła isię, że nie ma kawiarni, jak w Rydze, nie zrozumieli: przecież można w domu się spotykać. A kiedy wyszła na ulicę w tym ryskim płaszczu maxi, wróciła z płaczem i powiedziała, że chyba nie wytrzyma tutaj. Ale Wiktor zaraz przypomniał jej, że mają na trzy osoby trzy pokoje (w Leningradzie mieliby dwa najwyżej) - to raz. Że na te trzy pokoje czekali ledwie pół roku (w Leningradzie dostaliby po pięciu latach, a i to spółdzielcze) - to dwa. Że w tym wspaniałym

mieszkańcy są sami, bez teściowej - to trzy. I że w końcu jemu, Wiktorowi jest tu naprawdę wspaniale, bo że nie ma kawiarni to fakt, ale za to jakież perspektywy otwierają się przed

demografią! Ileż tematów nie tkniętych, ile pieniędzy na badania, jakże życzliwi przełożeni...

Nela Tokarska, docent Instytutu Gospodarstwa Społecznego, której relacjonuję strapienia Tani, nic nie rozumie z tego. Jak ona przyjechała na Syberię przed laty, to zaraz skrzyknęli komsomolców, zaraz zrobiło się wesoło i gwarnie. A dziś? Czyim się ta młodzież tak zamartwia? Piotr Piotrowicz, inżynier z telewizji, mówi, że jest im za dobrze. Jak po niego przyjechali nocą z Gulbkomu, żeby rozładowywać wagony, to wstał, założył łapcie z krowiej skóry i poszedł rozładowywać, choć wiedział, że za to grosza nie dostanie.

- A jak nasz Boria pojechał z Masą do pracy do Braoka na wakacje, to zarobił 320 rubli (około 6 400. złotych). Teraz dzwoni z akademika w Nowosybirsku, że mu pieniędzy nie starcza, a matka oczywiście zaraz telegraficznie wysyła.

Ludzie na Syberii mają pieniądze. Mają dużo pieniędzy, więcej niż na zachodzie kraju, chcieliby też więcej kupować. Kiedy tutaj "rzucają do sklepu futra" to wchodzi się tam wprost z ulicy i każdy wychodzi z paczką wartości 15-20 tysięcy złotych, jedną tylko, bo więcej futer nie dają, na raz. A kiedy do znajomej w Mirnym zadzwoniła sąsiadka z wiadomością "w Aj-chał przywiezli miecha", znajoma przeprosiła, zarzuciła palto i pobiegła na lotnisko. Wyskoczyła po prostu samolotem do sklepu, 500 kilometrów na północ. Za krąg polarny.

Wracam do rodziny profesora.

Mężczyźni z tej rodziny szybciej przyzwyczaili się do Syberii i są szczęśliwsi od swoich żon. Po prostu wystarcza im do szczęścia atrakcyjna praca, twórcze środowisko, nieograniczone perspektywy. Mówiąc umownie - wystarcza im KRZEM.

A kobiety muszą mieć i Ermitaż zaraz, i płaszcz

124

125

należytej długości, i polędwicę, i kawiarnię, i meble... Być może muszą to mieć zamiast krzemu, którego biologicznej aktywności nigdy nie odkryły...

Ale to obrzydliwe, co mówię.

Oczywiście, że człowiek ma prawo do mebli i płaszczu maxi. Wszyscy to teraz powtarzają na Syberii, i dziennikarze, i władze, i ekonomiści. I mają rację. Dziś - mówią - nie zatrzyma się tu już nikogo entuzjazmem i odwoływaniem się do patriotycznych uczuć. Chcesz, żeby człowiek przyjechał na Syberię, to zapłać miu, zainteresuj... To są słowa profesora Siliń-skiego, przewodniczącego Komisji Planowania w Irku-cku. I profesor Siliński cieszy się, bo dostał wiadomość właśnie, że Irkucka Gbłast' otrzyma przydział na dodatkowe 300 aut z fabryki w Togliatti...

Tak więc człowiek ma prawo do mebli i "Fiata", i zresztą musi to wszystko mieć, no bo po cóż by jechał na Syberię? Chyba, że... - że będzie tutaj badał krzem i to mu wystarczy. Ale - mój Boże - ile jest ludzi na świecie, którzy odkryli wpływ preparatu krzemowego "Migugen" na raka? No ile?

VI. Nie trzeba umierać na Syberii

Kiedyś uważano za zdrajców tych, którzy stąd wyjeżdżali. Dziś profesor Siliński trzeźwo zauważa, że każdy ma prawo jechać tam, gdzie mu będzie najlepiej.

Docent Nela Tokarska, ekonomista, mówiąc o tym naturalnym "prawie człowieka do odchodzenia", powołuje się na Marksa, którego słuszność słów ujrzała ponownie.

A dr Włodzimierz Szlapentoch, socjolog - na Rastignaka. - Syberia - mówi - daje szansę Raistignakom, którzy się nie zdołali przebić w stolicy. Mogą tu przyjechać ludzie z ambicjami i twórczym

napędem, mogą oddać Syberii swoją wiedzę, energię i zapał, a później - wrócić nad Morze Czarne, uwożąc poczucie godności, jakie Syberia człowiekowi w zamian ofiarowuje.

Nie będzie więc, doprawdy, nic złego w tym, że wróci kiedyś do Kazachstanu Innokientij Coj, robotnik huty aluminium w Szelechowie, który przyjechał, bo na ałmaackiej politechnice było szesnastu kandydatów na jedno miejsce, a na irkuckiej jest zaledwie ośmiu. Podjął tu pracę, ponieważ podobno przyjmują wtedy na studia poza konkursem, a gdy już studia skończy i popracuje parę lat w Szelechowie - bo jest to jednak zakład bardzo nowoczesny i dający cenne doświadczenie - wróci do Kazachstanu. Mając tak znakomity staż zostanie od razu kierownikiem co najmniej.

Wróci też kiedyś Igor Szer, który znalazł na Syberii możliwość stosowania metod matematycznych w energetycznych systemach. Otrzyma zapewne w Leningradzie zakład albo i katedrę, będzie miał dużo czasu i będzie chodził do Ermitażu na każdą ekspozycję.

Jeśli wyjadą z Nowosybirsk Wyszemirski i Dmi-triew, pozostawiają po sobie znalezione przy pomocy komputerów w pół roku pięć złóż - olbrzymów, ponad 500 milionów ton ropy naftowej każde. - Dotąd - mówią - żeby natrafić na takie jedno gigantyczne złożo, trzeba było kilkuset wierceń, .milionów rubli, i, jak w Tiumieni na przykład, czternastu lat.

Igor Babko pozostawi dwieście fabryk kierowanych automatycznie systemem "Barnaul" - jego autorstwa.

Michaił Woronkow - preparat "Migugen".

Syn Michaiła Woronkowa - kto wie - może nowe słowo w demografii.

A potem na ich miejsce przyjadą inni, młodszy, któ-

126

127

rym gdzieś tam na zachodzie będzie za ciasno, którzy :znajdą tu przestrzeń i szansę.

Dobrze jest mieć Syberię.

Tylko - któż to właściwie wymyślił, że trzeba umierać na Syberii? Po co?

VII. Aleksiej Marczuk, romantyk

Słowa "romantyk" nie używa już nikt na Syberii. W każdym razie - nie w dotychczasowym sensie. Co nie znaczy, że romantyków nie ma. Być może - dziś jest nim właśnie profesor Woronkow. Albo jego syn. Tylko, że im nie przysłoby do głowy tak nazywać siebie. Oni mówią o aktywności biologicznej krzemu albo o zastosowaniu cybernetyki w nauce demografii. Ale o romantyzmie?

Tylko jednego człowieka widziałam, który mówił "romantyzm" bez żenady: Aleksieja Marezuka, w Bra-cku. Niegdyś -legendarny inżynier brackiej elektrowni, dziś - dyrektor techniczny kombinatu budowlanego. Trzydzieści siedem lat, dobrze skrojony garnitur, milczący i jak na romantycznego bohatera przystało, nieodgadniony i daleki zarazem.

iPowiedział, że wszystko jest znacznie bardziej skomplikowane niż syberyjski współczynnik 1,5 do pensji, ale że ja tego i tak nie zrozumieję. On miał już po studiach załatwiona pracę w Moskwie, a żony ojciec jest znanym hydrologiem, więc na żonę czekało skierowanie do "Hydroprojektu", a oni rzucili wszystko i przyjechali tu, na Syberię, budować Brack. Ale czy ja to zdołam pojąć?

Pytam, czy nie można by zastąpić słowa "romantyzm" słowami "radość z twórczej pracy" - ale nie, nie można. No to nie. Rezygnuję z porozumienia się

z Aleksym Marczukiem, o którym śpiewa się w Związku Radzieckim pieśni ("Marczuk igrajet na gitarze, a morie Brackoje pajot...") i który zachowuje się tak, jakim go stworzyli autorzy licznych reportaży w prasie młodzieżowej.

Ale gdy inżynier Marczuk zaczyna opowiadać o tym, że budując most na Angarze wbijano słupy w lód, nie wiedząc, jak ten lód się zachowa, bo zawsze dotąd budowano takie mosty latem, i jak po ruszeniu lodów słupy nawet nie drgnęły, i jak zaczęto - według jego projektu - przegradzać rzekę o 8 rano, a skończono o 19 i amerykańscy specjaliści, którzy chcieli obserwować przegradzanie, przyjechali po wszystkim, bo według ich obliczeń wszystko powinno trwać znacznie dłużej - sędzę, że jednak zaczynam rozumieć coś. Ale nie, tak mi się tylko wydaje.

-W wytwornej brackiej restauracji, w której zapomniano nam (podać sztuce, Aleksiej Marczuk mówi z zadumą i goryczą: - Nauczyliśmy się już budować największe na świecie elektrownie, nauczyliśmy się wchodzić w tajgę z szybkością jednego kilometra dziennie, a podawać sztucców w porę nie nauczyliśmy się. I ludziom wyrosłym w kręgu kultury sztuceowej - tu Aleksiej Marczuk patrzy z politowaniem na mnie - brakujący widelec przesłania widok brackiej elektrowni. Niezrozumiany przez cudzoziemców bohater zawsze należał do poetyki romantycznego heroizmu, żeby więc nie psuć Marczukowi ulubionej konwencji, nie mówię mu, że jednak zobaczyłam za widelcem i Brack. Ale upewniłam się, że jest to poetyka naprawdę zwietrzała.

128

8 - Na wschód od Arbatu

129

*

Przygoda doktora Krasowa

Przed pięciu laty na podmoskiewskiej skoczni uległ wypadkowi narciarz Leonid Krasow, lekarz z zawodu. W wyniku złamania kręgosłupa doznał paraliżu obu nóg. Z faktu, że był lekarzem, wynikały dwie konsekwencje: po pierwsze, wiedział, że medycyna uważa takie przypadki za nieuleczalne, po wtóre, nóg potraktować siebie jako pacjenta i leczyć się sam.

Wybrał metodę nie stosowaną dotychczas w medycynie. Chciał - podejmując leczenie - podjąć zarazem eksperyment.

Zdarzało się już, że lekarze wypróbowywali na sobie nowe lekarstwa i szczepionki. Nie zdarzyło się jeszcze, by lekarz specjalnie łamał sobie kręgosłup dla wypróbowania sposobów leczenia go. Sposobność sa-ina się nadarzyła i doktor Krasow postanowił ją wykorzystać.

Z punktu widzenia eksperymentu przypadek jego był bez zarzutu: złamanie czyste, typowe i bez powikłań. Krasow zdecydował się przystąpić do prób. Opracował metodę terapii. Pierwszym pacjentem, na którym miał ją (sprawdzić, był on sam. Wbrew medycynie, która zaleca spokój i gips, rozpoczął intensywne ćwiczenia. Skonstruował specjalny

aparatus. .(Ponieważ ukończył prócz medycyny Instytut Wychowania Fizycznego - mógł zrobić to wszystko kompetentnie). Ćwiczył po dziesięć godzin dziennie przez pięć lat. Pokonywał potworny ból, opór mięśni i własną niewiarę. Obecnie, po upływie tych pięciu lat, Leonid Krasow chodzi.

Można tę historię traktować jako budującą opowieść o sile człowieka. .

Można widzieć w niej triumf wiedzy - bo doktor Krasow tnie zwyciężyłby bez obu swoich dyplomów.

Można zainteresować się stroną naukową, ponieważ udało się wyleczyć kalectwo, które medycyna uważa za nieuleczalne.

I można wreszcie zamyślać się nad tym, dlaczego od pierwszych chwil aż do dziś Krasowa otaczają ludzie. Ci, którzy jemu pomagali. I ci, którym on pomaga. I ci,

którzy na jego prośbę śpieszą pomocą sparaliżowanym. Tych ludzi jest już pięć tysięcy.

W całej historii Leonida Krasowa właśnie tę sprawę uważam za najciekawszą.

W tygodniku Smiena ukazał się artykuł o Krasowie.

W ciągu pierwszych kilku dni po jego opublikowaniu zgłosił o siebie trzy tysiące sparaliżowanych!

Dopóki się o Krasowie nie dowiedzieli, nie podejmowali żadnych prób. Byli apatyczni i osamotnieni. W swoich listach pisali więcej o samotności niż o chorobie.

Są młodzi, nie mają na ogół trzydziestu lat. Najwięcej wśród nich górników, którzy ulegli wypadkowi, motocyklistów i ludzi uprawiających sport. Sportowcy (przeważnie skoczki narciarscy i pływacy) łamią kręgi szyi, są dotknięci całkowitym paraliżem rąk i nóg. Zaczynają pić. Bardzo trudno zachęcić ich do leczenia. Górnicy - ofiary katastrof w kopalni - dostają po wypadku bardzo wysokie renty. Po otrzymaniu tych

131

.130

rent sprawiają wrażenie pogodzonych z losem. Motocykliści to ludzie zamożni (których na motor stać 'było): architekci, inżynierowie, lekarze. Najtrudniej im pogodzić się z losem, są najbardziej wytrwali w leczeniu.

Mieszkają w różnych zakątkach ZSRR. W Moskwie, na Kamczatce, na Dalekim Wschodzie, w Azji Środkowej, na Syberia i w Odessie. Krasow nie może osobiście ich leczyć, kilku chorym więc posłał swoje dzienniki. Prowadził je w szpitalu. Zawierają wyniki obserwacji lekarza, zalecenia, opisy ćwiczeń. Dzienniki te mają 250 stron. Teraz te stronicze krążą po całym kraju. W Leningradzie przepisano je w pięćdziesięciu egzemplarzach. W Mińsku - w siedmiu. W Kujbyszewie - w dziesięciu. Chorzy przesyłają je sobie, informują o wynikach leczenia, otrzymane od Krasowa rady natychmiast przekazują pozostałym.

Zgłosili się już ludzie z urazami kręgosłupa, z zagranicy - z Francji i Włoch. Krasow posłał im wskaźników-M. Ćwiczą z równie wielkim zaparciem, jak wszyscy. Krasowa to cieszy. Postępy pani Giatlti z Turynu i fakt, że Francuz wstał z wózka i zaczął o kulach chodzić - cieszą go jak sukcesy chorych z Charkowa i Tuły.

Powstało coś w rodzaju wielkiej samorzutnie zorganizowanej wspólnoty, wielotysięcznej wspólnoty sparaliżowanych.

Żadnych instytucji tu nie ma: zapewne w ogóle nie może ich być. Instytucje działały najpierw: kiedy robiono operacje, zakładano gips, zdejmowano igips, załatwiano sanatoria, przydzielano renty... Ale kiedy chorzy zostają już ze swymi rentami, myślami i chorobą sam na sam - jakież można podjąć instytucjonalne działania? Jest to krąg nazbyt osobistych spraw. Pozostaje w nim miejsce już tylko dla uczuć i solidarności ludzkiej. I ludzie - na instytucje 'się nie oglądając - solidarnie na pomoc pośpieszyli.

Prawie w każdym mieście, w którym /mieszkają ludzie ze złamanym kręgosłupem, jest już ktoś, kito pośredniczy między Krasowem i nimi. Przyjeżdżają do Krasowa do Moskwy. Relacjonują mu przebieg leczenia. Otrzymują dalsze wskazówki. Przekazują je chorym. Pomagają im w ćwiczeniach. Konstruuują potrzebne przyrządy. Pewien architekt obmyśla po pracy projekt ośrodka leczniczego dla sparaliżowanych. Pewien inżynier z Łotwy pracuje nad projektem wózka, w którym chorzy mogliby poruszać się samodzielnie. Pewien kompozytor napisał dla Krasowa kantatę. Wszyscy ci ludzie poświęcają chorym swój wolny od pracy czas. W Moskwie wszyscy, którzy pomagają pacjentom Krasowa, są inżynierami. Zina, na przykład, jest inżynierem automatykiem, Władimir - inżynierem budowlanym, Oleg - inżynierem chemii. Nie podaję ich nazwisk, bo sobie tego nie życzą. Zadaniami

podzielili się tak: Zina prowadzi korespondencję z ponad stu pacjentami i zgodnie ze wskazówkami Krasowa udziela im szczegółowych rad, Oleg jeździ do cięższych chorych i osobiście im w ćwiczeniach pomaga, Władimir uczestniczy w konstruowaniu aparatu do ćwiczeń i kreśla techniczne rysunki.

Oleg jest z zamiłowaniem humanistą, uwielbia klasyczną muzykę, historię, a w malarstwie - XVI wiek. Nie został malarzem, bo nie miał talentu. Czy jest utalentowanym chemikiem - nie wiadomo. Może zajmuje się pacjentami Krasowa dlatego, że nie ma dość talentu na udatne zajmowanie się chemią albo malarstwem? A może robi to całkowicie bezinteresownie, tylko dla innych ludzi, nie myśląc zupełnie o sobie?

Motywacja Ziny jest nieskomplikowana. Bohaterami jej młodszych, komсомolskich marzeń byli Mierie-sjew i Dzierżyński. W Krasowie ujrzała kogoś, kto chlubi się im, i zachwyciło ją, że może pomóc bohaterom -

132

133

r

rowi. Chce go także naśladować. Nosiła się z zamiarem złamania samej sobie kręgosłupa i wyleczenia się metodą Krasowa. Krasow jej to wyperswadował. Zina postanowiła więc kształcić charakter w sytuacjach powszednich. Na (początek zwróciła swojemu szefowi w pracy uwagę, że jest niesprawiedliwy. Że do inżynierów odnosi się uprzejmie, kreślarzy natomiast źle traktuje. Potem Zina ujęła się publicznie za kreślarzami, bo szef kazał im chować zużyte arkusze do rozliczenia się. Zina uznała to za obraźliwe. Potem interweniowała, bo szef pozwolił inżynierom korzystać ze służbowego telefonu, a kreślarzom i robotnikom nie. Potem, kiedy szef przyniósł inżynierom kwiaty ze swojej działki - demonstracyjnie oddała robotnikom swoje.

Szef postępował nietaktownie i niesprawiedliwie od lat. Nikt nie zwracał na to uwagi. Teraz Zina uważa, że tacy milczenie jest oportunistycznym. Kto chce dowiedzieć samemu sobie charakteru i zachować własną twarz - niech protestuje. Zina stała się człowiekiem niepogo-dszonym.

Wszyscy dziwią się: - Taka spokojna, zdyscyplinowana Zina..,

Nikt oczywiście nie wiedział, że to wpływ Krasowa. Ale Krasow, traktowany jako bohater literacki, jest przecież tym pozytywnym bohaterem, którego literatura radziecka kreuje od dawna i przed młodzieżą stawia za wzór.

l zastanawia trochę, że właśnie ów wzór zdecydował o ewolucji - od postawy uległego podporządkowania do protestu.

"Wychowanek radzieckich uczelni, wychowanek naszego radzieckiego społeczeństwa, bohater naszych czasów" - kończy się artykuł w Smięnię,

"... Przyślijcie choć fotografię. Jestem nauczycielką i chcę opowiedzieć o was młodzieży. Może nawet zrobić wczoraj wam poświęcony..."

"Napisalam wiersz i nawet muzykę dobrałam. Tę pieśń poświęciłam wam".

"... Na pewno macie wzrok silny, bojowy. Chciałbym pokazać to dzieciom" - pisze dyrektor Domu Pionierów miasta Bujnakska.

Dziesiątki czytelników proszą go o przysłanie zdjęć. Ktoś chce powiesić jego zdjęcie zamiast ikony. Ktoś chce umieścić je w szkolnej gazecie. Ktoś wreszcie pisze: "Jestem młoda i samotna. A pan?"

Krasow mówi, że bohater to człowiek, który dokonał czegoś na rzecz innych ludzi. A on tylko ratował siebie.

Ludzie otoczyli go od pierwszych dni. Lekarze, z którymi pracował, pacjenci, których leczył, sportowcy, z którymi startował, młodzież, którą trenował na basenie. Ponoć jedyną cechą wyróżniającą go była życzliwość dla ludzi. I ludzie to doceniali. Pośpieszyli do szpitala, bo wiedzieli, że przed takimi chorymi chowa się szelki i żyłki. Wiedzieli, że przez całe życie uwielbiał narty,

motor, szybkość, ruch - i że życie bez ruchu traci sens dla niego. Wierzyli, że ich obecność uchroni go przed desperacją i dyżurowali przy nim dzień i noc. Krasow mówi, że z początku żył przez uprzejmość. Widział ich wysiłki i po prostu nie wypadało mu zasmucać ich. A potem przyszedł doń ktoś - jakiś znajomy fizyk - i powiedział, że przecież są jednak radości jeszcze Krasowowi nieznane. I że zanim Krasow ostateczną decyzję podejmie - warto, by zajrzał w obcy mu dotychczas świat. I Jurij Morozow (ów fizyk) przyniósł do szpitala książki. Oczywiście - mieści się ito doskonale w stereotypie pozytywnego bohatera. Bohater nawet powinien czer-ipać z książek siłę (najlepiej z równie bohaterskich jak

135

134

on). Rzecz w tym jednak, że ani Jak hartowała się stal ani Opowieści o prawdziwym człowieku - Jurij mu nie przyniósł. Zresztą Krasow to znał od dawna. Jurij powiedział: fo jest Schopenhauer, to Blaise Pascal, a to- Seneka. Przez następne pięć lat Krasow czytał filozofów i ćwiczył sparaliżowane nogi. W listownych wskazówkach dla pacjentów zalecał: "Przejdźcie do ćwiczeń grupy B. Czytajcie Pascala". Sam czytał pisarzy, których przedtem nie znał nawet ze słyszenia, i odkrył, że jest to świat tak frapujący, jak ruch, woda, góry i skoki na nartach.

Fragmenty dziennika dr. Krasowa: "Nocą były bóle. Gimnastyka. Paiscal - Myśli. Myśli: ludzie i ja. Grzałka była zbyt gorąca, brak czucia w nodze - oparzenie drugiego stopnia..."

"Sam opracowałem przebieg łatwej operacji. Chirurg zgodził się... Odstąpiwszy na jeden do dwóch centymetrów od rany usunąć dno odleżyny... Następnie uchwycić tkankę..."

"Organy trawienne muszę leczyć głodem. Głód jest meczący tylko przez pierwsze dni, potem to uczucie tępieje i kiedy nie myśli się o jedzeniu i nie widzi się go - głód zupełnie dobrze można znieść..."

,, ... Człowiek jest tylko trzcina, najwątleszą trzcina w przyrodzie, ale myślącą. Nie potrzeba, by cały wszechświat uzbroił się, aby go zmiażdżyć: mgła, kropla wody wystarczy, aby go zabić. Ale gdyby nawet wszechświat go zmiażdżył, człowiek byłby i tak czymś szlachetniejszym niż to, co go zabija, ponieważ wie, że umiera, i zna przewagę, którą Wszechświat ma nad nim. Cała nasza godność spoczywa tedy w myśli. Z niej itrzeba nam się wywodzić... silmy się tedy dobrze myśleć: oto zasada moralna" (Blaise Pascal. Myśli), Bohater naszych czasów, Leonjd Kirasow, zapewnia,

że istnieje ścisły związek między lekturą Pascala i faktem, że postanowił żyć. Już po wydrukowaniu powyższego reportażu w Polityce ukazała się w Moskwie książka Walerii Gordie-jewej Doktor Krasow (100 tysięcy nakładu. Wydawnictwo Literatury Politycznej).

Dowiedziałam się z niej, że autorka rozmawiała z ludźmi otaczającymi Krasowa nie tylko o nim, lecz i o mojej skromnej osobie, a raczej o mojej wersji Krasowa: bohatera-intelektualisty. Opowiadała o tym Zina, którą nasza rozmowa zdziwiła i zirytowała. Uczucia te w pełni podzieliła autorka książki, a z ich wspólnej irytacji powstał następujący fragment:

"I oto spacerują (tj. Zina i ja - H. Kr.) po zalanej światłami Moskwie i rozmawiają, rozmawiają, rozmawiają... Ale im więcej mówią, tym bardziej Zina upewnia się, że ta kobieta, choć dolarze znająca język rosyjski, nie chwyta najważniejszego. Wtedy, zapominając o wszelkiej dyplomacji, o obrzydliwym deszczu siekącym twarz jak z rozpylacza, Zina, nie doczekawszy się kolejnego, i sądząc po poprzednich, równie błahego pytania, sama zaczyna gorączkowo opowiadać

o Kraisowie. Ale nagle, przerywając, zagląda w twarz swojej milczącej towarzyszce, z góry będąc pewna odpowiedzi:

- A pani chciałaby być do niego podobna?

- Ja do nikogo nie chcę być podobna.

Zina, wstrząśnięta, zatrzymuje się. Potem oddycha z ulgą: oczywiście tamta nie zrozumiała, pojęła to w sensie dosłownym... Ale omyłka Ziny nie trwała długo. Sądząc po tym, jak dziennikarka ożywiła się, kiedy się skończyły wszystkie te wynurzenia - jak Krasowowi było ciężko, jak wszystko pokonał, i jaki on nadzwyczajny - Zina widzi, że tamtą interesuje coś zupełnie innego. Bo oto - widząc zmieszanie Zi-

137

ny - miękko tłumaczy jeszcze raz: Chciałabym więcej wiedzieć o duchowym świecie Krasowa: o tym, co on czyta, co lubi, czym się interesuje...

Zina coś tam mruczy o muzyce, o wierszach, a w duszy jest wstrząśnięta. Jakże można, spotykając się z Krasowem, myśleć o czymś drugorzędnym i pomijać najważniejsze, pomijać istotę: czyn bohaterski, jakiego dokonał, zwyciężając śmierć? I Zina z goryczą konstatuje, że znów za granicą zobaczą Krasowa całkiem innego niż jest w rzeczywistości..."

Z książki Gordiejewej wyłania się natomiast Kra-sow taki, jakim być powinien: nieulekły, twardy i prosty. Odrobinę za prosty nawet...

Ale tradycyjni bohaterowie radzieckiej literatury byli zawsze silni i prości. I przymiotami charakteru i serc, a nie umysłu, fascynowali czytelnika. Do dziś "czeluskinowcy" śpieszący polarnikom na pomoc, żeglarz towarzyszący Heyerdahlowi w wyprawie i dziewczynajstrażak skacząca ze spadochronem na płonący las są ulubionymi bohaterami prasy radzieckiej. Więc kiedy współczesny Rosjanin "chce sprawdzić siebie" - a próbuje sprawdzać się bezustannie - także musi na coś się wdrapać albo z czegoś zeskoczyć, albo coś przepłynąć... Dlatego zresztą tak lubią Hemingwaya. I on przecież, sprawdzając swoich bohaterów, przeciwstawia ich najchętniej przyrodzie. Jest więc człowiek i tygrys, człowiek i dżungla, człowiek i ryba, człowiek i morze, człowiek i śmierć... Być może na tym właśnie polega "młodzieżowość" tej literatury. Literatura dla dorosłych zaczyna się bowiem od konfrontacji człowieka z innymi ludźmi.

A jednak sprawdzać się w kontaktach z ludźmi jest trudniej niż z Elbrusem. Znacznie też to mniej efektowne. Wiec w literaturze, filmie i młodzieżowej prasie powiela się nadal typ "prostego i silnego" czło-

wieka, choć realny współczesny Rosjanin przewyższa go coraz częściej intelektem, lekturą i zainteresowaniami.

Jednym z takich prostych i silnych ludzi jest - wracając do Gordiejewej - Krasow z jej książki właśnie.

Jaka szkoda - trawestując słowa Ziny - że radzieccy czytelnicy znów zobaczą go innym, niż jest w rzeczywistości...

138

Wszystkie miejsca za stołem

W październiku zamarzył zalew na rzece Ob. Zaśnieżona plaża, lód i 'niebo różnią się tylko odcieniami bieli (doktor nauk matematycznych, prof. Żurawlow, zauważa ze znanstwem, że jedynie impresjonista zdołałby przekazać tę biel). Na horyzoncie widać czarne plamy. To ludzie. Właśnie obcuja z przyrodą. Siedzą na składanych krzeselkach i łowią w przeręblach ryby. Podobno obcowanie z przyrodą jest niezbędne dla ludzi nauki. Przywraca im twórcze siły, a ich - przywraca światu. Wielki matematyk Malcew po dyskusji nad subtelnościami teorii modeli wyprowadzał członków swojego seminarium do lasu. Czasami nawet las był zamiast teorii.

Las, który otacza Akademgorodok - Miasteczko Akademickie - jest jego mieszkańcom tak potrzebny, jak pracownia z aparaturą i sklep z chlebem. W nowosybirskim Akademgorodku co trzeci dorosły człowiek jest uczonym.

Udogodnienia

Większość spośród 35 tysięcy mieszkańców Miasteczka ma: wyższe wykształcenie, wyższe od przeciętnych w kraju zarobki i 'obszerniejsze niż przeciętny obywatel

tel radziecki mieszkanie. Płaca kandydata nauk (według naszych stopni - doktora) jest trzykrotnie wyższa od średniej krajowej pensji. Płaca doktora nauk doktora habilitowanego) - przewyższa średnią pięciokrotnie.

Na każdy tysiąc mieszkańców ZSRR przypada średnio 588 pokoi. W Miasteczku - o 240 pokoi więcej. Powierzchnia mieszkalna członka rodziny uczonego jest większa od przeciętnej powierzchni o 4-11 metrów.

Lepsze jest zaopatrzenie w żywność. W specjalnym sklepie spożywczym zostawia się po prostu kartkę i zamówione towary są nazajutrz dostarczane do domu.

Artykuły przemysłowe kupuje się w innym sklepie specjalnym. Bywają w nim angielskie kozaczki, francuska dzianina, a także komplety polskich mebli.

Udogodnienia, z których korzystają naukowcy, są zróżnicowane i zależą od tytułu naukowego i pełnionej funkcji.

Kandydaci nauk, na przykład, mają mieszkania o wysokości ścian 2,70 m, doktorzy - 3,20. Członkowie-iko-respondenci Akademii Nauk mieszkają w damkach-<bli-żniakach, członek rzeczywisty Akademii ma prawo do oddzielnej willi.

W sklepie "daktorskim" bywa czarny kawior, w kandydackim - czerwony.

A do kina młodszy pracownik naukowy stoi w kolejce, podczas gdy doktor dostaje bilety od razu.

Spółeczność Miasteczka rozumie przyczyny tego zróżnicowania. Spółeczństwo, którego nie stać jeszcze na dobrobyt dla wszystkich jego członków, zapewniło najlepsze warunki najlepszym (czy może - najmądrzejszym, a w każdym razie najbardziej utalentowanym).

Mieszkańcom Miasteczka odjęto zatem troskę o pracę, mieszkanie, pieniądze, zakupy - o rzeczy, na które zwykli ludzie trwonią z konieczności myśli i czas.

141

T

Mieszkańcy Miasteczka, uwolnieni od powszechnych trosk, mogą 'poświęcić się tym zajęciom, które uważają za prawdziwie sensowne. • ;

Prawo wyboru

Profesor doktor Trofimuk, wiceprzewodniczący syberyjskiego oddziału Akademii Nauk ZSRR, powiada, że założycielom Miasteczka przyświecał cel dwójaki: stworzyć zaplecze naukowe dla ekonomicznego rozwoju Syberii i stworzyć warunki rozwoju ludziom, którzy w starych naukowych ośrodkach nie mieli należytych szans. , Naukowcom, którzy chcieli tu przejść, zadawano pytanie: - Jaka ideę chce pan u nas realizować? I przyjmowano 'tych, fetórzy byli w stanie zaprezentować myśl dostatecznie ciekawą.

Profesor G. Budker zostawił w Moskiewskim Instytucie Fizyki Jądrowej "stu ludzi i cztery tysiące metrów kwadratowych", którymi kierował, uważał bowiem, że instytut powinien być zorganizowany inaczej. ("Nie znaczy to oczywiście, by organizacja moskiewskiego instytutu była zła. Jest po prostu odmienna"). Ponadto zaś miał ideę, której nie chciała zaakceptować Rada Naukowa w Moskwie.

Przedstawił tę ideę Kur-czatowowi, który prosił o opinię trzech wybitnych uczonych. Otrzymał opinie miażdżące. Pokazał je Budkero-wi. Potem rzekł: "Proszę napisać, jakie środki są potrzebne do realizacji projektu, i przystąpić do pracy". (Za realizację owej idei, zwanej metodą zderzających się wiązek, prof.

Budker otrzymał później Nagrodę Leninowską. Spośród trzech uczonych, którzy wydali negatywne opinie, jeden przyjechał do Miasteczka, by

fzeC: "Trzeba umieć przyznawać się do błędu..." Dwaj pozostali milczą). Genetycy przyjechali dlatego, że z przyczyn znanych nie mogli uprawiać przedtem swojej dyscypliny.

Ekonomiści i socjologowie przyjechali z zamiarem podjęcia prób, których przed nimi nikt w Związku Radzieckim nie podejmował.

Dr A. Aganbegan chciał stosować w ekonomii metody matematyczne. Kierownictwo Instytutu Ekonomiki, na którego czele stał powszechnie znany autorytet, członek Akademii Nauk ZSRR, a także większość naukowców instytutu - sprzeciwili się temu. Wkrótce okazało się, że argumenty mniejszości są bardziej przekonujące niż obawy jej oponentów.

W wieku 30 lat dr Aganbegan został dyrektorem Instytutu. Ludzie, "którzy za podstawowy obowiązek uważali komentowanie aktualnych decyzji partyjnych władz" - odeszli. Historię tę cytuje się jako typowy przykład nieprawidłowości rozwoju. Rozwoju, w którym "nowe zwycięża".

Socjologowie także próbowali stosować metody matematyczne. Jeszcze w 1963 roku zakończyło się to publiczną krytyką. W 1964 roku już nie krytykowano surowo, lecz tylko przestrzegano przed fetyszyzacją. W 1965 roku metody ilościowe zostały zaaprobowane, bo "jeśli nie zastosujemy ich, to nie uda nam się prześcignąć socjologów Zachodu".

Wszyscy socjologowie nowosybirscy uczą się pilnie matematyki. Było już seminarium 'teorii korelacji, teorii informacji, analizy matematycznej, programowania...

Doskonałe opanowanie metod matematycznych jest dla 'socjologii radzieckiej trampoliną, od której można odbić się i skoczyć dalej, niż udało się to uczonym tych państw, w których uprawia się socjologię od dawna.

Aleksiej Dmitriew, geolog, przybył do Miasteczka

142

143

mając 28 lat, aby zająć się geologią cybernetyczną. Przeczytał wszystko, co o tym 'napisano po angielsku, francusku i niemiecku, żeby określić miejsce, w którym się znalazł. Miejsce okazało się odludne. Zajął się problematyką wyboru informacji. Za przedmiot badań obrał złoża złotonośnych rud w Afryce Południowej. Na podstawie literatury ustalił okoliczności towarzyszące występowaniu złota. Następnie wybrał tę ilość informacji, którą może zanalizować elektroniczny mózg (istnieje bowiem granica złożoności spraw, które można powierzyć maszynom). Podstawą jego pracy była teoria testów, której twórcami są także nowosybirscy matematycy. Według tej teorii opracował dla maszyny matematycznej program. Maszyna wskazała rozwiązanie: pięć punktów na mapie ZSRR. (Mapa została uprzednio "przepisana" - tak, żeby maszyna mogła ją zrozumieć). Dmitriew siedział za biurkiem wśród formuł matematycznych z suwakiem logarytmicznym w rękę, biegał do "mózgu" i słał w teren depesze. W depeszach określał miejsca wskazane przez 'maszynę i prosił, żeby tam szukać. W trzech spośród tych pięciu wskazanych miejsc znaleziono złoto. Warunki geologiczne były dokładnie takie jak w Afryce Południowej. Są to pierwsze tego rodzaju złoża odkryte w Związku Radzieckim.

Realizując swoje idee ludzie rozwijają naukę i zarazem sami postępują po szczeblach określonej dokładnie hierarchii. Model jest dokładnie znany.

25 lat - obrona pracy kandydackiej. 30 lat - doktorat. 32 lata - członek korespondent Akademii Nauk ZSRR (to Aganibegian).

Albo: 23 lata - dyplom.uniwersytetu. 24 lata - kan-

dydat nauk. 25 lat - doktor. 26 lat - profesor uniwersytetu (to Jerszow, matematyk).

Albo: w wieku 31 lat - laureat Nagrody Leninowskiej, dyrektor Instytutu Cybernetyki, wykłady na Uniwersytecie Columbia (Żurawlow - Yuri Zhuravlev, DR. SC. - jak go przedstawia zagranicznym kolegom elegancka wizytówka).

W Miasteczku każdy ma jednakowe szansę. Pozycja zależy wyłącznie od dokonań. Dokonania zależą od talentu.

Presja talentu zaczyna się od najwcześniejszych lat. Sześćcioletnie dzieci próbują czytać Rabelais'ego. Piętnastoletni chłopcy grzebią się w historycznych archiwach i liczą, ile bojar Morozow miał w XVI wieku dusz. Nauczyciele są w stałym kłopotcie: czy chwalić za znajomość Swetoniusza, czy egzekwować rozbiór logiczny zdań (nie zawsze jest czas na jedno i drugie). Specjalne szkoły selekcjonują dzieci przy wstępnym egzaminie. Uniwersytet szuka talentów naukowych.

Uniwersytet, który jest rówieśnikiem Miasteczka, przygotowuje w odróżnieniu od wszystkich innych uczelni przede wszystkim naukową kadrę. Zwykle około 5 procent najlepszych absolwentów poświęca się nauce. Z tego uniwersytetu idzie do pracy naukowej połowa. Rektor uniwersytetu - proi. dr S. Bielajew (40 lat, fizyk, uczeń Budkera, staż u Nielsa Bobra, luźny sweter, koszula bez krawata) - mówi, że dla przygotowania naukowej kadry potrzeba trzech rzeczy: wykładowców, którzy sami pracują naukowo, laboratoriów, w których uprawia się autentyczną naukę, i utalentowanych studentów. Pierwsze i drugie bez kłopotu zapewniono. Studenci pozostają na uczelni tylko trzy lata, a pozostałe dwa spędzają w normalnych naukowych laboratoriach. Wykładowcy są zarazem pracownikami instytutów naukowych. W ten sposób po raz

145

10 - Na wschód od Arbatu

pierwszy połączono kształcenie z nauką. Dotychczas uniwersytety zajmowały się tylko kształceniem. Naukę uprawiano w instytutach i pracowniach Akademii Nauk.

Studentów wybiera się spośród młodzieży Syberii, Azji Środkowej i Dalekiego Wschodu. "Wybiera się dobrych studentów z niezbyt dobrych szkół".

Toteż trzeba rozpoznać talenty jak najwcześniej, by niezależnie od poziomu miejscowych szkół zapewnić im normalny start. Stworzono cały system wyławiania i kształcenia wybitnie zdolnej młodzieży. Wysłannicy Miasteczka jeżdżą do miejskich i małomiasteczkowych szkół, wyłuskują zapowiadających się, a potem pracują z nimi, posyłając listownie zadania, odpowiadając na pytania i podsuwając lekturę. Część spośród tych uczniów przyjmuje się do specjalnej matematyczno-fi-zycznej szkoły średniej przy uniwersytecie. Innych - wprost na uniwersytet. W tych poszukiwaniach i pracy bierze udział 600 naukowców Miasteczka.

Ich praca owocuje. Dwie trzecie dyplomowych prac młodych chemików publikuje się w normalnej fachowej prasie. Fizyk Galijew w chwili zakończenia studiów .miał za sobą 11 opublikowanych prac z problematyki reakcji termojądrowej, a w dwa miesiące po studiach zrobił doktorat. W tym roku przyjęli na pierwszy rok studiów piętnastoletniego chłopca, który po dziewiątej klasie zdał jako ekstern maturę. "Nie mamy żadnej szczególnej metody pielęgnowania talentów; po prostu staramy się nie przeszkadzać im" - powiedział prorektor Nowosybirskiego Uniwersytetu J. Biecenkow, który jest matematykiem i właśnie skończył 31 lat.

"Lipcowy deszcz"

Żurawlow tworzy teorię testów. Dmitriew znajduje siedząc za biurkiem złoto. Jerszow błądzi myślą wokół granic możliwości liczących maszyn. Te zajęcia pochłaniają ich całkowicie.

(- A po co w ogóle robić cokolwiek innego? - odpowie Żurawlow na pytanie, czy jest w ich życiu coś innego jeszcze).

Dmitriew w wolnych chwilach zajmuje się filozofią indyjską, ale traktuje ją niemal usługowo. W sześciu systemach braminizmu znajduje sposób regeneracji własnej osobowości. Mówi, że tą drogą gromadzi psychiczną energię. I od razu zastrzega, że tej energii nie wolno trwonić po próżnicy - na jakieś rozmowy błahe, na byle spotkania. Trzeba poważne zadania stawiać przed sobą i tylko wokół nich koncentrować myśl.

Ale nawet w tak szczególnym środowisku jak Miasteczkowe nie wszyscy są wielkimi twórcami. Większość obraca się na wyżynach nauki przez jakieś osiem godzin w ciągu dnia, a potem zstępuje na ziemię. Ta "ziemia" jest nieduża. Miasteczko ma rozmiary sporej wsi. Wszędzie można dojść piechotą, a idąc napotyka się i ludzi znajomych, i sprawy znane. Kiedy widzi się w oknie doktorową A., która, powiedzmy, czyści rybę, można od razu domyśleć się reszty. Że ponieważ jest to wykwinna ryba z doktorskiego sklepu, więc niechybnie doktorowa A. urządza dzisiaj kolację. Lecz skoro na kolacji u doktorostwa A. będzie ryba, to znaczy, że przyjdzie do nich akademik B., bo wiadomo, że B. lubi ryby. Jeśli będzie akademik B. to znaczy, że nie będzie akademika X., bo akademik B. lubi wprawdzie rybę, ale nie lubi akademika X.

Do niedawna przydzielano bloki mieszkaniowe poszczególnym instytutom. W jednym domu mieszka

10*

146

147

więc sami fizycy, w drugim ekonomiści, a w trzecim pracownicy chemii. W (tradycyjnym mieście więzi między ludźmi są różnorodne. Ma się przyjaciół ze szkoły, uczelni, z miejsca pracy współmałżonka. W Miasteczku istnieją tylko więzi zawodowe i sąsiedzkie - co najczęściej to samo znaczy. Ludzie w tym samym gronie spotykają się w pracy, przy stole i na klatce schodowej. Społeczność Miasteczka składa się więc z niewielkich grup, które odpowiadają zawodowym podziałom. Fizycy spotykają się na ogół z fizykami, ekonomiści trzymają się razem.

W Miasteczku, jak niedawno obliczono - 27 procent ludności w wieku produkcyjnym stanowią ludzie samotni. Większość spośród nich nie ma więcej niż 22 lata i nie więcej niż 35 lat.

Dużo jest rozwodów - powstał już nawet specjalny towarzyski "Klub rozwiedzionych". Socjologowie twierdzą, że liczba rozwodów w Akademgorodku już świadczy o "istnieniu zjawiska".

Klub "Pod integralą" zaproponował tym, którzy czują się samotni, swoją pomoc. Rozdano ankiety. Okazało się, że co czwarty spośród ludzi, którzy je otrzymali - a był to przypadkowy dobór osób - odpowiedział na wezwanie. W ten sposób powstał kolejny klub i nazwano go "Drużba".

Zwróciły się doń małżeństwa, które szukały innych małżeństw, bo czuły niedostatek towarzyskiego życia. Mężczyźni szukali przyjaźni męskiej. Kobiety - przyjaciółek. Dużo osób zgłosiło "zamówienie" na znajomości męsko-damskie. W ankietach podawano swój wiek, wykształcenie, wzrost, zalety i zainteresowania. I wymieniano te cechy, które powinna mieć osoba poszukiwana. Wymagania kobiet wobec mężczyzn były, na przykład, takie: wyższe wykształcenie, wzrost nie niższy niż 164 cm, brunet, zainteresowanie Heglem.

Klub pośredniczy obecnie w nawiązywaniu kontaktów.

Inny niedawno utworzony klub nosi nazwę "Nie uczcie mnie żyć" ("... bo gdybyśmy nazwali go "Uczcie mnie żyć", to przecież nikt by się nie zapisał"). Jego kierownictwo uznało, że trzeba pomóc ludziom w poznawaniu samych siebie. Podobno to zainteresowanie sobą jest też zjawiskiem nowym. Jeszcze niedawno mówienie i myślenie o sobie było rzeczą zdrożną, groziło poważnym oskarżeniem o indywidualizm. W towarzystwie rozmawiało się tylko "o diełach" - "o robocie..." Nowo powstały klub postanowił na początku zorganizować wykłady z zakresu psychologii, seksuologii, "o sztuce życia z ludźmi", a na pierwszy odczyt o seksuologii przyszło w trzydziestotysięcznym miasteczku - 3 tysiące osób. Niedawno wyświetlano tu Lipcowy deszcz. Jest to radziecki film przypominający Antonioniego. O ludziach, którzy nie mogą się porozumieć. O rozmowach bez znaczenia. O pustych spotkaniach. O mężczyźnie i kobiecie, którzy są dobrzy i wartościowi, i sympatyczni, i żyją w dostatku, i mają ciekawą pracę, ale nie robią wcale wrażenia szczęśliwych i nie potrafią żyć obok siebie. Ten film wywarł w miasteczku oszałamiające wrażenie. Był wstrząsem. Dyskutowano o nim bez końca. A mówiono tak, jak o ludziach i sprawach doskonale i osobiście znanych sobie.

Czy istnieje związek między znaczną ilością osób samotnych * (27 procent), dużą liczbą rozwodów, rozbięciem na zamknięte zawodowe grupy, klubem. "Drużba", powodzeniem filmu Lipcowy deszcz i szczególnym charakterem społeczności Akademgorodka?

Miejscowi socjologowie mówią, że tak. Przedstawiają wywód następujący: "Nie ma materialnych trosk.

148

149

Nie ma więzów przymusowych, które wynikają, na przykład, z wzajemnej materialnej zależności żony od męża albo obojga od wspólnego mieszkania. (Osoby rozwiedzione otrzymują bez kłopotu miejsce w Hotelu Uczzonego). Ludzie zaczynają przyglądać się i sobie, i innym. Mają wymagania coraz wyższe. I okazuje się, że więzi, które dawniej wydawały się im wystarczające w przyjaźni albo w małżeństwie - dziś nie zadowolają ich".

Materialny dostatek i rozwój intelektualny rodzą wszędzie nowe problemy w stosunkach między ludźmi. A 'materialny i kulturalny poziom życia w Miasteczku jest o wiele wyższy niż przeciętny poziom w ZSRR. Toteż tu właśnie występują pierwsze objawy owego ogólnego procesu. Dzisiaj dotyczą niewielkich jeszcze grup. W przyszłości - ze wzrostem wykształcenia ogólnego i ogólnego dobrobytu - zaprzatać będą zapewne wielu innych.

Jacyś wydelikaceni

Akademgorodok oddalony jest od Nowosybirsk o 30 km, ale kontaktu między miastami nie ma. W Nowosybirsku istnieje mit o lepszym zaopatrzeniu sklepów w Miasteczku, więc ludzie przyjeżdżają niekiedy po zakupy. A przyjeżdżając widzą jakichś zamyślonych ludzi snujących się w godzinach pracy po lesie. Nie wiedzą, że to właśnie jakiś matematyk ROZMYŚLA. Albo fizyk nabiera żywotnych sił w obcowaniu z przyrodą. Zaczepiono kiedyś takiego fizyka: - Słuchaj no, a ile cegieł zdarzyło ci się ułożyć w życiu?

Wracają więc z niejasnym podejrzeniem, że ci uczeni doprawdy nie przepracowują się, a powodzi im się, daj nam Boże.

Nawet inteligencja nowosybirsk niełatwo nawiązuje kontakt z naukowcami z Miasteczka. Mikołaj Mejsak, który sam się na Syberii urodził, tłumaczy, że tamci są nazbyt wrażliwi, wydelikaceni jacyś. On sam ich ceni, rzecz jasna, - rozumie ich rolę, a z niektórymi nawet się przyjaźni. Ale w gruncie rzeczy lubił zawsze natury twarde. Mejsak walczył w syberyjskiej dywizji, tej, którą w 1941 .roku ściągnięto ze Wschodu pod moskiewski front. Otoczyli go, zabił osiemnastu,

ostatnim granatem rozerwał ich i własne nogi. Kiedy wrócił do Nowosybirsk, utworzył koło rannych poetów. Pewne-(go dnia ktoś przyszedł z nieznanym żołnierzem: Przy-iprowadziłem wam Lutika. Lutiik powiedział: jestem poetą bez wierszy, mężem bez żony i Polakiem bez ojczyzny. To matka Mejsaka szybko wydoiła lirowe i dała Lutikowi mleka - takiego ciepłego i jeszcze z pianką - "a rozumiecie chyba, czym było mleko w roku 1942 na Syberii". Potem, już po wojnie, ktoś powiedział, że Łutik nazywał się Lucjan Szenwald i że podobno zginął. Tak więc Mikołaj Mejsak, jak wszyscy Sybiracy, lubi natury twarde. Dziewczyna, na przykład, która pracuje jako strażak w syberyjskiej tajdze i skacze ze spadochronem na płonący las - o, to jest człowiek, który naprawdę może zrobić wrażenie.

Równi sobie

Niektórzy wyjeżdżają. Jednym skończył się termin meldunku. (Mieszkając w Miasteczku byli zameldowani w Moskwie, Leningradzie i Kijowie w okresie trzech lat. Nie wszystkim ten okres przedłużano). Inni wyjechali na Wschód - dalej jeszcze - a im dalej na wschód, tym realniejsze szansę szybkiego awansu

150

151

i większego mieszkania. Bywało tak, że wyjeżdżali, bo nie mogli uzgodnić poglądu z naukowym zwierzchnikiem. To się w każdym środowisku zdarza. Tylko, że Akademgorodok jest niewielki. Chcąc zmienić miejsce pracy, trzeba zmienić miasto. "Prowincjonalizm nie polega na tym, że nie ma Trietiakowskiej Galerii, tylko na tym, że nie ma możliwości wyboru".

W przyszłości szansę wyboru miejsca zwiększą się. Powstanie Wielki Akademgorodok. Miasteczko otoczone będzie pierścieniem biur konstrukcyjnych i doświadczalnych zakładów. Biura będą przekładać naukową teorię na język praktycznych zastosowań. Zakłady będą produkować pierwsze egzemplarze nowych urządzeń. Przemysł nie chciał się podjąć tego zadania: "Nowa naukowa myśl wymaga nowej techniki i organizacji". Dlatego realizują to sami, szybko i bez biurokracji, skracając wielokrotnie czas dzielący myśl naukowca od przemysłowej praktyki.

W "strefie wdrażania" zakłada się teraz nowe szkoły, instytuty, a nawet wyższe uczelnie techniczne. Także na uniwersytecie powstanie wkrótce wydział fizyczno--techniczny. Kształcić będzie specjalistów od realizowania najnowszych osiągnięć nauki. "Przyśpieszą oni sztafetę, która - jak pisze Prezydent Syberyjskiego Oddziału Akademii Nauk M. Ławrentiew - zaczyna się w laboratorium uczonego, a kończy w żywej konkretnej pracy".

Akademgorodok ma już 14 lat i osiągnął wiek dojrzały. Czy i jemu grozi to, że młodzi odejdą, by gdzie indziej realizować "interesujące idee?" Na razie, oczywiście, nie. Dojrzałość to jeszcze nie uwiad starczy. Ale akademik Budker już się przed uwiadem zabezpiecza. Obok jego gabinetu ustawiono okrągły stół. Codziennie o 11,30 spotykają się przy nim na kawie i rozmowie kierownicy wszystkich pracowni.

W jego Instytucie Fizyki Jądrowej nie ma hierarchii działów, zakładów i katedr. Są tylko merytoryczne pracownie, a wszyscy ich kierownicy odpowiadają bezpośrednio przed Budkerem. ("Czy może to ja odpowiadam przed nimi?"). Przeciętny wiek tych kierowników wynosi 33 lata. Przy stole nie ma ważniejszych i mniej ważnych miejsc: wszyscy są sobie równi. Ale wszystkie miejsca za tym stołem są już zajęte.

152

Właśnie powstał nowy teatr

W budynku "Sowriemiennika" występował przez parę dni teatr-studio "Żaworonok". Wystawiał Skowronka Anouilha. Było to jego pierwsze przedstawienie: teatr powstał w tych dniach. Widownia była przepełniona. Przed teatrem codziennie gromadził się tłum. Na peronie stacji metra Majakowskaja ludzie pytali wsiadających o 'bilety.

Tak więc w Moskwie są obecnie trzy teatry, do których nie sposób isię dostać: "Sowriemiennik", "Żaworonok" i teatr "Na Tagance".

Chodzi się na myśl

"Sowriemiennik" był protestem przeciwko artystycznej metodzie MCHAT-u. Jego aktorzy ukończyli mcha-towską szkołę i zostali przyjęci do zespołu, a dziesięć lat temu praca w MOHAT-cie była dla młodego aktora ogromną szansą. Dawała pozycję w zawodzie, status społeczny i sławę. Młodzi aktorzy zrezygnowali z tej szansy. Odeszli z MCHAT-u i stworzyli własny teatr.

"Taganka" powstała w łonie Teatru im. Wachtango-

wa, dokładnie w ten sam sposób. Lubimow, obecny główny reżyser, był aktorem Wachtangowa i wykładowcą w teatralnym studium. Ze swoimi uczniami wystawił Brechta. Potem wraz zespołem, Brechtem i własnym artystycznym programem przeniósł się na Ta-gankę.

"Żawoiironok" jest z kolei protestem przeciwko metodzie, którą reprezentuje wielki autorytet teatralny - Sergiusz Obrazcow.

Borys Abłynin, główny reżyser "Żaworonka", był reżyserem w teatrze Obrazcowa siedem lat. Potem zorganizował teatr, który jest dokładnym zaprzeczeniem wszystkiego, czego w ciągu tych siedmiu lat uczył go mistrz.

Obrazcow, ludowy artysta ZSRR, laureat premii i nagród, jest klasykiem. Pokazał możliwości lalek i doprowadził ich pracę do perfekcji. Jego lalka się uśmiecha i porusza ustami, i opuszcza powieki, i rżęsami trzepocze, i w ogóle robi wszystko tak jak człowiek, a nawet lepiej jeszcze. Swymi mistrzowskimi lalkami Obrazcow pokazuje dzieciom bajki, a dorosłych rozwesela. Nie wystawia żadnych sztuk, które nie są śmieszne. Uważa, że nie nadają się do lalkowego teatru.

Od chwili, kiedy osiągnął wyżyny, Sergiusz Obrazcow się nie zmienił. Jest - tak jak był - doskonały. "To tylko zmienili się widzowie". Dziś - mówi Abłynin - nie chodzi się do teatru po to, żeby się pokazać w towarzystwie. I nie na aktora, jak na Maissalskiego kiedyś. Chodzi się natomiast na "dramaturga" lub po prostu "na teatr". A to znaczy - że chodzi się na myśl. Mówiłem Obrazcowowi, że już nikogo się nie zadziwi techniczną perfekcją lalki. Nie jest bowiem ważne, jak nadzwyczajnie ta lalka mówi, tylko co ona ma do powiedzenia. Obrazcow zgadza się z tym. A kiedy propo-

154

155

nowałem intelektualną sztukę mówił: "Jak to, przecież to wcale nie jest śmieszne".

Borys Abłynin odszedł do podrzędnego teatrzyku lalek, utworzył studio i wyszkolił sobie aktorów. Potem wystawił Skowronka.

Może to Abłynin wymyślił...

Skowronek jest sztuką o Joannie d'Arc. Historia Joanny d'Arc to - jak wiadomo - historia człowieka, który padł ofiarą niesłuszných oskarżeń i został zrehabilitowany pośmiertnie. To także historia człowieka, który wbrew wszystkim bronił własnych przekonań, mówił nie i do końca pozostał sobą. To pochwała odwagi. Manifestacja indywidualności. To...

A zresztą może tego wszystkiego w ogóle nie ma w Skowronku? Może to po prostu wymyślił Abłynin, który o wszystkim wiedział skądinąd i dodał własną wiedzę o życiu do zgrabnych dialogów Anouilha...

W każdym razie spektakl był dyskusją między opor-tunistą - Przewodniczącym Trybunału a bezkompromisową Joanną. Przewodniczący woli życie z odrobiną kompromisu niż bohaterską śmierć. A Joanna jest pryncypialna do końca., Właściwie cały współczesny radziecki teatr, bez względu na kostiumy i treść, jest o tym samym. O problemie wyboru pomiędzy wiernością sobie i rozsądnym kompromisem. (Kompromis jest po to naturalnie, by ratować wartości...) I zawsze na deskach sceny bohater decyduje się na tę wierność właśnie. Joanna w Teatrze "Żaworonok" wybiera stos. Molier w .-ztuce Bułhako-wa, choć wykańczany przez kler, nie rezygnuje do końca ze Świętoszka. Galileusz "Na Tagance" wprawdzie

załamuje się, ale u schyłku życia przyznaje, że popełnił tragiczny błąd... Aktorzy "Żaworonka" są nowocześni, inteligentni i sprawni. Tylko Joanna jest odrobinę za gruba i ma nieforemne ręce. Bo Nina Szmielkowa, gwiazda teatru "Żaworonok", jest aktorką od trzech lat. Przez poprzednie siedem była szwaczką w fabryce "Krasnyj Woin". Pracowała przy taśmie. Przychodziła na szóstą i przez osiem godzin dziennie wszywała do spodni lewą kieszeń. Trudno ją pytać o subtelności warsztatu twórczego. Do dziś budzi się o szóstej z przerażeniem, że nie zdążyła do fabryki na czas. Potem się uspokaja. Wieczorem wygłasza błyskotliwe kwestie Jeana Anouilha, a cała krytyka podkreśla, że robi to subtelnie, inteligentnie i ze smakiem.

Po pierwsze, przestańcie mówić takim tonem...

Po premierze Skowronka odbyła się dyskusja publiczna z udziałem aktorów i publiczności. Było to jeszcze w owym podrzędnym lalkowym teatrzyku. Do przygody z Anouilhem wystawiano w nim tylko bajki albo coś do śmiechu dla dorosłych. Dla starych aktorów tego teatru zarówno Anouilh, jak lalki i spektakl Abłynina był wstrząsem. Nie mogli tego wszystkiego ani zrozumieć, ani zaaprobować.

Oto fragmenty dyskusji, w której zabierali głos zarówno owi aktorzy, jak i przypadkowi widzowie - goście.

Doktor filozofii, towarzyszka G.: "...Ta sztuka dotyczy najbardziej aktualnej, najważniejszej sprawy... Człowiek oduczył się teraz mówić NIE! A jeśli nie będziemy (tego słowa) używać, to nie będzie ani ruchu, ani postępu".

156

157

Wykładowca nauk społecznych w jednej z moskiewskich uczelni, tow. S.: "Komu - powiedzieć nie? Jakim ideom powiedzieć nie? Jeśli nie inkwizycji, to w porządku... Ale to koniecznie trzeba uściślić. Bo ja nie powiem nie narodowi, kolektywowi, tym ideom, które niesie naród, nie powiem tego ideom ko-muniamu... Kiedy mówią o humanizmie tej sztuki, to ja się z takim humanizmem nie zgadzam, z humanizmem isamotnej jednostki. My mówimy o tym - burżu-azyjny indywidualizm". Krytyk teatralny D.: "Jeśli kontynuować ten kierunek myślenia, to okaże się, że nie trzeba oglądać sztuk napisanych z punktu widzenia tzw. humanizmu burżu-azyjnego, filmów... trzeba przestać czytać takie książki... Wychodzi na to, że powinniśmy do wszystkiego odwrócić się plecami, odtrącić wszystkich i powiedzieć, że my sami wiemy najlepiej..." (Burzliwe, długotrwałe oklaski). Tow. L.: "Ja mam do towarzysza pytanie: czy towarzysysz neguje komunistyczne wychowanie przez teatr czy nie? Bo ja z wystąpienia zrozumiałem, że my w teatrze możemy robić, co nam się podoba".

Towarzysz D.: "Towarzysz zadał pytanie w takim duchu, przeciw jakiemu właśnie występuję. Czy neguje wychowanie komunistyczne? Ono powinno istnieć na podstawie ogólnohumanistycznego wychowania. Jak mówił Lenin: nie istnieje proletariacka

kultura bez całego kulturalnego dziedzictwa. A zatem elementem komunistycznego wychowania jest i ten spektakl". (Oklaski).

Towarzyszka M.: "Wyszłam z przedstawienia i co ja z niego zrozumiałam?... Cały czas mi 'mówią: to ideologia. I tak mówi pozytywna bohaterka: bóg, bóg, bóg. Cóż to - odrzucenie wpływu środowiska?"

Towarzyszka G.: "Człowiek jest nie tylko częścią ko-

lektyw, ale i samodzielną jednostką. Nie możecie powoływać się we wszystkim na kolektyw, jeśli cały kolektyw postępuje niesłusznie. Powinniście zrozumieć to zostawszy sam na sam z sobą". (Oklaski).

Tow. U., dramaturg: ,,... Na naszych oczach umiera pomału teatr, który kiedyś kochaliśmy, teatr Obrazco-wa. Przeobraża się w teatr typu (MCHAT-u, ze znakomitymi aktorami, z przedstawieniami, których nie ożywia pulsująca myśl. W związku z tym chcę powiedzieć o tym przedstawieniu w tym teatrze... to nie tylko kolejne przedstawienie, lecz narodziny nowego teatru lalek".

Tow. Ł.: "Siedzący na sali! Kto z was będzie bronił literacko-filozoficznego kierunku - egzystencjalizmu? Nikt! A dlaczego?"

Tow. G.: "Ja będę bronić!"

Towarzyszka S. do towarzysza Ł.: "Po pierwsze, przestańcie mówić takim tonem do ludzi. Tutaj siedzą aktorzy teatru, zaproszeni goście, ludzie godni szacunku".

Tow. Ł.: "U nas siedem miesięcy temu występował tow. L., który nas bardzo poważnie uprzedzał, że widzicie, taka sprawa, u Anouilha w Skowronku jest bardzo dużo stwierdzeń egzystencjalistycznych..."

Z miejsca, filozofowie: "Cała literatura jest tym przeniknięta, cała światowa literatura".

"Właśnie, i nas przed tym uprzedzali!" (Śmiech).

"I ostatnie. O figurze. (W finale ci, którzy spalili Joannę, wnoszą na scenę jej pomnik: ogromną gipsową babę z wielkim biustem, która wstydlive miejsca osłania sobie tarczą. Abłynin mówi zresztą, że inspiracją była figurka wioślarki stojąca dziś we wszystkich parkach Moskwy. Nie było wtedy przyjęte rzeźbienie aktów, więc figurę ubrano w kostium kąpielowy. No, a jak kostium, to już i wiosło. Tak powstała monumen-

159

158

talna i dziarska "wioślarka", która do dziś straszy w niektórych peryferyjnych parkach - przypis H. K.). Czy nie obrażą się Francuzi zobaczywszy to na przedstawieniu? Trzeba by się nad tym poważnie zastanowić".

Tow. K.: ,,... Proszę o wybaczenie towarzyszy aktorów, ale ja niczego nie wyniosłem z tego, co oni chcieli powiedzieć. Na danym etapie ja cały czas starałem się stukać, do bólu głowy, i nie mogłem zrozumieć..."

Towarzyszka S., teoretyk teatru: "Argument, że człowiek czegoś nie zrozumiał, miał dla nas znaczenie wiele lat temu. Jak człowiek wtedy czegoś nie zrozumiał, to źle to świadczyło o utworze. Tym ludziom nikt nie decydował się powiedzieć: jeśli nie rozumieście, to albo jesteście nie dość rozwinięci intelektualnie, albo coś się dzieje z waszą psychiką... Dzisiaj oświadczenie »ja nie rozumiem« nie jest argumentem. I jeśli towarzyszka M. mówi »ja nie rozumiem«, to to jest jej zmartwienie, a nie teatru".

wa. Swym wielkim autorytetem poparł on Abłynina, choć nowy teatr miał być zaprzeczeniem jego własnych artystycznych koncepcji. Tak więc cała historia jest kolejnym przejawem zmagania się starego z nowym, jak powiedziałyby akademik Trofimuk z Akadengorod-ka, zmagania, w którym nowe zwycięża.

Nowe, które właśnie zwyciężyło, nie ma na razie własnej siedziby, ale ma bardzo ciekawe plany na przyszłość. Pokażą np. sztukę Radija Pogodina Triń briń (to nic nie znaczy, to dźwięk bałałajki) o dziewczynie, która różniła się od wszystkich ludzi tylko kolorem włosów. Inni byli dobrzy albo źli, mądrzy i głupi, a ona była ruda. Najpierw chciała za wszelką cenę upodobnić się do innych i ufarbowała włosy. Ale potem odważnie zmyła je i przeszła do działania. Zanim ludzie zdążyli powiedzieć jej - ruda - ona mówiła głupcom, że są głupi, a złym, że są źli.

Triń briń o rudej dziewczynie

Przytoczone wyżej fragmenty dyskusji pozwalają zrozumieć przyczyny, dla których Abłynin i grupa młodych aktorów "Żaworonka" musieli opuścić teatr. Rzecz jednak - jak już wiadomo - szczęśliwie miała zakończenie. Starzy aktorzy teatru sprzeciwiali się koncepcji Abłynina, ale władze polityczne i kulturalne zaaprobały kierunek jego poszukiwań. Rada Ministrów Federacji Rosyjskiej, minister kultury Federacji i Rada Narodowa Moskwy - wyrazili zgodę na utworzenie samodzielnego teatru. Nie bez wpływu na tę decyzję były zresztą usilne starania samego Obrazco-

160

11 - Na wschód od Arbatu

Cztery miliony szachistów

Na Bulwarze Gogola w Moskwie, w pałacyku należącym kiedyś do kupca i mecenasa teatru Zimina, mieści się Centralny Klub Szachowy ZSRR. Jego członkami są tylko mistrzowie, arcymistrzowie i szachiści I kategorii i jest ich pięć tysięcy. Do terenowych klubów sekcji należą szachiści, którzy mistrzami nie są i jest ich cztery miliony. Szachistów nie zorganizowanych oraz kibiców tej gry jest oczywiście kilkakrotnie więcej.

W hallu klubu znajduje się wystawa. Na czołowym miejscu fotografia Lenina grającego w szachy z Gor-fcim.

Wykresy pokazują, jak w Związku Radzieckim rosła krzywa zainteresowania szachami. To bardzo interesujące. Przed rewolucją było zaledwie 5 'tysięcy szachistów. Jeszcze w 1933 roku - 300 tysięcy. A potem, w latach trzydziestych i czterdziestych - ogromny, gwałtowny skok. Odtąd statystyka operuje milionami. Kim są ludzie, którzy grają w szachy?

Do Centralnego Klubu należą: ludowy artysta ZSRR Fajer - dyrygent Teatru Wielkiego. Marek Doński - także ludowy artysta, reżyser, klasyk radzieckiego kina. Dramaturg teatru "Sowriemiennik" - Zorin, laureat

Nagrody Leninowskiej. Dyrektor Instytutu Rzadkich Metali, prof. dr Sacharow. Pisarz Siergiej Antonow. I inni. - Ale są i ludzie prości - mówi dyrektor klu-ku - Na przykład? - Na przykład inżynierowie. - A jeszcze prostsi? - No, prostszych niż inżynierowie to już chyba nie ma. A, przepraszam, jest. Jeden kołchoźnik. - Słuchaj, jak się ten nasz kołchoźnik nazywa? No, ten co w gumiakach przychodzi. - Szewo-chin. - Aha, tak, Szewochin. Pastuch. Słowo pani daję, że pastuch. Ma tylko siedem klas, pod wpływem szachów zaczął czytać książki na ten temat, potem książki na inne tematy, a teraz zaczyna lubić muzykę. Szachy szalenie rozwijają człowieka w ogóle. A dlaczego dotąd do klubu w gumiakach przychodzi? Żeby zaakcentować.

Ludzie szybko rosną (pod wpływem szachów ma się rozumieć) i przestają być robotnikami. Był, na przykład, jeden palacz okrętowy, jeden kowal i jeden tragarz. Kowal wyrósł, został arcymistrzem i jest działaczem związków zawodowych. Palacz został mistrzem, jeździ dużo za granicę i jest na państwowej dotacji. Tragarz już uczy się zaocznie.

Dotacje są wysokie. Od 80 do 300 rubli na miesiąc. Mistrz świata dostaje 300 - trzy razy tyle, ile wynosi średnia krajowa pensja, plus wyjazdy, pokazy gry i itak dalej.

Szachy są rekompensacją

Arcymistrz Awerbach - naczelny redaktor pisma Szachy w ZSRR - zauważa, że w szachy grywają często ludzie, którym czegoś nie dostaje. Nawet wśród członków Centralnego Klubu - t.j. klubu mistrzów -

u*

162

163

jest czterech szachistów niewidomych i kilku kalekich.

We wsi Perłowskoje, na przykład, mieszka szachista Borys Puganow, który stracił na wojnie obie ręce i obie nogi. Najpierw myślał o samobójstwie. Kiedy został wybitnym szachistą, życie jego odzyskało sens. Udziela rad okolicznym mieszkańcom. Jest autorytetem dla młodzieży. W jego domu wszędzie stoją zegary szachowe i stoliki z szachownicami. Zaznacza na nich partie, które właśnie korespondencyjnie rozgrywa. Całymi dniami krąży między tymi stolikami, rozmyśla, przesuwa pionki...

Przesuwa je kikutem.

Szachy są źródłem prestiżu

Prestiż, jaki związany jest w Związku Radzieckim z pozycją wybitnego szachisty, można porównać tylko ze splendorem pozycji uczonego albo primabaleriny Bolszowego Teatru. A jednym z jego źródeł jest właśnie... prestiż nauki w ZSRR. Szachy bowiem (w każdym razie na tym poziomie, na jakim grają Spasski czy Tal) uważane są za grę intelektualną. To nie brutalny boks albo plebejska piłka nożna. Wybitni szachiści w swych publicznych wypowiedziach na temat szachów walczyli się między określeniem "nauka" a "dziedzina sztuki". Oba są bardzo atrakcyjne i przydają tej grze szlachetnego posmaku.

Kiedy trwał mecz o mistrzostwo świata (przed teatrem, w którym się odbywał, stał parotysięczny tłum, a przed Klubem, z którego szachiści wychodzili udając się na mecz, ruch uliczny był całkowicie sparaliżowany), prasa relacjonowała go w takim stylu:

Stąpa po ojczystej ziemi! Przywieźli ją z Armenii rodacy Tigrana! (O Petrosjanie).

I oto wszyscy rzucają się do drzwi wyjściowych. Słychać brawa. Zza rogu wyłania się jego "Wołga", powoli kierując się ku jezdni. (To o Spasskim).

Jasne, że walka będzie dramatyczna. Moje sympatie są po stronie Borysa.

(Wypowiedź Jurija Fokina - politycznego komentatora Wszechzwiązkowego Radia i Centralnej Telewizji).

Remisu w każdym razie nie będzie. (Wypowiedź A. Tałanowa, członka brygady pracy komunistycznej, ślusarza zakładu "Mosselmasz").

Czy Borys Spasski jest zarozumiały? Nigdy nie odważyłabym się tego o nim powiedzieć. Czy można, na przykład, powiedzieć o królowej angielskiej, że jest zarozumiała z racji swojej królewskości? Ona po prostu jest królową. A Borys Spasski po prostu jest Borysem Spaiskim.

Gdyby wybitni radzieccy szachiści chcieli wykorzystywać swoją pozycję, ich życie byłoby nieporównanie łatwiejsze od życia innych radzieckich ludzi.

Michał Tal, były mistrz świata w szachach, opowiada, że nie istniały w jego życiu opresje, z których by go nie wyciągnęło jego nazwisko. Kiedyś, na przykład, został zatrzymany przez milicję: isiedział w nocy w poczekalni dworcowej z jakąś bardzo młodą dziewczyną. Dziewczyna drzemała, bo nie miała gdzie spać - przyjechała z Rygi, by kibicować Talowi. A Tal siedział z nią i medytował nad odłożoną partią. Kiedy przyprowadzono ich do komisariatu, okazało

się, że muszą czekać, bo towarzysz komendant jest bardzo zajęty. Komendant był zajęty przez kilka godzin. A kiedy wreszcie Tal sam wdarł się do gabinetu, zobaczył komendanta siedzącego nad szachownicą, na której była jego wczorajsza nie dokończona partia. Potem ko-

165

164

mandant sam pościelił Talowi łóżko, zrobił kolację a podejrzenie młoda dziewczynę wymyślał za to, że zabiera arcy mistrzowi jego cenny czas.

Szachy są lekarstwem

Stosuje się je od niedawna w radzieckiej psychiatrii. Ułatwiają znacznie kontakt lekarza z chorym. Oczywiście, obaj muszą umieć grać, ale to jest do załatwienia. Uczy się gry w szachy i lekarzy, i pacjentów. Ma to szczególne zastosowanie przy schizofrenii. Chorzy niechętnie nawiązują kontakt z otoczeniem, zamykają się w sobie - i właśnie poprzez szachy otwierają się: w reakcjach, emocjach, sposobie myślenia.

Szachy są w takich wypadkach jedną z metod ustalania diagnozy. Niekiedy natomiast same bywają lekarstwem. Michał Tal ma i na ten temat stosowną historyjkę. (Przyjaciele przyświadczają, że historyjki Tala są autentyczne). Pewien lekarz psychiatra poprosił go o rozegranie partii z pacjentem, którego choroba przejawiała się wyłącznie w 'tym, że uważał się za najlepszego szachistę wszystkich czasów. Opowiadał, że wygrywał i z Alechinem, i z Capablanką. Trzeba - powiedział lekarz - by ktoś z nim wygrał.

Zaprosił chorego i Tala do siebie. Nie wyjawiał, kim Tal jest. Rozstawił szachy. Chory zdjął z szachownicy kilka figur - by dać partnerowi szansę. - Nie, nie - zaprotestował Tal - proszę zostawić. Tal grał dość bez troski i kiedy spostrzegł swój błąd, było już za późno. Przegrał.

- No niech się pan nie martwi - powiedział tamten - i tak jak na dyletanta zupełnie nieźle pan gra...

Był to rok 1961. Tal był szachowym mistrzem świata.

ta. O jego przeciwniku nie słyszał nikt z wyjątkiem lekarzy szpitala dla umysłowo chorych w Rydze.

- Zagrajmy jeszcze raz - poprosił nerwowo Tal.

- Nigdy jeszcze - opowiada - nie grałem z takim napięciem. Żadnej partii na mistrzostwach świata nie traktowałem tak serio. I żadnej w swoim życiu nie wygrałem z takim trudem...

Po kilku tygodniach pacjenta wypisano ze szpitala. Na rocznicę Rewolucji w Rydze organizuje się publiczne turnieje szachowe z udziałem mistrzów. Na jednym z nich Tal zobaczył "swojego" pacjenta. Poprosił go o partię. Zrobili kilka ruchów - Tal osłupiał. Jego przeciwnik grał przeciętnie, bezbarwnie, mdło. I Tal zrozumiał: ten człowiek był już zupełnie zdrowy.

Szachy są metodą w pedagogice

Stwierdzono, że gra w szachy doskonale wpływa na ogólny rozwój ludzi. Uczy logiki, umiejętności przewidywania, precyzji i dyscypliny myślenia... Spróbowano więc zastosować te walory szachów w szkolnictwie. W kilku klasach szkół podstawowych Moskwy, Leningradu i Melitopola zaczęto uczyć dzieci gry w szachy. I okazało się, że daje to doskonały rezultat. Dzieci, które systematycznie grają, szybciej rozwijają się umysłowo, uczą się lepiej od swoich rówieśników, rzadziej zostają na drugi rok. W Pawłysz, średniej szkole wiejskiej kierowanej przez W. Suchomlińskiego, gra w szachy obowiązuje wszystkie dzieci bez wyjątku. Bez szachów nie sposób wyobrazić sobie normalnego rozwoju umysłowego i pamięci dziecka - mówił Su-chomliński, najwybitniejszy współczesny pedagog, porównywany z Makarenką i Korczakiem.

r

Szachy są (choć rzadko) metodą analizy literackiego tekstu. Arcymistrz Awerbach, na przykład, przeprowadził analizę poematu Jana Kochanowskiego Szachy. Stwierdził więc, że był to pierwszy w historii szachów mecz pretendentów (chodziło, jak czytelnicy pamiętają, o mecz pretendentów do ręki księżniczki Anny). Następnie na podstawie poetyckiej relacji odtworzył przebieg partii, która rozpoczęła się ruchem pionka d2-d4, na co czarne odpowiedziały d7-d5... Gry nie zakończono pierwszego dnia i - powiada Awerbach - jak na doświadczonego komentatora przystało, Kochanowski szczegółowo analizuje odłożoną partię, by kibice sami mogli ocenić szansę stron. Awerbach sam tę szansę pilnie studiuje i przedstawia dwie niezłe możliwości mata... Wreszcie bierze Kochanowskiego w obronę przed nim samym. Poeta bowiem wyznał w utworze, że zapożyczył się u włoskiego poety Vidy. Awerbach studiuje więc tamten poemat z kolei - by stwierdzić, że mat królem i wieżą, którego daje u Marka Vidy bóg Merkury Apollinowi, jest matem prostackim, zaś końcówka Kochanowskiego jest na świetnym szachowym poziomie. Co - mówi radziecki arcymistrz Jurij Awerbach - wyklucza wszelką myśl o naśladowaniu Vidy przez Jana Kochanowskiego.

Szachy są szansą dla gospodarki

Zadania, jakie stoją przed szachistą, mają wiele cech wspólnych z zasadami gospodarki. Efektywność metod, oszczędność środków - podobno można wyliczyć takich analogii znacznie więcej. Oznacza to, że jeśli skonstruuje się maszynę rozstrzygającą skutecznie problemy gry szachowej, to będzie ona przydatna także dla kierowania gospodarką.

Trudność polega na opracowaniu programu. Stworzenie takiego programu dla szachów - które służą jako model - będzie miało ogromne i wszechstronne znaczenie. Dotąd nad programem pracowali matematycy. Oni też przygotowali program dla maszyny, która grała w szachy z maszyną amerykańskiego uniwersytetu. Nazwano ten mecz "meczem stulecia", dwie partie zakończyły się wtedy remisem, a dwie zwycięstwem maszyny radzieckiej. Poziom owego meczu był jednak niski i szachiści tłumaczą to tym, że nie zaproszono ich do współpracy.

Obecnie nad programem dla maszyny matematycznej grającej w szachy pracuje sam Botwinnik, były wielokrotny mistrz świata, wspólnie z matematykiem nowosybirskiego Akademigorodka Władimirem Butenką.

Maszyna zaprogramowana według ich metody gra już na poziomie szachisty I kategorii, więc znacznie lepiej niż maszyny uczestniczące w meczu stulecia. Botwinnik przewiduje, że za rok upora się już ze wszystkimi problemami, co oznacza, że maszyna będzie w stanie pokonać w grze w szachy każdego bez wyjątku człowieka.

Jak w każdym innym środowisku, do którego zbliża się pełna automatyzacja - konsternacja zapanowała i wśród szachistów. - Czy znaczy to, że gra ludzi straci już sens? - zapytano Botwinnika na zebraniu w Centralnym Klubie. - Ależ skąd! - zapewnił. - Nawet odwrotnie. Gra stanie się jeszcze ciekawsza. Maszyna będzie w stanie odpowiedzieć wiele nowych, ciekawych rozwiązań dotąd nie znanych ludziom.

Szachy są pas\ą szlachełną

Borys Spasski wie o szachach rzeczy, których wiedzieć nigdy nie będzie najlepiej zaprogramowana maszyna.

- W szachach - opowiadał mi - można znaleźć wszystko. Jeśli ktoś lubi wygrywać, a w życiu nie ma na to szans - może być nareszcie zwycięzcą. Jeśli ktoś ma wyobraźnię - może stworzyć sobie na szachownicy cały świat. Jeśli ktoś chce ująć od realnego życia - to ów świat na szachownicy może stać się miejscem ucieczki. Cieszę się, że gram w szachy, i myślę, że zawsze będę grał.

Kiedy byłem w Sztokholmie, brałem udział w seansie gry jednoczesnej w ogrodach królewskich. Byli tam pisarze, artyści, tenisiści, czyli elita Szwecji. Grałem publicznie z ipewnym wybitnym hollywoodzkim gwiazdorem. Było to potrzebne dla reklamy. Jemu, ma się rozumieć.

W tych królewskich ogrodach, i w Szwecji w ogóle, przyjmowano mnie niezwykle serdecznie. Niezwykle.

Cieszę się, że gram w szachy.

(W przeciwieństwie do cybernetyki, genetyki albo socjologii w szachy można było grać zawsze. W przeciwieństwie do historii nie było tam nigdy śliskich stron. W przeciwieństwie do malarstwa nie może tu być mowy o abstrakcji.

Cieszę się, że gram w szachy.

W szachach istnieje wolność - ale w ściśle określonych granicach. Taką granicą jest ruch waszego partnera. Szachy uczą więc realizmu. Uczą przyjmować pozycję taką, jaka ona jest. Uczą swobody decyzji w dokładnie zaznaczonych ramach. Ale ramy zaznaczamy tylko my. Ja i mój partner.

Ogromnie się cieszę, że gram w szachy.

Fizyka, fizycy, kibice fizyków

Profesor Georgij Flerow, czołowy obok Kurczatowa twórca radzieckiej bomby atomowej, pogodny, starszy pan, opowiada o rywalizacji Amerykanów i Rosjan w dziedzinie syntezy pierwiastków.

- Pierwsza tercja (profesor jest miłośnikiem hokeja) zakończyła się zwycięstwem amerykańskich uczonych 9 :0. Amerykanie dokonali syntezy dziewięciu pierwiastków od 93 do 101 - od plutonu do mendelewu. Również druga tercja rozpoczęła się zwycięstwem Amerykanów. Uzyskali kolejno pierwiastki 102 i 103. Ale w 1961 roku dokonaliśmy w naszej pracowni w Dubnej .syntezy pierwiastka 104...

Wierzyliśmy, że ON istnieje. Obliczyliśmy to. Wiedzieliśmy, że będzie żył zaledwie 0,2 sekundy i że trzeba przeprowadzić doświadczenie szybciej, niż ON zdąży się rozpaść. Chodziło o to, by przekonać się, że jest. Ustawiliśmy detektory. Miały zarejestrować przejście JEGO atomu. Jeżeli przejdzie, da rozpadem znać o swoim istnieniu...

I tak otrzymaliśmy pierwiastek o liczbie atomowej 104, który nazwaliśmy kurczatow. A przy okazji otrzymaliśmy sporą ilość pierwiastka 102, co pozwoliło stwierdzić, że Amerykanie błędnie obliczyli jego właściwości. Potem odkryliśmy pierwiastek 105, przy okazji uzyskując pewne ilości pierwiastka 103 i okazało

171

r

się, że znów Amerykanie popełnili błąd. Dlatego mamy pełne, jak sądzę, prawo twierdzić, że to jednak my jesteśmy autorami tych odkryć i tym samym druga tercja kończy się wynikiem 4 : 0 dla ZSRR. Amerykanie twierdzą, że jeden do trzech, bo jednak podtrzymują swoje autorstwo syntezy sto drugiego pierwiastka. Pierwiastka 106 na razie nikt nie uzyska. Może istnieć tysięczną część sekundy i nikt nie ma aparatury, która mogłaby to zarejestrować. Ani Amerykanie, ani my... Odnoszę wrażenie, że bezustanne, czujne porównywanie własnych wyników z amerykańskimi dokonywane jest nie tylko na doraźny dziennikarza-ignoranta użytek. Kiedy przy innej okazji i z kim innym mowa jest o akceleratorze sierpuchowskim, mówią mi przede wszystkim, że będzie to przyrząd unikalny na świecie przez najbliższe cztery-pięć lat. Dopóki Amerykanie nie zbudują swojego. Te pięć lat zatem to kapitalna szansa dla fizyki radzieckiej.

Teraz nadchodzi trzecia, dominująca i najbardziej interesująca tercja. Zgodnie z okresowym układem pierwiastków - po rodzinie nietrwałych jak 101-105, otrzymywanych w laboratoriach - powinna nastąpić seria bardziej uchwytnych, może osiągalnych dla produkcji na większą skalę. Zespół profesora Flerowa przygotowuje się więc teraz do syntezy superciężkich pierwiastków o liczbach atomowych 114 i 126.

Właśnie przed paroma miesiącami brytyjscy uczeni wykryli na dwóch kliszach wysłanych balonami w górne warstwy atmosfery zdumiewające ślady. Wyrazili przypuszczenie, że mogą je zostawiać cząstki pierwiastka o liczbie atomowej powyżej 120.

Jeżeli przypuszczenie Anglików się potwierdzi, znaczy to, że superciężkie pierwiastki występują w przyrodzie. Wprawdzie nie na Ziemi, lecz w przestrzeni

kosmicznej. Zwiększa to jednak prawdopodobieństwo uzyskania pierwiastków 114 i 126 w laboratorium profesora Flerowa.

Czy są to pierwiastki promieniotwórcze? Czy uda się je uzyskać w ilościach technicznych? Jaki użytek zrobi z nich świat?

Profesor Bogolubow, dyrektor Instytutu w Dubnej, powie później: - Kiedy dokonano syntezy plutonu, którego dziś wytwarza się na kuli ziemskiej setki ton, nie było pewne, czy uda się wyprodukować go więcej niż pojedyncze atomy. Może byłoby lepiej, gdyby się to nie udało...

- Miejmy nadzieję, że z pierwiastków trzeciej tercji, która się już rozpoczęła, ludzkość zrobi lepszy użytek... - mówi profesor Flerow ze zwykłym swoim uśmiechem pogodnego starszego pana. Za jego plecami wisi tablica Mendelejewa oraz powiększone zdjęcie jakiejś kobiety. Bardzo pięknej.

Fizycy

Dubna istnieje dwadzieścia lat. Jest stosunkowo starym ośrodkiem. O dziesięć lat starszym od nowosybirskiego Akademgorodka.

W Nowosybirsku ton nadają trzydziestolatki. W Dubnej - ludzie po czterdziestce. Kończyli studia już po wojnie. Wielu - w żołnierskich mundurach. W wielki świat tajemnic atomu wstępowali w jednej parze portek i płóciennych pepegach. ("Nam tajny nie odkrytyje odkryt' pora, my tajny eti z korniem wyrwieni u jądra" - śpiewają w Marszu fizyków). Budowali nowe akceleratory i synchrofazo-trony, odkrywali nowe światy, formułowali nowe teorie.

173

A poza tym kupowali sobie nowe spodnie i buty na skórze, sprowadzali się do przyzwoitych mieszkań i nabywali meble za swoje przyzwoite pensje ludzi z naukowym cenzusem.

Prawdę mówiąc jeszcze do dziś potrafią się cieszyć swoim pełnym metrażem i lodówką "Moskwa-ZIŁ". I nie ma w tych uczuciach nic małosłownego. Po prostu dość późno dostali to wszystko. I ciężko musieli pracować. Potrafią więc cenić należycie.

Dużo przeżyli. Pamiętają wojnę, powojenny głód, lata stalinizmu, sens XX Zjazdu... Są dorośli. Są rozważni. Wiedzą, że ich praca nie tylko pozwala zajrzeć do tajemnic jądra atomu, lecz że przy tym jest to praca pewna, stabilna, potrzebna. I będzie potrzebna zawsze. Wiadomo, jaka jest rola fizyki w dzisiejszym świecie. To znaczy - ich rola.

Nie są więc lekkomyślni. Unikają efektownych gestów. W ogóle nie dają się wziąć na żadne gesty, zwłaszcza gdy wiedzą, że nie są skuteczne. Między innymi tym różnią się od swoich nowosybirskich kolegów młodszych o dziesięć lat.

To prawda, że ustępują tym młodszym pod niektórymi względami. Mają skromniejsze zainteresowania intelektualne. Właściwie zajmują się wyłącznie nauką. Pracują po 10-12 godzin, bo tak trzeba, jeśli cokolwiek ma z tego wszystkiego wyjść. Oczywiście i ci w Nowosybirsku dużo pracują, ale znajdują jeszcze czas na klub, dyskusje, przeglądy filmów, kłótnie na temat filozofii, organizowanie wystaw malarskich, a nawet szermierkę. W Dubnej itego nurtu nie ma. Wieczory w Domu Uczonych nie rozgrzewają umysłów. Jeśli przyjeżdża teatr z Moskwy, to się oczywiście idzie, ale już do Moskwy do teatru lub na koncert jeździ się niezmiernie rzadko. Odległość pociągiem - dwie godziny, samochodem - półtorej.

Tłumaczą to wiekiem. Nie brakiem energii oczywiście, tylko brakiem nawyku. Bo kiedy się mieli przyzwyczaić? Podczas wojny? Po wojnie? Oni nie mieli pianin, nikt ich nie zapędzał do gam i do Teatru Wielkiego. A w ich studenckich czasach nawet impresjoniści nie byli całkiem czystą sprawą. Oczywiście starali się te zaległości nadrobić. W dużym stopniu to się udało. Są wśród nich ludzie, którzy pasjonują się muzyką albo malarstwem. Ale jest ich niewiele. I najczęściej teoretycy. Może dlatego, że mają więcej czasu.

W ich mieszkaniach wisi portret Hemingwaya, ten w golfie (kontakt z literaturą światową). Na półce stoi Huxley po angielsku (znajomość języków), Historia filmu (rozległość zainteresowań), kawałek rzeźbionego drewnianego okapu z rosyjskiej chałupy (umiłowanie folkloru) i kilka starych ikon. Ikona, oczywiście, jest dziełem sztuki jedynie. I jak u nas stylowy sekretarz, tak w tym środowisku wypada mieć przynajmniej jedną szesnastowieczną Bogomatier'. Są ludzie, którzy specjalnie jeżdżą po wsiach i skupują te stare ikony, a kiedy podbijają cenę do trzystu rubli i zwykli śmiertelnicy kupować już tego nie są w stanie, zwijają spokojnie worki: - Niczewo, fizyki wozmut.

Teoretycy podtrzymują ów społeczny mit, jaki wokół fizyków istnieje. Oczywiście źródła jego są znacznie głębsze: wielkie odkrycia naukowe, zastosowalność fizyki w różnych innych dyscyplinach, wreszcie - bomba atomowa.

Ludzi, którzy to wszystko potrafią, trzeba traktować serio. Z literatury i filmu zniknął zatem ów śmieszny i roztargniony uczynek z bródką, a na jego miejsce pojawił się człowiek młodszy o dobre trzydzieści lat, nienagannie ubrany, dysponujący zawsze ripostą celną a głęboką zarazem. Człowiek dokonujący znaczących odkryć i dręczony ważkimi niepokojami. I w Dziewię-

174

175

ciu dniach jednego roku, i w Lipcowym deszczu, i w Jeszcze raz o miłości - najpopularniejszych filmach ostatnich lat - występuje zawsze ten sam typ szalenie atrakcyjnego fizyka, z szalenie atrakcyjną dziewczyną u .boku na dodatek.

Skoro fizyka dysponuje metodami (lub jest w stanie metody takie stworzyć), za pomocą których można wyjaśnić wiele spraw świata współczesnego, skoro fizyk potrafi formułować i rozwiązywać najbrudniejsze zadania, skoro dysponuje przy tym żelazną logiką w przeciwieństwie do humanistów, którzy czasem nawet mają rację, ale czują to jedynie fibrami duszy swojej i nie umieją tego należycie uzasadnić - powstaje przekonanie o wyjątkowej pozycji fizyka, a nawet jego szczególnej misji.

- Mówią mi znajomi socjologowie: "Słuchaj, Garik, mamy świetny materiał faktograficzny, tylko nie możemy sobie poradzić z opracowaniem go". Pytam ich - w czym rzecz, chłopcy? Okazuje się, że nie dysponują metodą. Więc oczywiście wymyśliłem im metodę. Bardzo interesująco to badanie potem wypadło.

Ten sam fizyk dowiedział się niedawno, iż jest w Moskwie ktoś, kto uważa, że potrafi leczyć raka. Jest jednak inżynierem i oczywiście wzbudza w środowisku lekarskim dość naturalną nieufność. Fizyk uznaje więc, że musi przekonać różnych

profesorów i akademików, ministrów i urzędy o słuszności metody inżyniera. Co też właśnie czyni. W jakim charakterze? Fizyka. Po prostu. Fizycy są mecenasami sztuki. Urządzają w swoich instytutach wystawy współczesnych artystów.

Fizycy patronują poezji. Zaprosili Wozniesieńskiego do Nowosybirsk, bo jedynie tam znajdzie dla swego nowego poematu właściwą atmosferę...

Powstał zatem w społeczeństwie stereotyp fizyka,

który zresztą samym fizykom podoba się ogromnie. Aprobują go nawet tak dalece, że już sami zachowują się pod ten wzór, czym naturalnie utrwalają go jeszcze bardziej.

Socjologowie mogą wymierzyć działanie tego stereotypu. W hierarchii prestiżu zawodów w ZSRR fizyk jest na szczycie drabiny. W hierarchii pragnień maturzystów zajmuje drugie miejsce, tuż za kosmonautą. W towarzystwie jest osobą atrakcyjną i poszukiwaną. Wokół tego środowiska powstała już więc otoczka kibiców.

W Dubnej owa otoczka tym lepiej jest widoczna, że zgromadzona na niewielkiej przestrzeni miejscowego hotelu.

Kibice fizyków

Jest to szczególny hotel. Należy do Instytutu Fizyki Jądrowej i właściwie powinni w nim mieszkać tylko ludzie związani z Instytutem. Są naturalnie i tacy. Ale ci wychodzą do pracy rankiem i znikają w laboratoriach na cały dzień.

Zasadniczą, tę najbardziej widoczną publiczność stanowią kibice Dubnej.

Przede wszystkim jest to artystyczna i intelektualna elita Moskwy. Przyjeżdża więc Doński, reżyser filmowy, klasyk radzieckiego kina. I wybitny reżyser Czuchraj: właśnie w Dubnej napisał swój nowy scenariusz. I Słobodianik, wschodząca gwiazda radzieckiej pianistyki. Wrócił właśnie ze Stanów i w Dubnej opracowuje repertuar dla Włoch. I dramaturg Galicz, który pisze także piosenki. W Dubnej ułożył właśnie nowy cykl...

Wokół tych wybitnych twórców krąży z kolei rój

12 - Na wschód od Artatu

176

177

różnych tłumaczy, krytyków, zapoznanych poetów, wielbicieli i dalszych znajomych.

Zjeżdżają na wszystkie większe święta, urlopy, a już zwłaszcza na Nowy Rok. Do szczególnie dobrego tonu należy spędzenie w Dubnej Sylwestra.

Większość tych ludzi jest dostatecznie dobrze sytuowana, by wynająć sobie prywatne "dacze" albo pojechać do dalszych ciekawych miejsc. A jednak trzymają się tego hotelu. W ich środowisku to jest przyjęte. Daje poczucie przynależności do świata, z którym chcą się identyfikować.

Panie zmieniają toalety po kilka razy. Panowie omawiają najświeższe moskiewskie wydarzenia. Panuje beztroski nastrój pensjonatu. Okolica jest piękna, wokół las. Więc zimą narty, latem plaża.

Oczywiście wszystko to nie ma nic wspólnego z fizykami z Dubnej. Tylko nieliczni mieszkańcy hotelu utrzymują z nimi kontakt.

W ogóle fizycy są gdzieś tam daleko, w tle. Rano wychodzą do pracy, wracają wieczorem, w mieście ich prawie nie widać. Po ulicach w Dubnej spacerują tylko babcie z dziećmi i opalem kibice w swoich szykownych elastycznych spodniach. Na tle zapracowanego miasta wydają się czymś niestosownym.

Nie nadajesz się...

Gmach dla władzy postawiono w polu. Potem zbudowano miasto. Teraz Ufa ma 50 kilometrów długości i gmach znajduje się w centrum miasta. Na dole jest rada

narodowa, na górze komitet partii. Sekretarz rady mówi, że to wprost symboliczne: "Na lewo od rady stara Ufa, na prawo - nowa Ufa, a nad nią partia. I prawidłowo".

Pod radą - jest ropa naftowa.

Naftą rada nie dysponuje. Wydobyciem i przeróbką kierują centralne ministerstwa ZSRR. (Ufijska petrochemia jest najpotężniejsza w Związku Radzieckim.

Baszkirskie wydobycie ropy - trzykrotnie większe niż, na przykład, w całej Rumunii). Rada musi się natomiast troszczyć o to, żeby tych, którzy naftę wydobywają i przerabiają - karmić, uczyć i rozweselać.

Dzięki nafcie mieszka dziś w Ufie 700 tysięcy ludzi i jest to więcej o 400 tysięcy niż przed siedmioma laty. Zbudowano dla nich półtora miliona metrów kwadratowych mieszkań, 600 sklepów, 50 szkół... Nigdy przedtem tak trudnych obowiązków władza Ufy nie miała. Dlatego przeobrażenie miasta rozpoczęto od przeobrażenia jego władz,

12*

179

j

Wymiana kadr

Po raz pierwszy w historii Ufy sekretarz rady i kierownicy wydziałów mają wyższe wykształcenie. Dotąd stanowiska te zajmowali starzy praktycy pracujący po 20-30 lat. Położyli wielkie zasługi dla miasta. Rada wyraziła im swoją wdzięczność, załatwiła emerytury i przeniosła na zasłużony odpoczynek. Wszyscy sami prosili o zwolnienie, a rada przychyliła się do tych próśb. W procesie wymiany kadr ostrzejszych konfliktów nie było. Ludzie - "odpowiedzialni przecież i dojrzały" - potrafili podporządkować osobiste racje społecznym interesom. A kiedy ktoś wbrew owym interesom nie składał próśb o zwolnienie, oddziaływano nań przez organizację partyjną. Dyscyplina partyjna każdego przecież obowiązuje. W ciągu ostatnich siedmiu lat wymieniono w radzie wszystkich kierowników. Obecni mają wyższe (albo - w dwóch przypadkach średnie) specjalne wykształcenie. Są młodszy od poprzedników o piętnaście do dwudziestu lat.

Ten proces dotyczy nie tylko pracowników rady. Socjolog ufijski dr Nariman Aitow obliczył, że spośród ludzi, którzy 15 lat temu sprawowali w Ufie władzę - tylko co trzeci pozostał na tym samym lub równorzędnym stanowisku. Wśród kadry kierowniczej przedsiębiorstw - co drugi.

Prawidłowość jest oczywista: pozostali specjaliści. Odeszli ludzie nie mający odpowiedniego wykształcenia.

Pracownicy aparatu partyjnego, związków zawodowych, komsomołu zostawali sprzedawcami, robotnikami, księgowymi. Kierownicy przedsiębiorstw przemysłowych odchodzili do produkcji albo do podrzędnych pomocniczych prac.

180

W radzie narodowej najmniej skomplikowanym wydziałem jest gospodarka komunalna. Stanowi więc przystań dla ludzi, którzy już schodzą w dół, i rozbieg dla tych, którzy wstępują. Jest tu trzech zasłużonych starszaków po sześćdziesiątce i trzech inżynierów po dwadzieścia parę lat.

Jeden starszek przyszedł z kierowniczego stanowiska w ministerstwie, drugi - z wojska, trzeci przebył najbardziej burzliwą drogę: kowal - aktywista komсомolski - szef kadr ministerstwa - przewodniczący rady Ufy. I drogę w dół: zastępca przewodniczącego rady - kierownik wydziału rady - zastępca kierownika wydziału - emerytura dla zasłużonych. Pracuje ("nie powiedzieli - nie nadajesz się"). A kiedy stanie się jasne, że i sprawy komunalne w siedmiusettyśmym mieście się komplikują - odejdzie. Odejdą i tamci starszacy. A ich miejsca zajmie trójka inżynierów młodszych o lat trzydzieści.

Obyczaje

Co drugi mieszkaniec Ufy urodził się na wsi. Większość przeniosła się do miasta w ostatnim siedmioletniu. Zatrzymują się najpierw u rodziny. Mieszkanie takiego miejskiego krewniaka jest przystanią kolejno dla wszystkich przybyszów z jego rodzinnej wsi. Potem sami mieszkanie dostają. Jak obliczono - średnio o 5 lat później niż ich rówieśnicy urodzeni w Ufie. Zresztą nie wszyscy garną się do miejskiego, nowoczesnego mieszkania. Kilkaset rodzin mieszka w małych drewnianych domkach nad Białą. Każdego roku Biała wylewa i zatapia całą okolicę. Wtedy mieszkańcy domów przenoszą się do rodziny. Kiedy woda opada, wracają

181

znów. Każdego roku proponuje im się mieszkanie w bldkach. Odmawiają. Tu, nad Białą, mają wokół swoich drewnianych chałupek po skrawku ziemi. Dla tych skrawków pieczołowicie uprawianych cierpliwie znoszą powodzie. Ziemia jest jedną z elementarnych potrzeb nowych mieszkańców Ufy. Władze miejskie rozumieją to. Wydzierżawiły rodzinom ziemię (nazywa się to "kolektywny sad"). Taką sześćcioarową działkę uprawia w mieście co trzecia rodzina. W związku z wprowadzeniem pięciodniowego tygodnia pracy przydzielili się mieszkańcom jeszcze 500 hektarów. Praca w sadzie wypełnia im prawie cały wolny od pracy czas. Mieszkanie - sad - dzieci - praca - powszednimi, oczywistymi sprawami wrastają przybysze w miasto. Ale władza chce mieć na te ich sprawy swój wpływ. Chce formować obyczaje i korygować pragnienia. Wprowadziła więc, na przykład, Święto Pierwszej Wypłaty i wygłasza w tym dniu kilka pouczeń i ogólnych życiowych rad. Święto Pasowania na Robotnika jest uroczystym wprowadzeniem młodych ludzi do robotniczego kolektywu i okazją do sformułowania pewnych zasad społecznego współżycia. Obrzędy chrztu, ślubu i pogrzebu są poszukiwaniem nowej, świeckiej formuły dla zdarzeń tradycyjnie domagających się uświetnienia. W celu opracowania tego nowego rytuału rada narodowa powołała przy zakładach pracy specjalne komisje. Istnieje pewien typowy wzór każdej uroczystości, a komisja opracowuje szczegóły. Oto jeden z wariantów świeckiego chrztu przygotowany przez komisję obrzędową domu kultury im. Ordżonikidze:

"...Podjeżdżają samochody z rodzicami i dziećmi... Witają ich przedstawiciele partii i rady narodowej... W sali napis: »Urodził się człowiek - nasza zmiana, nasza przyszłość*. Głos zabiera przedstawiciel rady na-

182

rodowej: »Drodzy rodzice, jest to radość nie tylko dla was, ale i dla całego naszego socjalistycznego społeczeństwa*... Następuje uroczysta rejestracja dzieci. Wręczenie prezentów (z funduszu związku zawodowego). I część artystyczna: wiersze i pieśni o Leninie, ojczyźnie, powinnościach młodych obywateli".

-• Od czasu wprowadzenia świeckich obrzędów - stwierdza kierownik wydziału kultury - liczba cerkiewnych chrztów znacznie się zmniejszyła. Według opinii rady narodowej najlepiej pracuje komisja obrzędowa Trustu Naftowego Nr 3. Zbiera się przed każdym ślubem, pogrzebem i chrzcinami, i ustala: kogo wydeleguje Komsomoł, na którą godzinę dyrekcja da reprezentacyjną "Czajkę", i kto kiedy zabierze głos. Śluby odbywają się w specjalnym pałacu. Na dole znajduje się sklep, do którego wstęp jest za talonami. (Chodzi o to, by postronni nie wykupili deficytowych artykułów: angielskich białych lakierków, fińskich (koszul "non iron" i niemieckiej damskiej bielizny). Panna młoda dostaje także talon do fryzjera. Za jego okazaniem ("Ja niewiasta") ma prawo uczesać się bez kolejki. Są dwa pokoje. Jeden dla panny, drugi dla pana młodego. Druhny i druźbowie wprowadzają młodych do sali (muzyka Czajkowskiego z płyt). Przed wielką płaskorzeźbą Lenina na czerwonym tle stoją przedstawiciele urzędu stanu cywilnego i władz. Podpisy, przemówienia. W sąsiedniej sali już jest zastawiony stół...

Kolejka do tych ślubów ogromna. Zwłaszcza w dni świąt: rocznicy Rewolucji Październikowej, Dnia Kobiet, 1 Maja. Żenią się bez względu na narodowość i wykształcenie. Baszkirzy z Tatarkami i Rosjankami, inżynier z robotnicą. Wśród młodych - mających nie więcej niż 33 lata - 84 procent ma współmałżonków tej samej narodowości. Wśród młodych pobierających

183

się dziś narodowość już nie ma znaczenia. Miasto zaciera narodowe różnice. Młodzi robotnicy pochodzenia wiejskiego chętnie przyswajają sobie miejskie wzory i szybko się asymilują. Odwrotny proces następuje wśród inteligencji. W ostatnich latach trwa w tym środowisku renesans baszkirskiej kultury narodowej]. Etnografowie nazywają go wtórnym renesansem, bo nadszedł po trwającym wiele lat okresie internacjonalizacji. Wyraża się to m. in. w zawrotnym wzroście nakładów literatury baszkirskiej (miesięcznik literacki Agidel zwiększył nakład z trzech do czterech tysięcy w ciągu 5 lat), w sposobie ozdabiania 'mieszkań, w pielęgnowaniu języka.

Potrzeby rosną

Dzięki nafcie przeciętna płaca robotnicza jest w Ufie wyższa o 20-30 rubli od średniej w ZSRR. W związku z tym struktura handlu wyraźnie się zmieniła. Ludzie kupują rzeczy, których przedtem w Ufie, nie sprzedawano. Na przykład, kupuje się coraz więcej wytrawnego wina. Statystyczny mieszkaniec kupuje w ciągu roku wina 4 litry, a wódki 7. Razem - za 58 rubli. Przy 100 rublach średniej płacy miesięcznej. Co ciekawe - w Ufie mówią o tym z ubolewaniem, ale i odcieniem niejakiej dumy. "Pije się - bo jest za co. Najlepszy dowód, że coraz lepiej się żyje".

Zapotrzebowanie na towary przychodzi falami. Najpierw jest moda dywanów. Potem mebli. W zeszłym roku wszyscy rzucili się na pianina. Sprzedano 1000 sztuk i pianin było za mało. Na rok bieżący przygotowano ich 3000. Ponieważ w szkołach muzycznych Ufy uczy się 3371 osób, kierownik wydziału handlu

134

przypuszcza, że część osób traktuje pianino jako ozdobę albo jako rzecz, która może się ewentualnie przydać w przyszłości.

Meble kupuje się tylko drogie, lodówki tylko największe. Ogromne powodzenie mają niemieckie sypialnie z toaletką złożoną z trzech luster i polskie komplety kuchenne. Na meble te trzeba czekać rok. Sklepy przyjmują zapisy. Na lodówkę - 2 lata. Na samochód nie wyznacza się nawet terminu.

Rada narodowa i komitet partii uważają poprawę handlu za jedno z najważniejszych zadań. Pierwszy sekretarz komitetu zajmuje się tym osobiście. Kierownik wydziału rady bywa u niego po trzy, cztery razy w tygodniu. Donosi o kłopotach, zasięga rad. Niekiedy są to kłopoty bardzo drobne. Kierownik wydziału rady ceciał, na przykład, umieścić koło nowego wieżowca mały pawilon handlowy. Budowlani sprzeciwili się. Zwrócili się do sekretarza. Koło innego domu nie zbudowano drogi i do sklepu nie mogła podjechać ciężarówka z towarami. Zwrócili się do sekretarza. Do komitetu odwołują się też inne wydziały rady - komunalny w sprawie ciągników do sprzątania, budowlany - w sprawie kolejnych dostaw... Komitet wszystkim pomaga, ale sam przytłoczony jest tą mnogością drobnych niekiedy spraw.

Struktura władzy w Ufie jest skomplikowana. Baszkiria - jako autonomiczna republika - ma własny rząd i 'ministerstwa. Niektóre zakłady są podporządkowane tym ministerstwom. Inne - władzom miejskim. Inne - ministerstwom Federacji Rosyjskiej (Baszkiria wchodzi w jej skład). Inne - centralnym ministerstwom ZSRR. Komitet partii jest więc jedyną władzą w imięście mającą na wszystkie przedsiębiorstwa wpływ realny. Wszyscy, bez względu na zależność

185

służbową, należą przecież do miejskiej partyjnej organizacji.

Ta struktura określa w dużej mierze rolę komitetu partyjnego jako arbitra. Poza tym działają jednak i stare przyzwyczajenia. Wywodzą się z lat, kiedy Ufa była o połowę mniejsza i komitet partii mógł ogarnąć wszystko, co w mieście się działo. Budowa przemysłu naftowego, napływ setek tysięcy ludzi i gwałtowny rozwój miasta .zmieniły całkowicie ten stan.

W ubiegłym roku odbyły się teoretyczne konferencje partyjne, których tematem był styl kierowania. Nie powzięto określonych decyzji. Wszystko dotyczy przecież ogromnie skomplikowanych, kształtujących się latami spraw. Ale wymieniano opinie i' formułowano problemy wymagające rozwiązania.

Społeczne reakcje wyzwolone przez naftę są tak logiczne i nieuchronne, jak reakcje w petrochemicznej aparaturze. Do łańcucha tych zmian przybywają wciąż nowe ogniwa.

"Trojka" do panny młodej

W całym Związku Radzieckim wprowadza się obecnie nowe obyczaje i obrzędy. Utworzono specjalne komisje przy Radzie Ministrów, radach narodowych i w zakładach pracy. Bezpośrednim bodźcem dla tej działalności były postanowienia komisji ideologicznej KC.

Obrzędy, które zawsze formowały się stopniowo przez dziesięciolecia, powstają teraz z dnia na dzień. Tworząc je trzeba jednak odwołać się do jakichś tradycji. Istnieje tradycja obyczajów ludowych. Są wspomnienia porewolucyjnych lat dwudziestych - wspomnienia o "miejscowym bezpartyjnym chłopie", który udzielał ślubu we wsi Piscewo. Albo o robotniku, który nadając imię synowi zwołał kolektyw, a już towarzysze przegłosowali, spisali protokół i złożyli podpisy*. Jest wreszcie pewien styl stosowany obecnie powszechnie z okazji wystąpień publicznych i oficjalnych świąt. Styl podniosły, łączący zawsze treści ogólne - społeczne i obywatelskie - z osobistymi ludzkimi sprawami.

Tworząc obrzędy współczesne sięga się do tych wszystkich źródeł. Na wsi, na przykład, wznawia się stare ludowe obyczaje. Ale ponieważ w nowej sytuacji wsi

187

Gazeta Raboczaja Moskwa, październik, 1923 r.

radzieckiej straciły one od dawna swój sens, więc trzeba je było odpowiednio zmienić.

Kiedyś, na przykład, kawaler oglądał przed ślubem gospodarkę panny i oceniał jej posag. Ale współczesna radziecka panna żadnego gospodarstwa nie ma. Pracuje w kołchozie jak wszyscy. Więc we wsiach rosyjskich - obwodów Kurskiego, Ulianow'skiego, Wołgo-gradzkiego i Orłowskiego - a także na całej prawie Ukrainie przyjął się nowy zwyczaj: rodzice i przyjaciele kawalera oglądają po prostu kołchoz narzeczonej i oceniają, czy jego gospodarka należy jest prowadzona. Podobnie unowocześniono, na przykład, na Za-karpaciu uroczystość pożegnania rekruta. Najpierw siostra i narzeczone siodłają mu konia. A potem odbywa się już właściwa uroczystość: przy ciężarówce, którą żołnierze pojedą na punkt zborny.

W niektórych obrzędach wiejskiego ślubu wskrzeszono niedawno inne stare obyczaje. Na przykład - swatów. Przyjeżdżają "trojka" do domu młodej i wychwalają cnoty swojego klienta. Oczywiście - i każdy dobrze wie o tym - wszystko jest na niby. I starania swatów, i zgoda rodziców doprawdy nie mają większego znaczenia. Młodzi - wykształceni, pracujący i samodzielni - zdecydowali sami, dawno i o wszystkim.

W mieście ślub ma inny przebieg. Sięga się nie do obyczajów ludowych, lecz do wzorów przyjętych z okazji różnych uroczystości publicznych.

Wśród wprowadzanych obecnie zwyczajów jest wiele takich, których w laickiej obrzędowości w ogóle dotąd nie było. Stworzono już, na przykład, zwyczaj uroczystego nadawania imion, czyli świećlich chrzcin. Obecnie wprowadza się "Pominki" - odpowiednik naszych Zaduszek.

W związku z uroczystą rejestracją imienia wzno-

wiono instytucję rodziców chrzestnych, czyli, jak się ich nazywa, honorowych rodziców. ("Szanowni towarzysze kumowie i towarzyszki kumy" - zwraca się do nich prowadzący uroczystość).

Świeckie Zaduszki przyjęły się jak dotąd najlepiej w republikach nadbałtyckich (Rada Ministrów Estonii poświęciła zresztą specjalne posiedzenie sprawie ceremoniału żałobnego. M. in. zobowiązano Ministerstwo Kultury do opracowania nowoczesnych wzorów świeckich nagrobków i pomników cmentarnych).

Istnieją pewne "typowe" scenariusze uroczystości po-minkowych, które dostosowuje się do lokalnych potrzeb różnych miejscowości. Oto jeden z nich, opracowany dla estońskiego miasta Wałga.

"...O oznaczonej porze zbiera się około 2,5 tysiąca osób. Męski i żeński chór, a także orkiestra dęta zajmują miejsca. Na mównicę wchodzi prowadzący. Czyta fragmenty estońskiego eposu narodowego. Cmentarz jest zradiofonizowany, słyszalność dobra. Przewodniczący przechodzi do wspomnień o zmarłych pochowanych na tym cmentarzu. Daje krótkie charakterystyki ich zasług.

Orkiestra wykonuje *Ze padliście w walce...*

Prowadzący: »Oto mogiła Juliusa Le. Dawniej był robotnikiem. Za władzy radzieckiej zdobył wykształcenie, został dyrektorem szkoły średniej... A obok niego spoczywa zasłużony emeryt Iwan Makarow, jeden z pierwszych komsomolców. Bardzo pomógł przy budowie nowego węzła kolejowego...*

Chóry wykonują pieśni o przyjaźni.

Prowadzący: »Wspomni j my nasze dzieci. Oto one, maleńkie mogiłki Jana, Wilisa, Donata, Edika...«

Żeński chór wykonuje popularne pieśni *Śmierć sło-*

189

183

wika i *Serce matki*. Teksty pieśni są Wydrukowane w programie uroczystości. Chór i orkiestra przechodzą teraz do 'melodii, w których dominują nuty bardziej pogodne, -motywy radości życia..."

Podobnie wyglądają świeckie pominki w większości miast Łotwy i Estonii, i w niektórych miastach Ukrainy i Rosji. I tutaj zmodyfikowano tradycję. Na przykład, przyjęte było na cmentarzach prawosławnych prosić popa o modlitwę i pieśni przy mogiłach najbliższych. Oczywiście, za specjalną, niebłahą zresztą opłatą. Obecnie rady narodowe kierują na cmentarz orkiestry miejskie. Na życzenie rodzin grają one koło mogił pieśni żałobne, a ludzie korzystają chętnie, bo - w (przeciwieństwie do bafki - orkiestry nie dają się prosić, a grają za darmo.

Etnografowie stwierdzają, że nowe obrzędy akceptowane są szybko, chętnie i przez coraz liczniejsze środowiska.

Nie ulega wątpliwości: obyczaje te odpowiadają jakimś autentycznym potrzebom ludzi.

Wymienia się na ogół dwie przyczyny. Pierwsza - to wyraźny i szybki wzrost dobrobytu, a także skrócony tydzień pracy (ludzie mają więcej wolnego czasu i pieniędzy). Druga przyczyna wiąże się ze wzrostem wykształcenia: ludzie mają większe potrzeby kulturalne. I właśnie obrzędy powinny stać się jednym z elementów wzbogacających życie duchowe tych ludzi. Coraz bardziej wykształconych i żyjących coraz dostatniej.

Oczywiście uświetniając najdonioślejsze wydarzenia swojego życia powinni nadawać im wyłącznie świecką treść.

Nie tylko jednak świeckie obyczaje się zmieniają. Przeobrażeniom ulega i cerkiew.

Według danych spisu powszechnego osoby wierzące stanowią 20 procent całej ludności miast i 30 procent mieszkańców wsi Związku Radzieckiego. Ludzie ci wywierają na cerkiew coraz wyraźniejszy wpływ. Właśnie w rezultacie tego wpływu powstał w łonie rosyjskiej cerkwi prawosławnej nurt reformatorski. Kapłan moskiewskiej cerkwi Świętej Bogurodzicy, N. Eszliman, w liście otwartym do patriarchy Aleksie-ja (krytykującym zresztą patriarchę za pasywność wobec ateistycznego państwa) pisał: "Cerkiew zawsze starała się mówić takim językiem i wyrażać swoje nauki takimi pojęciami i kategoriami, jakie są dostępne tym, do których zwrócone jest jej nauczające słowo".

Wszędzie kościół uwzględnić musi przeobrażenia w psychice swoich współczesnych wyznawców. Ale cerkiew prawosławna ma do czynienia nie po prostu z człowiekiem współczesnym, lecz - z radzieckim człowiekiem. To jest takim, który ukształtowany został w bardzo precyzyjnym i wyrazistym radzieckim modelu wychowawczym przez szkołę, Komsomoł, kolektyw w zakładzie pracy, prasę, radio i TV. Cerkiew stara się więc dostosować swe prastare dogmaty do tego sposobu myślenia, który jest ludziom radzieckim właściwy. Znakomitym przykładem jest interpretacja dogmatu odkupienia.

Parę lat temu napisano na ten temat pracę habilitacyjną w Moskiewskiej Akademii Duchownej. Pracy nie przyjęto: rada naukowa uznała myśl wyrażoną przez autora za sprzeczną z nauką teologii. Ostatnio ów pogląd zrewidowano, autor, W. I. Tałyzin, uzyskał stopień naukowy, a cała sprawa jest doskonałą ilustracją procesu, o którym mowa.

190

191

Docent Tałyzin pisał: "Nie można obecnie przedstawiać sprawy tak, jakby odkupienie było cierpieniem niewinnego za winnych, że krzyż Golgoty jest spłaceniem długu za grzechy, za winy ludzkie. Takie rozumienie jest nieatrakcyjne (niepriwlekatielnoje) dla współczesnego wierzącego".

I przedstawia własną wersję: "Ukrzyżowanie trzeba interpretować jako czyn bohaterski, dokonany w imię prawdy i sprawiedliwości... Odkupienie nabierze wtedy nowego sensu... Będzie walką dwóch przeciwieństw: starego (kłamliwego, sprzecznego z interesem człowieka) i nowego (prawdziwego, postępowego). A ponieważ ścieranie się starego z nowym zawsze odbywa się w walce, więc Chrystus walczył z niesprawiedliwym stosunkiem do prostego człowieka. A ten, kto pierwszy idzie w bój - pada pierwszą ofiarą. Ofiara Chrystusa jest rezultatem walki o nowe życie, o sprawiedliwość".

Wielu duchownych w swoich wykładach i kazaniach rezygnuje nawet w ogóle z koncepcji cierpienia i pokory, a zastępuje je programem aktywnej obrony sprawiedliwości i prawdy.

Inżynier Gubanow przyznaje się. do błędu

Dwa lata temu rozpoczęto budowę wielkiego chemicznego kombinatu w Bieriezowce. W kombinacie będzie się produkować kajetan. Wszystko jedno co to znaczy - może tworzywo sztuczne, a może sztuczny nawóz. W każdym razie jest to coś ważnego, co sprowadzono dotąd z zagranicy. Dzięki technologii opracowanej przez inżyniera Gubanowa Związek Radziecki będzie obecnie produkował kajetan sam.

Jest to wielkie zwycięstwo radzieckiej nauki i radzieckiego przemysłu. Pisały o tym gazety. Mówili w radio. Sam .minister występował w telewizji. Sztandarowa budowa ZSRR. Całość ma kosztować 200 milionów rubli. Już zainwestowano 40 milionów.

Pomiędzy "przerobem" trzydziestego dziewiątego i czterdziestego miliona rubli inżynier Gubanow pojął, że tej ibudowy kontynuować nie wolno.

Produkcja kajetami ma się opierać na węglu. A w chwili ukończenia zakładu technologia ta już 'byłaby przestarzała. Bowiem, żeby trafić w aktualny poziom

światowej chemii, w poziom najwyższy, kajetan należy robić nie z węgla, lecz z nafty. To znaczy - należy zbudować zupełnie inny zakład. Wczoraj inżynierowie Gubanow i Nitoczkin (autor

13 - Na wschód od Arbatu
193

nowej technologii opartej na nafcie) przyjechali do Moskwy, żeby powiedzieć władzom: zatrzymajcie budowę. Projekt jest zły.

najwięcej zależy - czterdzieści parę lat, w okularach, inteligentny i skupiony. Będzie prowadził decydujące zebranie.

Minister

Najpierw poszli do ministerstwa. Minister nie chciał słyszeć o zatrzymaniu budowy. - TO BYŁA DECYZJA KZADU I KC! - krzyczał i ukradkiem łykał lekarstwa (na pewno coś z sercem). - Towarzyszu ministrze, nie denerwujcie się - błagał zatroskany osobisty sekretarz i patrzył z przyganą na Gubanowa.

Minister jest najwidoczniej przemęczony. Pracuje. Oddaje wszystkie siły wielkiej sprawie. Minister wykonuje uchwałę rządu i KC. Rozumie: z czterdziestu już zainwestowanych milionów da się uratować najwyżej dwanaście. Dwadzieścia osiem milionów rubli pójdzie na marne. Kto za to odpowie, KTO?!

Minister nie mógł postąpić inaczej: musiał zawiesić Gubanowa w obowiązkach dyrektora. Potem zobaczymy, co dalej.

Gubanow przedstawiał swoje racje kolejno w coraz ważniejszych instytucjach. Wszędzie te przestronne halle, marmurowe kolumny albo nowoczesne, przeszklone ściany - i zaferowani towarzysze z teczkami.

Towarzysze już wiedzą, już do nich dotarło. Gubanow chce zatrzymać Bieriezowkę! Życzliwi ciągną Gubanowa w ką. - Rozmawiałeś z A.? Nie? Koniecznie porozmawiaj. A z B.? Też nie? To błąd. Ty wiesz, co B. dzisiaj znaczy? A z W.? - Przecież W. nie ma wpływu na kajetan. - To nic, ale ma wpływ na A...

Pozostaje jeszcze jeden człowiek - ten, od którego

Kolektyw

Zebranie odbywa się dziś. Zaproszono naukowców, ekonomistów, ministra, sekretarza Obkomu. I, oczywiście, akademika. (- Aaaa - wołają obecni, kiedy akademik wchodzi - witamy, witamy - a akademik rozdaje promienne uśmiechy - patrzcie ludzie, taki wielki, a tak zwyczajnie się uśmiecha).

Minister znów krzyczy. - Teraz żeście się obudzili? A dlaczego od razu nie powiedzieliście, że trzeba produkować z nafty, przecież na świecie prowadzono prace nad tą metodą od lat.

- Bo dokumentacja oparta na węglu już była gotowa, a praca nad naftą nie. A wy nie chcieliście czekać. Już gazety podniosły krzyk. Już było głośno w radio. Już zachłystywali się - nowa wspaniała metoda, rodzimy kajetan, kolejne wielkie osiągnięcie gospodarki narodowej. Przecież wiecie - kontynuuje Gubanow - jak już raz zaczyna się u nas ten podniosły krzyk, zatrzymać się niepodobna.

Ekonomista mówi o stracie milionów.

Naukowiec stwierdza, że nowa technologia Nitocz-kina jest doskonała i że rozwój światowej chemii zmierza w tym właśnie kierunku.

A co powie akademik?

Akademik wstaje. - Niezmiernie interesujące rzeczy mówili moi szanowni przedmówcy... Pozwolę sobie jednak zauważyć, że wczoraj chcieli wykorzystywać dla produkcji węgiel, dziś się rozmyślili i chcą wykorzystać naftę. Może jutro rozmyślą się znowu i ze-

195
13*
194

chcą wykorzystać - bo ja wiem co - mannę kaszę (akademik zażartował - Ha! Ha! Ha!).

Ktoś komuś podsuwa karteczkę: "Zupełnie nie mogę się zorientować - on jest przeciw czy za?" ON - przewodniczący, skupiony i w okularach.

Aha, Gubanow mówi jeszcze, że największym nieszczęściem kultu jednostki było to przekłete pragnienie przystosowania się, przytaknięcia. Każdy starał się siedzieć najciszej w cieniu naczelstwa. A kiedy wiedział, że jest źle, myślał - .przecież i tak_ znajdzie się w końcu ktoś, kto powie głośno...

- Czy można? - Proszę bardzo, 'towarzyszu. Sekretarz Obkomu. Nie będzie mówił o technicznej stronie zagadnienia: nie jest specjalistą. Reprezentuje komitet partii. Chciałby powiedzieć tylko, czym jest kombinat dla obłasti. Chciałby opowiedzieć o wysiłku, który włożono w jego budowę, o ludziach, którzy już tam są, przyjechali, pracują, już włączyli kombinat w swoje własne życie i związali z nim własne nadzieje.

- Co wy tym ludziom powiecie? - zwraca się sekretarz do Gubanowa.

- Powiem im prawdę: TO BYŁ BŁĄD.

- Dziękuję towarzyszom - zamyka konferencję przewodniczący - niezależnie od konkluzji jedno jest pewne: doibrze, towarzyszu Gubanow, że o tym wszystkim nam powiedzieliście.

iNie podejmuje decyzji. To zrozumiałe: nie może jej podjąć sam. Na pewno wszystko odpowiednio zreferuje; może w rządzie, może w KC.

Gubanow musi jeszcze zatrzymać się w Moskwie, ale Nitoczkin, prowincjusz, ma już dość. - Czy mogę jechać? - pyta ministra. - Ja was nie wzywałem. - Czy będę potrzebny? - pyta wicepremiera. - Nie wiem, doprawdy nie wiem.

Już znowu wszyscy są czymś ogromnie zaaferowani.

Nitoczkin zostaje wśród tych kolumn i przestronnych hallów sam. Mały, śmieszny twórca nowej wspaniałej metody, który przyjechał z prowincji w wielki moskiewski świat.

Syn

W Moskwie mieszka żona Gubanowa, z którą się rozszedł, i jego syn. Syn studiuje chemię, jak na rodzinę znakomitego inżyniera przystało, a mama już zadbała o to, żeby studiował w najlepszym instytucie.

•Nagle, właśnie wczoraj, okazało się, iż syn zamierza porzucić swój znakomity instytut i ożenić się z jakąś robotnicą starszą od siebie i do tego z dzieckiem. Gubanow - choć głowę ma zaprzątniętą kajeta-nem - oraz jego była żona coś muszą począć z całą tą nieprzyjemną historią.

Matka jest "komsomołką trzydziestych lat". W jej czasach takie sprawy stawiało się na zebraniu. Kolektyw wychowywał. Matka Idzie więc do sekretarza Komsomołu. Ale sekretarz jest ogromnie zdziwiony - my nie poruszamy na zebraniach takich spraw. Ta moda dawno minęła.

To ciekawe: ojciec tak odważny i postępowy w sprawach kajetami i matka, aktywistka komsomolska lat trzydziestych, okazują się w sprawach swojego syna najbanalniej mieszczańscy. Przeraża ich, że może porzucić studia, bo dla nich, inteligentów, życiowy sukces wiąże się tylko z uniwersyteckim dyplomem. I do tego jeszcze - "ta kobieta". Z dzieckiem.

„Ta kobieta" mieszka w hotelu robotniczym i nie starcza jej pieniędzy na jedzenie. Pożycza na procent od lichwiarki. Mogłaby pewnie pożyczyć je w radzie zakładowej. Ale tego nie robi. Pewnie rada miała po-

196

dania od jeszcze bardziej potrzebujących. Lichwiarza jest gruba i rozwalona na poduszkach. - Jeszcze nie jesteśmy w komunizmie, żebyśmy mieli pożyczać sobie za darmo - mówi.

Można iść jeszcze do posła, prosić o pomoc i mieszkanie. - Wiecie, ile nasze państwo buduje mieszkań •- mówi poseł - ale czyż może ich starczyć dla wszystkich?

W pewnym zakładzie włączono film jako obowiązujący wszystkich temat na seminarium marksizmu-leni-nizmu. Aktyw partyjny zobaczył w bohaterze pewien model postępowania i uznał go za wzór obowiązujący komunistę.

Credo

Historia z kajetanem już się rozniosła. Już dowiedzieli się o niej zachodni dziennikarze. Jako inżynier - Gubanow bywał w Stanach Zjednoczonych nieraz. Dopadli go wieczorem w hotelowym hallu. - U nas, w Ameryce, koncern budujący kombinat zbankrutowałby po takiej omyłce.

- My możemy poprawić największe nawet omyłki - mówi Gubanow. - A możliwość naprawy omyłek bez bankructwa dobrze o naszym ustroju świadczy.

- A co z panem? Chyba dyrektorem już pan nie będzie.

- Chyba nie - mówi Gubanow - ale ja naprawdę wierzę, że budujemy komunizm wszędzie, na każdym stanowisku. Szeregowego inżyniera też.

Jutro zapadnie decyzja w sprawie kajetami.

Historia opowiedziana wyżej jest treścią filmu Juriija Rajzmana Twój sowriemiennik, który wszedł właśnie na ekrany 40 moskiewskich kin. Reżyser pokazał film aktywistom partii. Audytorium składało się z osób, których zamiast do rejonu na szkolenie poprowadzono do kina.

Kobiety w kolorze lila

ściągają z koturnów wszystkie wielkości. Margerita Fo-fanowa opowiada o Leninie jak o wielkim wodzu rewolucji wprowadzie, lecz sublokatorze uciążliwym odrobinę. A Bohater Związku Radzieckiego, lotnik Polina Gelman, mówi rzeźbiarzowi: - Nie mogę pozować z podniesioną dumnie głową, bo widać, że mam zadarły nos.

Dobrze jest oglądać historię ich oczami. Współczesność nigdy nie będzie powleczone różowym lakierem. A i przeszłość stanie się bliska, wręcz intymna.

Kobiety radzieckie są tęgie, wesołe i noszą garsonki z dżerseju, najchętniej w kolorze lila.

Kobiety radzieckie wiedzą już, że trzeba schudnąć, ale nie mają warzyw pod dostatkiem. Wiedzą także, iż w sukni wygląda się szczupłej, ale mało jest dobrych sukienek w sklepach.

Na Światowej Wystawie Odzieży, pierwszej w ZSRR, ustawiały się w trzykilometrowej kolejce (kolejka już w metrze się formowała, na stacji Sokolniki) i w ciszy, z ogromnym skupieniem i powagą oglądały, dotykały, szkicowały modele Diora i Chanel. Porównywały je z kolekcją radziecką, znakomitą zresztą. Potem wpisywały się do książki uwag.

Cieszyły się, "że nasze młode pokolenie jest tak szczęśliwe, o co myśmy walczyły przeciw". (M. Teren-tiewa, zasłużona emerytka, nr leg. 8375-C). I myśl, że ze stu czterdziestu eksponatów radzieckich zachodnie firmy kupiły na pniu dziewięćdziesiąt, bo właśnie na świecie jest moda a la russe - radowała je tak bardzo i taką napełniała dumą, że nie pytały nawet, dlaczego podobnych sukienek nie ma w sklepach Nowego Arbatu.

Mimo tej powagi w traktowaniu publicznych spraw 209

1. "Ciocia Jewdokia", żona Piotra

W Suzdalu, najpiękniejszym mieście Rosji, są cztery klasztory, osiemnaście cerkwi i kilkadziesiąt bram, baszt, mostów i wież. Mury Spas-Jefimowskiego klasztoru i baszty, które są jak wielkie sosnowe szyszki z odchylonymi łuskami, mają po siedemset lat. Ale kiedy minie się już unikalne Święte Wrota, to na dziedzińcu klasztornym widać małe drewniane domki, młodsze od murów o lat sześćset dziewięćdziesiąt.

Przed tymi domkami stoją ławeczki.

Na ławeczkach siedzą kobiety.

A nad kobietami widać tabliczkę: "Kom. Gorodok" - Komunistyczne Miasteczko. Bo to jest po prostu ulica.

Jedna z wielu suzdalskich ulic rozlokowanych w klasztornych murach. Przewodnicy i turyści snują się po Kom. Gorodku z folderami. A kobiety wymieniają uwagi o nowych i starych mieszkańcach Spas-Jefimowskiego monasteru.

O Jewdokii gawędzą, żonie Piotra I, albo o Sołomonii, żonie cara Wasyla. Bo to ich nieżyjące sąsiadki po prostu, Jewdokia Łopuchina, na przykład, mieszka-

ła w domku na lewo, zamienionym na muzeum. Gdzie stoi ta kobieta ze świeżymi jajkami przywiezionymi prosto z kołchozu. Mąż zesłał Jewdokię, bo spiskowała z bojarami. A ona w tym klasztorze - z różnymi suzdalskimi paniami - Sierioża, idźcie się trochę dalej bawić...

Wieści o jej prowadzeniu krążyły po całej Rosji, ale tak między nami mówiąc, to co oni właściwie w niej widzieli? Nalana twarz, małe oczka, nos kartoflany. Wisi przecież portret w muzeum.

Bo taka Sołomonina Saburowa - o, to już co innego. Zesłali ją za bezpłodność, bidulkę. A kiedy jednak urodziła dziecko, car przysłał komisję, która go poinformowała potem, że zmarło i pochowano je na miejscowym cmentarzu. Niedawno ekspedycja naukowa otworzyła i znalazła... lalkę. Co by to mogło znaczyć? Może Sołomonina, bojąc się intryg dworskich, całą historię ze śmiercią wymyśliła? Może ukryła dzieciaka? Tylko w takim razie - gdzie? - zastanawiają się kobiety z ulicy Kom. Gorodok. - Saszka, gdzie leziesz, sto razy mówiłam ci, żebyście się nie bawili w chowanego w domu cioci Jewdokii.

zie, a górale otaczali sposób produkcji ścisłą tajemnicą. Bładow, ówczesny właściciel fabryki, posłał na Kaukaz robotnicę Irinę z delikatną misją zdobycia sekretu i pilnie strzeżonych grzybków. A Irina miała 20 lat i była bardzo piękna.

Na Kaukazie zakochał się w niej książę Murza-Bek. Porwał piękną Irinę. Wołał: - "Musisz być moją żoną". Na co Irina: - "Nie chcę małżeństwa, lecz grzybki". Z kolei książę Murza-Bek wyciągnął kindżał: - "Umrę, jeśli moją nie będziesz". A Irina: - "Wolę własną śmierć niż hańbę".

W kulminacyjnym momencie tej sceny wkroczyli jednak żandarmi i księciu groził publiczny proces. Jego adwokaci zaproponowali Irinie ugodę.

A niezłomna patriotka Zakładów Mleczarskich powiedziała na to: - "Wybaczę, jeśli dacie grzybki". I książę wręczył grzybki Irinie. A fabryka wyprodukowała pierwszy w Europie kefir.

Irina Makarowa ma obecnie 85 lat, jest zasłużoną emerytką, lecz chętnie wraca do tych wspomnień i dzieli się z młodzieżą Zakładów im. Gorkiego Nr 1 doświadczeniami. Wyraża także nadzieję, że dzięki ofiarnej załodze zakład zdobędzie na pewno nagrodę CRZZ.

2. Zasłużona emerytka Zakładów Nr 1

Zakłady Mleczarskie Nr 1 im. Gorkiego w Moskwie pretendują do nagrody specjalnej CRZZ za udział w ogólnozwiązkowym konkursie kultury pracy. Z tej okazji odwiedzili je dziennikarze, którzy przypomnieli czytelnikom historię fabryki. Fabryka wsławiła się m. in. tym, że jako pierwsza na świecie rozpoczęła masową produkcję kefiru.

Sześćdziesiąt lat temu kefir robiono, tylko na Kauka-

3. Z mojego mieszkania poszedł...

- Tu, o tu siedział, na tym krześle. Tyłem do okna. Na lewo Nadia. Na prawo ja. Na 'tamnym stoliku kładłam gazety, od razu sprawdzał, czy nic nie brakuje, a jeśli nie było którejs, marszczył się. Nadieżda Kon-stantinowna mówiła - Wołodia, nie gniewaj się na Margeritę Wasiliewną bez powodu.

I Margerita Wasiliewną Fofanowa przechyla głową,

203

marszczy nad okularami brwi, naśladuje najpierw jego głos, a potem jej, łagodniejszy i spokojny.

Przy końcu września wprowadzili się do niej na Sierdobolską 1, w Piotrogradzie i odtąd mieszkali we trójkę do 25 października 1917: on, Nadia i Margerita.

Margerita robiła śniadanie, potem kupowała gazety i szła do szkoły. On w tym czasie pracował. Przed czwartą wracała i robiła obiad. Przy herbacie gawędzili trochę. On mówił, że pracuje teraz nad dekretem o ziemi. Albo nad planem powstania zbrojnego. - Trzeba za wszelką cenę zająć telefon, telegraf, dworzec, mosty i bank - mówił, a Margerita pytała: - Konfitur trochę, Włodzimierzu Iljiczu?

10 października poszedł na bulwar rzeki Karpowki, na zebranie KC. To na tym zebraniu właśnie podjęto decyzję o wybuchu powstania zbrojnego. A Margerita pamięta, jak O'bie z Nadią Krupską pilnowały, żeby przed wyjściem włożyły kalosze, bo okolica była brudna, chodnik drewniany i już raz kiedyś ugrzązł w tym błocie.

Kiedy był zadowolony z czegoś szczególnie - na przykład z projektu dekretu o ziemi - podśpiewywał sobie, ale fałszował (Nadieżda mówiła: - Przestań, Wołodia, wiesz przecież, że nie masz słuchu).

24 października (6 listopada według naszej rachuby dni) Margerita przyszła do domu wieczorem. On czekał już w drzwiach. - Nie rozbierajcie się - powiedział. - Zaniesiecie list. Możecie go oddać tylko Nadi. I proszę nie wracać bez odpowiedzi. Pobiegła. Nie wiedziała, co oddaje, ale dziś treść tego listu zna każdy, kto interesował się choć trochę historią rewolucji. List zaczynał się tak:

"Piszę te słowa wieczorem, 24-tego, sytuacja jest w najwyższym stopniu krytyczna. Jasne jak słońce, że teraz już naprawdę zwleknięcie z powstaniem równa się

śmierci. (...) Historia nie wybaczy zwłoki rewolucjonistom, którzy mogli zwyciężyć dzisiaj, a ryzykują, że jutro stracą wiele, że stracą wszystko".

Czekała na odpowiedź. Wróciła do domu, oddała mu list. Odpowiedź go nie zadowoliła. Powiedział: - Pójdziecie jeszcze raz.

Historia powtórzyła się. Poszła znowu. Tym razem zapytała Krupską: - Jaka odpowiedź niosę? Krupska powiedziała: - Chce iść do Smolnego, ale towarzysze twierdzą, że jeszcze nie czas.

Wróciła do domu.

Przeczytał list. Zaczai krzyczeć. - Nie rozumiem ich! Idźcie! Zapytajcie, czy mają stu pewnych czerwo-nogwardystów! Stu! Więcej nie trzeba.

Znowu zanosła list. Wróciła.

- Ale cały czas myślałam, kiedy on właściwie coś zje. I podczas gdy pisałam kolejny list do KC, biegłam do kuchni. Przy drugim liście zrobiłam herbatę. Przy trzecim zupełnie zagrzałam. Przy czwartym powiedziałam w końcu: - Wy możecie nie jeść, Włodzimierzu Iljiczu, ale ja już naprawdę jestem głodna.

Powiedział: - Obiecuję wam, że bez obiadu do Smolnego nie pójde.

Poszła więc piąty raz. Nadieżda zapytała: - Jak myślisz, uda się go zatrzymać w domu? - A ja powiedziałam: - Myślę, że tym razem na zgodę nie będzie czekał.

Kiedy wróciłam - nie było go.

Zapaliłam światło, weszłam do kuchni.
Sprawdziłam. Zjadł.
Weszłam do pokoju. Kaloszy nie było. Uspokoiliam się.
Na moim stole leżała kartka:
"Uszoł туда, куда вы не хотели, чтолбы ja uchodił. Doswidania. Iljicz".

205

Poszedł do Smolnego. Do sztabu zbrojnego powstania. Rozpoczęła się rewolucja. Z
mojego mieszkania poszedł, żeby stanąć na jej czele.

4. Z roczników "Robotnicy"

Z czterech roczników pisma Robotnica, które powstało w 1914 roku, wybrałam
niektóre fragmenty.

1923

Jest już po rewolucji i wojnie domowej. Miejsce wezwań do walki z białymi
zajmują troski powszednie. Zaczyna się normalny, powszedni dzień młodej repu-
liki.

NA POMOC KOBIECIOM BEZROBOTNYM

Komisja prac społecznych otrzymała od państwa zapomogę: trzy tryliony rubli i
665 tysięcy pudów chleba.

TYDZIEŃ BEZDOMNEGO DZIECKA

W dniach od 12 do 19 kwietnia w całej Rosji będzie przeprowadzony tydzień pomocy
bezdolnym dzieciom. W Rosji są obecnie 2 miliony bezdomnych dzieci. Umierają z
głodu ojcowie, matki. Ich dzieci jak owce rozbiegają się po Rosji. Kobiety,
zajrzyjcie do rozwalonych domów, do skrzyń na śmiecie. Robotnice, te dzieci
czekają na naszą pomoc!

POCZTA CZYTELNICZEK

Jak pisać wiersze? Jakie miejsce zajmuje ziemia we wszechświecie? Odpowiedź:
Merkury jest dwa razy mniejszy od Ziemi, Wenus prawie taka jak Ziemia, Mars...

REPORTAŻ Z REPUBLIKI JAKUCKIEJ

Dziewczęta sprzedaje się w wieku 12, 13 lat. Bywa, że ojcowie sprzedają córkę za
tytoń. Trzeba koniecznie wychować towarzyszy robotników Jakutów...

TASZKIENT

Otwarto klub dla kobiet. Po uroczystym otwarciu sześć kobiet zrzuciło czadry
zasłaniające im twarze. To wydarzenie na długo pozostanie w pamięci całego
Turkiestanu.

1937

Kilka tytułów.-

ROZPOCZYNA SIĘ BUDOWA KANAŁU WOŁGA--DON

DYREKTOR PANTELEJMOV NIE LUBI KRYTYKI

ODWAŻNIEJ WYSUWAĆ KOBIECI NA SAMODZIELNE STANOWISKA

PASZA ANGELINA, PIERWSZA TRAKTORZYST-KA

KOBIECI PO PRACY ĆWICZĄ SIĘ W STRZELANIU

JAK WYKORZYSTAĆ MIĘSO WYGOTOWANE W ZUPIE DLA DRUGIEGO DANIA

Prawie w każdym numerze informacje: o przemyśle ciężkim (wyprodukował osiem razy
więcej niż carska Rosja), o zatrudnieniu (wzrosło w zeszłym roku o milion), o
płacach (są to początki ruchu stachanowskiego). I stała rubryka: w obronie
ojczyzny.

Kobiety oglądają za radą pisma obrazy Rembrandta; noszą suknie kloszowe,
rozszerzane od kolan w dół, z rękawami bufiastymi zebranyimi u ramion;

śpiewają pieśni o Stalinie (Robotnica zamieszcza słowa);

czytają oświadczenia plenum KC WKP(b) - "O niedostatkach pracy partyjnej i
likwidacji trockistowskich i innych obłudników";

dowiadują się, co robić w czasie połogu, jak pielęgnować włosy i gdzie zdobywać
nasiona kwiatów.

207
206

1941

KOMUNIKAT

"Dziś o godzinie czwartej nad ranem bez wypowiedzenia wojny wojska niemieckie wtargnęły..."

Tytuły:

KOBIETY UCZCIE SIĘ, ZASTĄPICIE ROBOTNIKÓW IDĄCYCH NA FRONT

ODDAWAJCIE KREW RANNYM

LIST MATKI LOTNIKA

Towarzyszka Gastello - staruszka, matka lotnika, który ginąc skierował swój płonący samolot na niemieckie cysterny, pisze do Robotnicy list: "Jeśli będzie trze'ba, każda z nas z bronią w rękę stanie w obronie ojczyzny".

REPORTAŻ Z FABRYKI ZBROJENIOWEJ Towarzyszka Kuzniecowa dała w ostatnich miesiącach 18 razy krew. Od towarzyszki Rumiancewej wzięto 7 litrów krwi.

Kobiety-lotnicy, kobiety-sanitariuszki, kobiety - oddające futra na rzecz frontu. Decyzja Rady Najwyższej ZSRR o przyznaniu tytułu Bohatera Związku Radzieckiego pięciu kobietom-lotnikom.

PRAKTYCZNE RADY

15-20 kropli walerianowych, jeśli człowiek bardzo się zdenerwuje albo nie może zasnąć.

Jak rzucać granatem. Rzuca się tak jak normalny kamień, tylko pamiętajcie, nie wolno dwukrotnie brać rozmachu.

Roboty na drutach: rękawice i nauszники dla żołnierzy.

Jak oszczędzać węgiel. Wody nie solić - osolona dłużej się gotuje, więc zużyjecie więcej węgla. Kompotu nie gotujcie, to nawet zdrowiej, witaminy nie przepadną.

Co robić w wypadku odmrożeń i częściowego zamarznienia. Zamarzanie poznaje się po uczuciu zmęczenia, słabości i senności...

Rok 1967

Z ankiety "Jaka jesteś nowoczesna dziewczyno?" (nadeszło 6 tysięcy listów):

"Zerwałam. Przyjaciółki mówiły - dobrze zarabia, moskwicza byście sobie kupili".

"Podoba mi się, jest taki silny i dobry, tylko on dla mnie istnieje. Ale nie powiedziałam najważniejszego, przyjaźni się z inną. Tylko nie współczujcie mi, błagam. Nie mogę ścierpieć współczucia. Zresztą tamta mi się naprawdę podoba. Dziwne. Kiedy ich widzę razem szczęśliwych, nie odczuwam zazdrości. Nie wiem dlaczego. Tak jakbym się za nich cieszyła".

"Nikt nie pisze o mnie wierszy. Wszyscy moi znajomi chłopcy - to przez tę nowoczesną powieść wszystko - patrzą najpierw na nogi, a potem od razu w oczy".

"Odbiłam jednej dziewczynie faceta. Zwymyślała mnie. To ja ją obijałam. Jak chcę, tak robię. Z kim chcę, z tym chodzę. W ogóle mam paskudny charakter".

O rodzicach:

"Ciągle słyszę - ot, młodzież, spódnice wyżej kolan noszą. Nie to co my. My walczyliśmy. No, oczywiście walczyliście, drodzy rodzice, a myślicie, że my byśmy tak nie potrafili?"

5. Spotkanie Pułku

Spotkanie byłych żołnierzy 46 Lotniczego Pułku odbędzie się dziś o dwunastej. Dwadzieścia lat temu po-

209

14 - Na wschód od Arbatu

208

stanowiono, że miejscem zbiórki ma być skwer koło Teatru Wielkiego. Jest dwunasta i jest skwer. I one są. W przetykanych błyszczącą nitką garsonkach. W czarnych sukienkach. Odświętne. Spocone trochę: dziś gorąco.

- Sasza, tyś się nic nie zmieniła. Popatrz, przez dwadzieścia lat...
- Ja nie jestem Sasza. Asia jestem. Są filmowe kamery, telewizja, reporter z radia, fotoreporterzy.
- Przed naszym mikrofonem dowódca, major Bier-szańska.
- Poszliśmy dobrowolnie na front. Miałyśmy po dwadzieścia parę lat. Latałyśmy nocą. Zrzuciłyśmy na wroga trzy miliony kilogramów bomb. Był to jedyny, złożony wyłącznie z kobiet, pułk lotniczy na świecie.
- Obywatele, nie zasłaniajcie. Każdy chce bohaterki zobaczyć.
- Towarzyski - dziewczyna z tłumu przyglądających się - a która to jest Raskowa?
- Nie ma jej.
- A przyjdzie?
- Nie.
- Może się tylko spóźni?
- Raskowa nie przyjdzie już nigdy.
- Dusia, zdejmij płaszcz, filmują.
- Nie mogę, przytyłam ostatnio.
- A może byście tak zatańczyły? No, śmiało. Jak na froncie!
- Kalinka, malinka maja...

Tonią tańczy. Wystukuje takt na bruku.

- Brawo, Tonią - ma czworo dzieci - podobno rzucił ją mąż - wieszala bomby, trzy tony bomb każdej nocy - jak lekko, jak rytmicznie tańczy Tonią!
- Weź chusteczkę, no, no, Marina, dobrze!

210

- Wyganiała ja karowli na rasu i wstrietila ja miedwiedia u liesu.
- Widzicie jak bohaterowie tańczą? Gdzie kamera?
- Podobno znaleźli już Żeni grób.
- Dowódca chce coś na wstępie powiedzieć.
- Wiemy już, gdzie są wszystkie nasze dziewczęta. W zeszłym roku Dusia Raczkiewicz odnalazła ostatni, trzydziesty trzeci .grób, była w nim klamerka od naszego rzemienia i kawałek metalu od naszego hełmu. To była Żenią.
- A Rają Aronowa odwiedziła ostatnio inną mogiłę - czterech letniczek w chutorze Paszkowskim. Na grobie był napis: "Wieczna Sława Bohaterom". Ale nazwisk nie było. Rają zapytała dlaczego. Powiedziano, że musi być odpowiednia podkładka, bo skąd miejscowe władze mają wiedzieć, czy rzeczywiście leżą tam te i te. Major Bierszańska podała nazwiska, ale władze zażądały dowodów. Rają napisała więc do gazety Prawda Krasnodaru i zaraz nazwiska wryto.
- Rają Aronowa i Rufa Gaszewa przejechały w czasie urlopu "Wołga" Rai cały bojowy szlak czterdziestego szóstego pułku... Przy okazji właśnie załatwiły w chutorze Paszkowskim sprawę tych nazwisk, a w chutorze Worowskim na Kubaniu emeryturę jakiej starsuszce. W ogóle musiały załatwić sporo różnych spraw, bo kiedy miejscowi ludzie dowiadawali się, że przyjechały bohaterki, to zaraz zwracali się z prośbą o pomoc. Rają i Rufina interweniowały u różnych władz, i to skutecznie, bo podpis pod listem "Bohaterowie Związku Radzieckiego" robił wrażenie.

Zakończyły swą podróż w Brześciu.

Rają nie zobaczyła więc tego miejsca, na którym wylądowała kiedyś szybciutko, bo z góry dostrzegła spa-dochronik z bombką oświetlającą cel. (Wypatroszyła bombkę, odcięła spadochronik i poleciała dalej. Jeśli

bowiem ien spadochronik zanurzyło się w akrochinle, żółtym lekarstwie do mycia ran, to wychodził bardzo ładny, kremowy jedwabik, z którego można było uszyć niezłą halkę pod mundur). A znów Rufina nie zobaczyła miejsca pod Nasielskiem, na które spadła, kiedy spalił się jej samolot, ani pola, przez które pełzła noca wśród min, ani domku, w którym saper powiedział: "A tę waszą koleżaneczkę miny rozerwały". Rufina była znakomitą kompanią w tej podróży przez bojowy szlak. Taka pogodna, wesoła.

Tej pogody nie udało się zetrzeć z jej twarzy nawet artyście, który miał wyrzeźbić na ósmego marca Ko-bietę-Bohatera. Radziecki Komitet Weteranów Wojny wytypował właśnie ją i Polinę Gelman jako osoby zasługujące na pozowanie. Siedziała w mundurze, który ją cisnął trochę, bo był już przecież za ciasny, i ze Złotą Gwiazdą Bohatera, a artysta napominał: - Surowiej! Godniej!... Z Poliną Gelman poszło gorzej jeszcze. Polina ma dobrą miękką twarz z nosem jak kartofel. A artysta wołał: "Wyżej głowę! Dumniej wzrok!" To, co wyszło z tego pozowania, postawiła Polina wysoko na szafie, a na głowę Kobiety-Bohatera wcisnęła ogromny kapelusz (przywiozła go sobie z Kuby, gdzie zbierała materiał do doktoratu).

Polina zresztą uważa, że wszystko to nie było bohaterstwem. To była praca. Leciało się nocą nad cel, zrzucało bomby (niemieckie reflektory oświetlały je, działa strzelały), potem wracało się, znowu brało bomby, znowu leciało się nad cel i tak aż do świtu.

Polina była sekretarzem partii w eskadrze i musiała prowadzić szkolenie. Kiedy już sprzykrzył im się Krótki kurs, postanowiła sięgnąć do filozofii. Na początek wzięła dialektykę Hegla. Na następnym szkoleniu Żenią miała referować materializm Feuerbacha. Do Feu-

erbacha nie doszło, bo pomiędzy pierwszym a drugim szkoleniem Żenią zginęła. Potem chyba brali Dialektykę przyrody, ale Polina dobrze nie pamięta. Jej przyjaciółka, Gala Dokutowicz, została właśnie wtedy ranna. Wojska radzieckie jeszcze cofały się, więc Polina zostawiła Gali swój rewolwer, na wypadek, gdyby nie zdążono ewakuować rannych. (Polina jest Żydówką i rewolwer, w razie dostania się na terytorium zajęte przez wroga, mógł jej się także przydać). Kiedy później Gala spłonęła w samolocie, Polina napisała do jej matki list: "Jeśli kula ominie mnie i jeśli będę kiedyś miała córkę, nazwę ją Galą i wychowam na tak szlachetną i wspaniałą, jak była nasza Gala...

- Gala, Gala, przedstaw się towarzyszce z Warszawy.
- No i co, i udało się wam ją wychować dobrze?
- Studiuje, uczy się dobrze, a tym modom obecnym na sceptycyzm i nihilizm moja córka nie ulega.
- Szkoła w stanicji Assienowskaja zaprosiła do siebie nasz cały pułk. Chcą tam otworzyć muzeum nam poświęcone.
- Czy to wypadnie w święta?
- Nie.
- No to co będzie ze zwolnieniami z pracy?
- Ja mam myśl. Niech Otokom nas oficjalnie zaprosi.
- To nie jest w gestii Obkomu.
- To niech wystosuje pismo do Komitetu Weteranów Wojny.
- W porządku. A Komitet Weteranów Wojny z powołaniem się na zaproszenie Obkomu wystosuje list do wszystkich działów kadr.
- Najlepiej, jeśli będą dwa pisemka. Trzeba zrobić

212

213

odpisy zaproszenia Obkomu, do tego dołączyć prośbę Komitetu Weteranów i rozesłać do działów kadr wszystko razem.

- Za rozesłanie pisemek będą odpowiedzialne...

'Major Bierszańska nią czas dzisiaj. Jest świąteczny dzień i córka sama zajmuje się dziećmi. W dni powszednie major Bierszańska musi być w domu już o drugiej, kiedy wnuczki wracają ze szkół. Gosposi nie ma. Problem gosposi w Moskwie to prawdziwa tragedia. Więc przed drugą odbywa wszystkie swoje spotkania - z pionierami z ramienia Komitetu Weteranów Wojny, z kobietami - z ramienia Komitetu Kobiet Radzieckich, ze społeczeństwem - z okazji Dnia Lotnictwa, Dnia Floty, Dnia Zwycięstwa. A ostatecznie zakupy też zrobić musi i ugotować obiad, i do fryzjera przed spotkaniem pójść. Już ma zupełnie włosy od tych spotkań wysuszone. Ale cieszy ją ta mnogość spraw. Przynajmniej wie, że nie tylko córce zamiast gosposi jest potrzebna.

Nie wszystkie zabierają głos. Siebrowa, na przykład, milczy. Zawsze była milcząca i spokojna. Kiedy rozbił się jej samolot (była zamieć, zdawało im się, że światełka na ziemi to gwiazdy, i skierowały samoloty w ich stronę; cztery dziewczyny się zabiły), Bierszańska powiedziała: - Może odpoczniesz, Irocza? - Ale Siebrowa była znów spokojna i poleciała następnej nocy nad cel. Tylko dzisiaj więcej w spokoju godności, żar dowrolenia. Siebrowa jest córką chłopów, a przed pójściem na front była ślusarzem. Dziś ma Złotą Gwiazdę

Bohatera, męża, który jest inżynierem, córkę, która studiuje. Kupiła córce fortepian, bo słyszała, jak ładnie Van Clipburn gra, ale córka nie chciała się uczyć. Pianino nadal jednak stoi, na pianinie - serwetki, w serwantce - kieliszki kryształowe. W domu jest zasobność. W pracy - szacunek ludzki. W perspektywie - renta dla zasłużonych.

Innym tak się nie powiodło. Od zastępcy szefa sztabu odszedł mąż, od dawna pił, a teraz nawet alimentów nie płaci. Zastępca szefa sztabu nie przyszła na tegoroczne spotkanie. Syn dostał urlop z wojska i przyjechał właśnie wtedy na kilka dni. Prawdę mówiąc więcej czasu poświęcał kolegom niż jej, więc widywała go tylko wieczorami. Ale rozumie doskonale, że tak właśnie musi być. Że więcej ma się tematów z rówieśnikami niż z matką. Może nawet w jego wieku sama by się tak zachowywała.

.Zastępca szefa sztabu, od której odszedł mąż, mówi, że strach to jest uczucie, jakby się nie miało czaszki i jakby się obnażał mózg. Kiedy niebezpieczeństwo mija, czaszka wraca na swoje miejsce. Gdyby poszła do sądu, na pewno płaciłby alimenty, 25 procent pensji albo i 33 procent, bo na dwoje. Ale ona do sądu nie zwracała się, do organizacji partyjnej też, jak sam nie płaci, to nie trzeba, żeby tylko córka na tę biochemię się dostała, to już wszystko będzie dobrze, na jedno miejsce jest 40 osób, a mówią po cichu, że chłopców przyjmować będą przede wszystkim.

. - Przystępujemy do następnych spraw. Rodzice poległych chcą jechać z nami, trzeba się zająć staruszkami. Opieka nad odnalezionymi grobami. Wieńce. Dary dla szkół. Powstaje coraz więcej szkół naszego imienia...

215

214

- A sztandar? Przecież musimy wziąć nasz sztandar.

- Nic z tego nie będzie. Wypożyczenie go z muzeum wymaga mnóstwa formalności...

- To prawda.

- No trudno, pojedziemy bez sztandaru. Niech już w muzeum zostanie...

6. Aleksandra Pawłowna z "Triochgorki"

- U stóp tych trzech gór kupiec Prochorow wybudował swoją manufakturę - mówi Aleksandra Pawłowna. - Dlatego nazywa się "Triochgornaja". - I Aleksandra zerka dyskretnie do książki, bo nie pamięta na wrywyki, kiedy to właściwie było. - Acha, 1799... A w 1838 już tysiąc robotników... A w 1905...

Telefon.

- Jeszcze nie przywieźli? Co to może być...?

...A w 1905 był sztab powstania robotników Moskwy. Tu właśnie, w kuchni Prochorowskiej. Jedenaście dni trzymała się republika proletariacka dzielnicy Priesnia. Jej władcą był parlament robotniczy. Jego siedziba - "Manufaktura"... Po jedenastu dniach...

Telefon.

- No, nareszcie. Jest. Satyna 30,07. Szalenie poszukiwany wzór i atrakcyjne kolory.

...powstanie upada. W "Manufakturze" zasiada z kolei - sąd wojenny. Skazuje 13 robotników na śmierć. W podwórzu wisi tablica. Trzyście nazwisk. O. Kozniowski - 23 lata. I. Sałytkow - 28 lat, A. Jonyczew - 20 lat, N. Ziernow - 18 lat, K. Zacharenko - 19 lat...

Ale Aleksandra Pawłowna ma teraz myśl najwyraźniej zaprzątniętą czymś innym: przecież przywieźli satynę 30,07. Aleksandra Pawłowna nie może, doprawdy, wiele czasu poświęcić dziennikarzowi - fabryka jest już na własnym rozrachunku, liczy się każda minuta, każdy metr. Własny rozrachunek to koniec dętej statystyki. O wykonaniu planu nie decyduje ilość metrów tkaniny, tylko to, czy ktoś chce owe metry kupić. A satyna 30,07 ma deseń bardzo modny i szmizjerki chwycą na pewno z miejsca. W zamian zaś za dodatkowe szmizjerki będą dodatkowe ruble dla robotników. W tym roku przeciętnie - równowartość 12 roboczych dni. Więc Aleksandra wręcza mi po prostu swoją "ściąagę" i mogę sobie teraz sama przeczytać, że w roku 1917 dwustu robotników manufaktury walczyło w szeregach rewolucji, że w 1919 poszli bić Kołczaka, a w 1920 wybrali Lenina do Moskiewskiej Rady Miejskiej.

(Za życia Lenin był czterokrotnie radnym miejskim z ramienia fabryki i po śmierci radnym pozostał. Przez wszystkie lata, aż po dziś, ma mandat w Radzie Miejskiej oznaczony numerem pierwszym. Jego okręgiem wyborczym jest "Triochgorka").

Historia się przybliżyła. W czasie ostatniej wojny 1300 robotników fabryki walczyło na froncie. Robotnicy dobrowolnie oddali 2500 litrów krwi. Produkowali tkaninę na mundury i bandaże...

Co wtedy robiła Aleksandra Pawłowna? Miała 11 lat. Chodziła pewnie do szkoły w swojej Ruskiej Żurawce pod Woroneżem. Musiała to być niezła szkoła, choć na wsi, skoro przyjęli ją potem na studia (a było pięciu kandydatów na każde z wolnych miejsc). I starszego brata przyjęli - skończył Instytut Budowy Maszyn. I młodszego brata przyjęli - skończył Instytut Metali

216

217

Kolorowych. W ogóle z jej rodzinnych stron mnóstwo ludzi skończyło studia. Kiedy przyjeżdża teraz do rodziców na wieś, nie stanowi żadnej atrakcji. Że główny inżynier "Triochgorki" - no to co? A Sierioża Czernych jest profesorem, a Sasza Powiertin - generałem, a Wołodia Jermakow uczy historii na uniwersytecie. Jej "Moskwicz" też nie robi wrażenia. Woroneskie ziemie są urodzajne. Sławny rosyjski czarnoziem. Pozwoli zarobić i na chleb, i na „maszynę”. Tak więc Aleksandra Pawłowna miała wtedy 11 lat. A np. Jelizawieta Cypłuchina miała 22. Przed wybuchem wojny za mąż wyjść nie zdążyła, a kiedy wojna skończyła się i miała już 26 lat - za mąż wyjść nie mogła. To był ten czas, kiedy mężczyzn było w Związku Radzieckim o 20 min mniej niż kobiet. Ekonomiści mówią o tym: naruszenie równowagi demograficznej płci. Demografowie wiedzą: w największym stopniu odbiło się to na rocznikach 1919, 1920, 1921. Były to kobiety, które w chwili wybuchu wojny miały po 20, 22 lata. Mężczyźni, za których miały wyjść za mąż, zginęli. Jelizawieta Pawłowna to rocznik 1919, a jej siostra - rocznik 1920. Więc obie siostry Cypłuchiny pozostały samotne, mieszkają razem, razem

czytają książki, chodzą do teatru i powiadają sobie - nie jest nam źle, przecież mamy tylu życzliwych ludzi dookoła. Tym ludziom poświęcają swój wolny czas. I ludzie doceniają to. Kiedy Jelizawieta Pawłowna wróciła do domu z zebrania, na którym postanowiono, że to ona właśnie będzie posłanką "Trioehgoirki" do Rady Najwyższej ZSRR - kiedy wróciła cała jeszcze roztrzęsiona i przejęta powtarzając, ale właściwie dlaczego mnie, jestem najzwyklejszą tkaczką - jej siostra powiedziała: Widocznie jest coś w twoim stosunku do ludzi, jeżeli ludzie ci zawierzyli... I siostra, młodsza

z sióstr Cypluchinych (fatalny rocznik 1920), rozplakała się ze wzruszenia. Jelizawieta Pawłowna ma teraz jeszcze bardziej zajęty czas, z czego się cieszy. Przyjmuje wyborców, pisze listy do władz, interweniuje w sprawie mieszkań, meldunków, pracy, a także zwraca się z prośbą o darowanie reszty kary młodym robotnikom "Manufaktury" skazanym z artykułu 216 część II - za chuliigaństwo. - Oczywiście - zastrzega się natychmiast - chuligani to wyjątek. W swojej masie nasza młodzież jest zdrowa.

Mam zresztą okazję rozmawiać z przedstawicielem zdrowej młodzieży "Trioehgornej Manufaktury" - Bo-rysem Awierinem.

Sprowadzają go specjalnie do gabinetu dyrektora. Nie dziwi się - zwykła rzecz, często go do zagranicznych korespondentów proszą. Dziadek Awierin pracował w fabryce i babcia Awierina i ich syn, znaczy ojciec Borysa, Wasyl i jego ojca dwie siostry i dwaj bracia i dzieci tych braci i sióstr. Również mama Borysa pracuje w "Trioehgorce" i jego dwaj bracia, a także żona brata. Ogółem cała rodzina przepracowała w kombinacie 200 lat.

Historia rodziny Awierinów rzeczywiście nadaje się na opowieść dla zagranicznych dziennikarzy. Dziadek i babcia - analfabeci przywiezieni zaraz po rewolucji z rosyjskiej wsi do Moskwy (nie było rąk do pracy, sprowadzano więc tysiące chłopów). Ojciec i matka - już moskwianie. Ojciec ukończył szkołę podstawową, on, Borys, ma skończone technikum.

Aleksandra tamtych czasów oczywiście nie pamięta. Przyszła do zakładu jako inżynier. Mając 32 lata została głównym inżynierem fabryki zatrudniającej 6 tyś. osób - i pierwszym zastępcą dyrektora. Pracuje na tym stanowisku już pięć lat. Ma męża inżyniera i cór-

218

219

kę. Ma "Moskwicza 408", którym jeździ w niedzielę za miasto. Ma mieszkanie, a w mieszkaniu dwa komplety mebli: czeski i rumuński. - W dziedzinie mebli nasz przemysł jeszcze nie jest na należyтым poziomie - mówi Aleksandra Pawłowna. I w tym kunsztownym zdaniu udaje jej się pomieścić i krytykę, i poczucie proporcji (że w innych dziedzinach przemysł plraouje dobrze), i świadomość (w słowie "jeszcze"), że wszystko zmierza ku lepszemu.

Aleksandra Pawłowna jest ładna. Ma staranną fryzurę, włosy robi na kasztanowy kolor, nosi elegancką garsonkę. W ostatnią sobotę udało jej się wystać francuskie lakierki. W przeciwieństwie do babci Borysa Awierina przybyła ze wsi, w której jest doskonała szkoła. W przeciwieństwie do Boirysa nie musiała studiów łączyć z pracą. W przeciwieństwie do Jelizawiety Pawłowny wyszła w porę za męża. Powinnam napisać teraz, że właśnie za to bezpieczne życie głównego inżyniera Aleksandry Pawłowny Biriukowej walczył, wcale nie wiedząc o tym, dwudziestoletni robotnik Korzeniowski. A także ten, którego nazwiska nie znamy nawet, ten, który miał być mężem Jelizawiety Cypluchiny - rocznik 1919. Powinnam napisać, ale wypowiedziałabym żenująco banalną myśl. Związek między tymi faktami nie został wprawdzie wymyślony przeze mnie, ale nie byłoby to żadnym usprawiedliwieniem.

7. Żał po dobrze spełnionym obowiązku

Zawsze postępowała tak, jak powinno się postępować. Jak- postępuje uczciwa i przyzwoita kobieta. Wzorowa matka. Dobry obywatel. Decyzje podejmowała

słuszne, ale nie udaje przed dziennikarzem - ani przed samą sobą nawet - że kiedykolwiek przynosiły jej radość.

Kiedy po nieudanym skoku z samolotu siedziała w lesie pod Brenną, chlipiąc ze strachu, trzęsąc się z zimna i słabnąc z głodu - było to tylko żałosne.

Na szczęście przechodził akurat drogą człowiek, który dał jej chleba i zaprowadził do polskich partyzantów, a kiedy po 20 latach odnalazła go, powiedział: - Więc to tobie uratowałem życie, dziewczynko...

Kiedy godzinami nadawała meldunki przez radio o ruchu niemieckich wojsk na linii Katowice - Kraków i Katowice - Cieszyn ("Do Bielska - 3 dywizje SS w liczbie 44 tysięcy ludzi... Pojedyncze eskadry w Jeleśni, 10 km na południowy wschód od Żywca;.. 4 kilometry na północ od Oświęcimia ciężka artyleria..."), to było tylko męczące.

Kiedy z grupą partyzantów polskich mieszkała w ziemiance w lesie ("w głuchej zimnej norze, w kącie, z którego w razie niebezpieczeństwa nie można się nawet wydostać"), było to najzwyczajniej straszne.

Dopiero potem, po latach, wszystko - i chlipanie w lesie, i strach przy nadawaniu meldunków, i samotność - okazało się bohaterstwem, a Aleksandra Anisimowa - kawalerem orderów, honorowym gościem akademii i tematem szkolnych wypracowań.

Kiedy wyszła zaraz po wojnie za męża - za majora, dowódcę radzieckiej grupy partyzanckiej - było to nieskończenie smutne. Zdawała sobie od początku sprawę, że go nie kocha, ale nie mogła inaczej postąpić. Kiedyś nieopatrnie przyrzekła mu, a przecież raz danego słowa porządna dziewczyna nigdy nie cofa.

Po paru latach rozstała się z mężem. Miała dwoje dzieci. Spotkała wprawdzie innego mężczyznę, ale oczywiście nie mogła wyjść za niego. Jako wzorowa matka

220

była zdania, że musi dzieciom poświęcić cały czas. Że jakiegokolwiek życie osobiste mogłoby osłabić kontakt z dziećmi, a nawet naruszyć jej autorytet w ich oczach. Wiać tego życia nie miała. Za to dużo uczyła się - oglądała obrazy, słuchała muzyki, czytała książki. Wszy_ stko po to, by móc dzieciom o tych obrazach i książkach mówić.

I wychowała je naprawdę wzorowo. Świetlana jest porządną dziewczyną, jaką ona sama kiedyś była, a syn kończy studia...

A tamten mężczyzna ożenił się. Nie mógł przecież czekać dwadzieścia lat, aż jej dzieci dorosną i podcho-wają się wnuki.

Dziś Aleksandra Anisimowa ma lat czterdzieści pięć. Ma także ordery. Sławę. Poczucie dobrze spełnionego obowiązku... Szacunek ludzki... Wszystko ma. Wylicza to po kolei i mówi, że doskonale rozumie, iż powinna cieszyć się. Kobieta, która żyła tak JAK POWINNO SIĘ ŻYĆ, nie może przecież nie być szczęśliwa.

8. Taka smutna wierność

Włożyła do walizki mięso przeznaczone na targ. Założyła odświętną bluzkę - jedzie do stolicy bądź co bądź - i pożegnała się z mężem.

Do Moskwy z ich kołchozu nie jest daleko. Na dworzec jedzie się furmanką, a potem pociągiem zaledwie jedną noc. Cóż to jest wobec skali całego kraju.

Przyjeżdża do Moskwy. Sprzedaje mięso na rynku. Robi zakupy - przede wszystkim kupuje dżersejową garsonkę dla córki, bo dżersejową garsonka nabyta w Moskwie jest dla każdej radzieckiej dziewczyny sym-

bólem największej elegancji. Jednocześnie - przez cały czas ociera się o życie wielkiego miasta, które jej gotuje na każdym kroku niespodzianki.

Pyta długowłosą panienkę o drogę, ale panienska okazuje się chłopcem z najmodniejszą fryzurą. W mieszkaniu kuzynki sięga po stojącą na toaletce butelkę z rozpylaczem i perfumuje się pod pachami, nie wiedząc, że to lakier do włosów. Popełnia bez przerwy gafy, których nigdy nie popełniały pozytywne bohaterki radzieckich wiejskich filmów.

I od razu pierwszego dnia spotyka kogoś, kto nie śmieje się z gaf, docenia urodę i proponuje pójście do kina... Mówi, że przyjdzie po nią wieczorem.

Zbliża się godzina siódma. On - zgodnie z zapowiedzią - przyjeżdża pod dom (jest taksówkarzem). Ona widzi go z okna. Oczywiście, wie, że nie zejdzie. Czyż przyzwoita mężatka chodzi z obcym mężczyzną do kina? Jest spokojna, zerka z okna. Śmieje się z zażenowaniem... Potem - z niejaką satysfakcją: przyjemnie, bądź co bądź, nawet statecznej mężatce, kiedy tak na nią czekają... Potem uśmiecha się ze współczuciem. Potem - z pewną czułością... Potem wielki wypadek i już w niejakiej panice zamyka drzwi wyjściowe na klucz i ten klucz przed samą sobą chowa. Potem kładzie się. Drzemie. Widzi jakieś przerażające obrazy w półśnie: rodzice z kamiennymi twarzami - córka z pretensją w oczach - mąż - pytający z wściekłością - gdzie pieniądze za mięso?! Zrywa się - on wciąż jeszcze stoi pod oknem - jest już prawie ósma... Rzuca się gwałtownie do drzwi, ale drzwi są zamknięte, przerażona własną decyzją nie może znaleźć klucza, pada na łóżko, szloch...

A potem jest znowu wieś. Dom, mąż, dzieci - wszystko jak być powinno. Syn bawi się nową zabawką. Córka przymierza dżersejową garsonkę. Mąż liczy pie-

223

222

niądze za sprzedane mięso. Przygląda mu się, jakby go widziała pierwszy raz... Liczy pieniądze uważnie, zachłannie, w skupieniu...

I na tym kończy się film. On liczy - ona jest tak okropnie, tak przeraźliwie smutna... Widzowie rozchodzą się. - Kobieto, myślą sobie, dlaczegoś do niego nie zeszła... Ale nie, na pewno zaraz dodają w zażenowaniu - przecież nie mogła zejść, to jasne...

Film nazywa się Tri topola na Pluszczichie. "Tri topola" - to nazwa kawiarni, przed którą mieli spotkać się bohaterowie. A Pluszczicha - to nazwa ulicy w jednym ze starych rejonów Moskwy, niedaleko Dworca Kijowskiego. Dom pokazany na filmie stoi rzeczywiście. Sprawdziłam. Kawiarni nie ma. Bohatera filmu - także nie.

Leningradzki socjolog S. Gołod wypytywał tysiąc osób (studentów, inteligentów, robotników) o ich pierwsze związki, partnerów, motywy i poglądy na sprawy miłości.

Pytani wyznali (duża większość mężczyzn i połowa kobiet), że życie seksualne zaczęli przed ślubem. Granica wieku pierwszych doświadczeń obniżyła się w porównaniu z latami dwudziestymi do 16-18 lat u mężczyzn, a do 20 u kobiet. Gołod podzielił wszystkie związki na trzy kategorie. Uznał, że istnieją związki romantyczne - oparte na uczuciu, związki z wyrachowania - często przypadkowe, wyprane z uczuć oraz tak zwane standardowe, które stanowią większość. Nie ma w nich wielkiego uczucia, ale istnieje wspólnota interesów, poglądów itd. Masowy zasięg tych właśnie związków - twierdzi Gołod - jest jednym z przejawów ogólnej standaryzacji życia miejskiego. W różnych środowiskach istnieją pewne stereotypy, normy zachowań i dotyczą także najbardziej intymnych dziedzin. W standardowych związkach partnerzy należą do tego samego środowiska, mają podobny poziom wykształcenia i status społeczny.

Wprowadzając taki podział Gołod zrezygnował z tradycyj-

nego kryterium, jakim było małżeństwo. Nie mówi o związkach przedmałżeńskich, pozamałżeńskich i "legalnych", i nie stosuje ocen wynikających z tego podziału

(według tradycyjnych norm tylko związki małżeńskie są "dobre", a wszystkie inne "złe"). Według Gołoda "dobre" są tylko stosunki wynikające z miłości, a "złe" stosunki przypadkowe. Jedynym więc kryterium jest uczucie. Ma się rozumieć - zastrzega się socjolog - nie jest on bynajmniej wrogiem instytucji rodziny i małżeństwa. Na odwrót, chodzi mu o to, by tę instytucję wzbogacić uczuciem autentycznym.

Pogląd taki podziela ogromna większość badanych przez niego osób. Uważają, że można utrzymywać intymne stosunki przed ślubem - pod warunkiem jednak, że wynikają z miłości. W sprawie stosunków z osobą "po prostu znajomą" mężczyźni są o wiele bardziej tolerancyjni od kobiet. Związków przypadkowych kobiety nie aprobują w ogóle.

Realne zachowanie ludzi, a także ich oceny, są więc sprzeczne z przyjętym modelem moralności, który opiera się na małżeństwie jako punkcie odniesienia wszelkich ocen. Model taki lansują wychowawcy, szkoła, autorzy (a zwłaszcza autorki) audycji dla młodzieży itd. Nie jest dobrze - powiada socjolog - gdy ludzie oficjalnie postulują jedno, a robią w gruncie rzeczy co innego. Co więc począć? Czy zmienić zachowanie? Czy może model zmienić? Na zmianę zachowań wielkiej nadziei nie ma. Pozostaje zatem zmienić wzorce. "I jeśli będziemy upierali się przy dotychczasowych wzorcach, to z zabiegów wychowawczych nic nie wyjdzie. W ogóle nie chodzi właściwie o to, jak wychowywać młodzież, lecz jakie wartości i cele przed nią stawiać. A celem jest bogactwo i kultura uczuć".

9. Lakierki

Bywają włoskie, angielskie, jugosłowiańskie i francuskie. Bez pięty i zamknięte, z klamrą, łańcuszkiem, klipsami, we wszystkich kolorach. Największym powodzeniem jednak cieszą się lakierki koloru lila, bo każda elegantka w Moskwie ma w swojej garderobie przynajmniej jedną rzecz w tym właśnie kolorze.

224

225

15 - Na wschód od Arabatu

TECHNIKA KUPOWANIA LAKIERKÓW •

Kiedy kupować?

Najlepiej przy końcu miesiąca. Sklepy muszą wykonać plan, więc wyrzuca się na rynek atrakcyjne towary. Dużo jest dobrych rzeczy przed wielkimi świętami, „k prazdniku”. Przed 1 maja, na przykład, czy rocznicą Rewolucji Październikowej.

Gdzie kupować?

W małych miejscowościach najlepiej, a jeśli to jest możliwe - wręcz na wsi. A w ogóle tam, gdzie lakierków się nie nosi, ale mimo to sklepy je dostają. Na przykład w Azji Środkowej. Można tu kupić lakierki zamknięte, bo jest bardzo gorąco i miejscowe kobiety zamkniętych pantofli nie noszą. Jedna moja znajoma przywiozła sobie z Samarkandy cudowne lakierki w kolorze beżowym, ze srebrną klamrą. Kupiła je wtedy, gdy cała wycieczka zwiedzała grób Tamerlana. Grób można w końcu obejrzeć w podręczniku historii sztuki albo na pocztówce, a lakierków, zwłaszcza beżowych, nie - mówiła moja znajoma. I słusznie. Bo jak je wkładała do beżowej koronki, to żadna nie pytała: - Czy widziała pani grób Tamerlana?

Natomiast wszystkie pytały: - Gdzie pani dostała te śliczne lakierki?

W niektórych miastach cała sprawa jest zupełnie dobrze zorganizowana. W Odessie, na przykład, o siódmej rano zajeżdżają na "tołkuczkę", czyli ciuchy, ciężarówki z GS-ów, do których przywieziono lakierki zamiast gumiaków. Jeżeli przyjść o siódmej, można dostać, jakie się tylko chce. Ale nie później. Później rzuca się na nie tłum turystek i wczasowiczek, które nawet na angielskie drobnokarbowane sukienki przywiezione przez odeskich marynarzy wprost z Singapuru - bo taniej - nie zwracają przez moment uwagi.

HISTORIA

Jeszcze parę lat temu w Związku Radzieckim nie importowano lakierków. Ale było już wiadomo, że się je nosi, że to elegancja i szyk. Więc na niektórych nogach się pojawiały. Ale czyje to mogły być nogi? Albo takie, które jeżdżą za granicę, albo, które mają kogoś, kto jeździ. Więc może to były nogi żony fizyka - uczestnika międzynarodowych kongresów? Albo nogi baleriny, która bywa na występach gościnnych? W każdym razie to był KTOŚ, taka posiadaczka nóg w lakierkach.

EKONOMIKA

Ale wraz z ogromnym importem przedmiotów przeznaczonych DLA LUDZI (a tych przedmiotów jest w Związku Radzieckim mnóstwo i są znakomite, wybierane ze smakiem i znajomością rzeczy: angielskie płaszcze, mohairy w kratę, fińskie i austriackie garnitury, jugosłowiańskie prochowce, arabskie i polskie meble) - więc wraz z rozwojem importu zaczęto sprowadzać też wspaniałe buty, a przede wszystkim - wspaniałe lakierki.

Ten import to w ogóle dowód nowego stadium rozwoju gospodarczego kraju. Już zaspokojono podstawowe potrzeby, rozwinięto przemysł ciężki, stworzono bazę gospodarki. Już kraj może sobie pozwolić na produkcję przedmiotów przeznaczonych nie dla wytwarzania, lecz dla konsumpcji.

227

226

ts«

DEMOKRATYZACJA W DZIEDZINIE LAKIERKÓW

Ceny nie są wysokie jak na import: do 40 rubli para. Jest to kwota dostępna dla wszystkich, toteż wszystkie - no, może przesadzam, ale mówię o tym, co się widzi, a nie czyta w statystykach - wszystkie kobiety nabyły przynajmniej po jednej parze. Inwencji wymagało jedynie znalezienie odpowiedniego koloru czy wykończenia - tu właśnie przydawała się znajomość techniki zdobywania (patrz wyżej), ale nabycie po prostu jakichś tani lakierków nie nastroczało nikomu trudności.

LAKIERKI JAKO MUNDUR

Można je nosić, jak wiadomo, od rana do późnej nocy, do pracy, teatru i z wizytą. Toteż, jeśli wyjdzie się w antrakcie przedstawienia do foyer i rzuci okiem w dół - gdzie nogi - zobaczy się wyłącznie lakierki, pełen ich asortyment.

JAKO SYMBOL

Można się pogodzić z tym, że rzeczywiście nadają się do prawie każdej sukienki i na prawie każdą okazję. Ale są w sklepach jeszcze inne, nie gorsze buty, także z importu, cały obunniczy bulwar Saint Michel jest w GUM-ie. A mimo wszystko właśnie lakierki przede wszystkim się kupuje. Bo mieć lakierki, to znaczy: WIEDZIEĆ, CO SIĘ NOSI. I przynależać do świata, który wie, co się nosi. I samemu móc to nosić. I mieć za co.

Te kobiety właściwie nigdy dotychczas nie miały gło-

wy do takich rzeczy jak moda i strój. Najpierw była rewolucja, potem wojna domowa, potem industrializacja i wyrzeczenia z nią związane, potem znów wojna, potem powojenna odbudowa.

A teraz jest spokój. Jest niewątpliwy, rosnący dobrobyt. I po raz pierwszy właściwie jest tak, że już ma się do "tego" głowę i pieniądze - i że "to" jest.

BEZ LUKRU, LECZ Z OPTYMIZMEM

Żeby nie było jednak tak całkiem różowo, wypada dodać, że obecnie, gdy dorosłe kobiety tego kraju są już zaopatrzone - przyszła moda na lakierki dla małych dziewczynek. I tu zaczyna się właściwie rzecz od początku. Bo dziecięcych lakierków nie ma w sprzedaży. Są niekiedy w komisach, ale rzadko, są w sklepach tutejszego PKO za bony, są też niekiedy na nogach dzieci. Ale jakich? Oczywiście

dzieci, których rodzice jeżdżą za granicę. Więc może tatuś jest fizykiem? A może mama - sławną tancerką?

Dziecięce lakierki modne są w kolorze czarnym, z pa-seczkiem i dużą klamerką srebrną do białych, ażurowych najlepiej, rajstop. W Teatrze Wielkim, w antrakcie Śpiącej królowej lub Dziadka do orzechów Czajkowskiego można to wszystko podziwiać. Ma się rozumieć - podziwiają inne mamy. Dzieci są kompletnie nieświadome faktu, że mają na nogach coś, co jest w szalenie dobrym tonie, zwłaszcza w foyer Wielkiego Teatru.

Co dalej? Myślę, że to samo, dokładnie. Że sytuacja - kiedy sklepy GS zawalone będą dziecięcymi lakierkami ze srebrną klamerką - jest tylko kwestią czasu,

229

O LAKIEBKACH PATETYCZNIE

Chciałam jeszcze tylko dodać, że ONE SOBIE NA TO ZASŁUŻYŁY. One - kobiety radzieckie. I że im się to od dawna należy. Za ów czas, kiedy w fabrykach ewakuowanych na wschód ręce przymairzały im do maszyn. Za samotność - bo ich mężowie albo ci, za których nie zdążyły wyjść, zginęli na froncie. Za to, że są grube, bo nie piły dostatecznie dużo owocowych soków. Za to, że są zmęczone. Za Wszystko co przeszły, czego nie mogły przeżyć, czego nie zdążyły mieć - należą im się wszystkie lakierki świata i wszystkie kostiumiki "dżersi", nawet te w kolorze lila.

Socjologowie Akademii Nauk Społecznych przy KC KPZR pytali dwa tysiące robotników, inżynierów, urzędników i nauczycieli Czelabińska i pięciuset uczniów Moskwy o to, jakie przedmioty już mają, jakie chcieliby mieć i czy w ogóle mieć - to źle, czy dobrze.

Tylko osiemnaście osób oświadczyło, że o rzeczy nie dba w ogóle. Wszyscy pozostali bardzo je sobie cenią. Wszyscy już mają sporo różnych rzeczy. I prawie wszyscy chcieliby mieć jeszcze więcej.

Sporządzono listę 14 przedmiotów użytkowych (lodówka, telewizor, meble, pralka, aparat radiowy itd.) i okazało się, że ponad 80 procent pytanym ma z tego przynajmniej pięć przedmiotów (najczęściej wymienione wyżej), połowa ma dywany, 20-30 procent - pianina, 10-15 procent - serwisy i kryształ, i tylko niewielu - daczę i samochód. Ogromna większość ludzi marzy przede wszystkim o samochodzie. (Z wyjątkiem mało zarabiających robotników i nauczycieli, ale i ci wymieniają wśród marzeń samochód na drugim miejscu). Potem idą meble. Następnie magnetofon i pianino.

Połowa ankietowanych z Czelabińska uważa posiadanie pewnych przedmiotów za dowód "życiowego sukcesu". A duża większość kupuje rzeczy, by "nie być gorszym od innych".

- Nie ulega wątpliwości - konkludują autorki opracowa-

nią N. Frołowa i L. Żilina - że dla wielu ludzi radzieckich posiadane rzeczy są nie tylko przedmiotami użytkowymi. Są jeszcze i oznakami prestiżu.

Obraz, którego dostarczyły socjologiczne badania - obraz rzeczywistych opinii i dążeń ludzkich - pozostaje w pewnej sprzeczności z tym systemem ocen, który tradycyjnie prezentuje się radzieckiej młodzieży i społeczeństwu. System ów preferuje podstawowe wartości społeczne, jak praca, działalność społeczna, ideowość, uczciwość, potępia natomiast skłonność do nabywania i posiadania rzeczy.

Stereotyp ten wywodzi się z pierwszych lat po Rewolucji. Z okresu, w którym posiadanie kojarzyło się z przynależnością do wrogiej klasy i wrogiej ideologii.

Czasy jednak się zmieniły. Przemysł radziecki rozwinał się. Ludzie mogą nabywać - i nabywają - coraz więcej rzeczy. Ideologia ascetyzmu społecznego nie może być ideologią atrakcyjną, bo - jak pisze Żilina - "człowiek radziecki lat sześćdziesiątych to nie asceta. To człowiek, który chce dobrze się ubrać i mieszkać w dobrze wyposażonym mieszkaniu".

Zresztą - dodaje prof. Zamoszkin w Woprosac.h Filozofii z lipca 1969 - obfitość rzeczy bynajmniej nie przeszkadza w dobrym stosunku do pracy, w działalności społecznej i ideowości radzieckiego człowieka. Obfitość rzeczy sama w sobie w ogóle nie może uczynić człowieka dobrym lub złym. Może rodzić zarówno społeczną apatię, jak i wyzwalać aktywność. Apatia społeczna wynika bowiem nie z nadmiaru rzeczy, lecz z niedostatku idei. A to przecież radzieckiemu społeczeństwu nie grozi.

230

20 tysięcy listów

Radio Moskiewskie otrzymuje rocznie ponad dwadzieścia tysięcy listów z Polski. Żadna spośród sześćdziesięciu zagranicznych redakcji Moskiewskiego Radia nie ma tylu słuchaczy. Niektórzy pisują już od dwudziestu lat. Kiedy umierają rodzice - dzieci kontynuują korespondencje. Kiedy umiera mąż - pisuje listy żona. W takich właśnie okolicznościach nawiązały kontakt z Radiem Moskiewskim - pani Dunin-Marcin-kiewicz z Warszawy, pani Lewendel z Częstochowy i inne. Ich małżonkowie prowadzili tę korespondencję przez wiele lat.

Kolej rzeczy jest zwykle następująca: najpierw ktoś pisze list do redakcji - zwykły list radiosłuchacza z prośbą o piosenkę Tiomnaja TŁOCZ' luib informację na temat Kosmosu. Redakcja odpowiada poważnie, wyczerpująco i co ważne - bardzo życzliwie. Słuchacz dziękuje. Potem - przy jakiejś okazji - pisze znowu. Potem - przysyła życzenia na Nowy Rok lub rocznicę Rewolucji Październikowej. A potem nie zauważa nawet, jak zaczyna informować redakcję o swoich sprawach rodzinnych, szkolnych i zawodowych.

233

Znajomi

Pani Radecka, która prowadzi tę ogromną korespondencję już od wielu lat, zna słuchaczy nieomal osobiście. Pamięta nazwiska, twarze ze zdjęć, ważniejsze wydarzenia... Orientuje się na bieżąco, co się dzieje w każdej z zaprzyjaźnionych z Radiem rodzin.

W rodzinie Kowalskich, na przykład, w Biskupcu Warmińskim - bieda. Pan Karol choruje, ostatnio w ogóle już nie wstaje z fotela. Inka, jego córka, chciałaby studiować medycynę, ale musi pomóc ojcu, pojechała więc do szkoły higienistek. - Właśnie ostatnio otrzymaliśmy dwa listy, od niego z Biskupca i od niej ze szkoły. Panem Karolem opiekuje się teraz siostra, pani Stefania. To bardzo zacna osoba. Jaka szkoda, że Inka nie może studiować, ale nic - pociesza nas pani Radecka - to dzielna dziewczyna. Popracuje parę lat i na pewno pójdzie na medycynę.

Pani Zofia Olejnik z Piotrkowa, starsza pani, przepada za malarstwem rosyjskim. Ostatnio posłali jej reprodukcję Sjerowa. Podarowała ją swojej kuzynce z Cambridge. Ta kuzynka - napisała pani Olejnik - to wdowa po profesorze Kejlinie, członku pięciu Akademii Nauk. Był to światowej sławy geolog. A ona jest bardzo cenioną lekarką. Leczy się u niej m. in. prawnuczka Darwina...

Pani Barbara C. jest bardzo dzielna. Tylko ma teraz kłopoty sercowe. Spotkała kogoś, nie pamiętam - mówi pani Radecka - czy to ona jemu się podobała, czy on jej. Skarżyła się, że serce buntuje się przeciw rozsądkowi.

A pani Ossowska jest bardzo towarzyska, wciąż gdzieś jeździ i z kimś się spotyka... Kiedy przyjeżdżają z wycieczką do Związku Radziec-

kiego, obowiązkowo składają w Radiu wizytę. Kiedy coś nagle komplikuje się w podróży - do redakcji właśnie zwracają się o pomoc. Wczoraj, na przykład, pewna słuchaczka zadzwoniła ;z portierni: - Jadę do Penzy. Bilet okazał się o osiem rubli droższy, niż przypuszczałam...

Lisły

Czytelnicy, którzy już nabrali zaufania do redakcji, piszą o wszystkim:

O rodzinie:

"Syn mój już na drugim roku szkoły oficerskiej, uczy się dobrze, przesyłam w załączeniu jego zdjęcie..."

O zdrowiu:

"Chorowałam bardzo ciężko. Zatrulałam się czymś, czego lekarze nie ustalili, i organizm mój wytracił krew do 30 procent hemoglobiny, opad 111/136, a gorączka uderzyła do 41,2 stopnia. Potem przewieźli mnie do lepszego szpitala i tam zaczęłam przychodzić do zdrowia".

O robotach w polu:

"Ciepło było w marcu, a tetraz zimno i nawet bywa już 3 stopnie, taka to pogoda zmienna, ale prace w polu w naszej stadninie dobiegają końca, jeszcze tylko posiać buraki cukrowe i posadzić ziemniaki" (Janina S., Pastuchów, powiat Świdnica).

O sukcesach:

"Muszę się pochwalić, że młodzież zrzeszona w Związku Młodzieży Wiejskiej wybrała mnie na laureata konkursu "Człowiek, którego cenimy". Konkurs był zorganizowany przez ZMS, ZMW i Gazetę Pomorską (Maria K., kierowniczką przedszkola, Więobork),

O pobycie w Związku Radzieckim (są to listy szczególnie cenne, bo świadectwo rodaków robi na słuchaczach zawsze duże wrażenie):

"Zaopatrzenie dobre w różne artykuły, wieś ma dużo lepiej... a mając grosza można kupić to, co się chce i kiedy się chce... Będąc tam w czasie żniw widziałam, jak zadziwiająco szybko ta garstka ludzi zebrała z pól i wymłóciła tegoroczne zbiory... Ludzie dużo budują się i ładne domki stawiają..." (Dominik B., Bytom).

"Byłem w ogródkach działkowych dla pracowników. Niecodzienny był brak jakichkolwiek, poza płytkim rowkiem, ogrodzeń. Tylko jako rolnik uważam, że te rośliny mają trochę za. ciasno..." (Michał J-> Wilanów).

Wojna

Wiele listów nadchodzi od tych, którzy walczyli wraz z żołnierzami radzieckimi - w armii, w partyzantce albo po prostu pamiętają ich z okresu wojny, a teraz pytają o adres.

Redakcja organizuje poszukiwania tych ludzi - uruchamiając cały aparat komitetów weteranów wojny, biur adresowych i wojskowych komisji.

Pod Leningradem odnaleziono na prośbę harcerzy z 41 drużyny im. Emilii Gierczak ze Swidwina - Mikołaja Wodziankiego, oficera, który był dowódcą ich patronki i który podpisał niegdyś list zawiadamiający rodziców o jej śmierci (E. Gierczak była oficerem 4 polskiej dywizji piechoty i poległa w walkach o Kołobrzeg).

W Tbilisi w Akademii Nauk odnaleziono Aleksandra Kałambadze. Szkoła numer 17 w Pabianicach zawiadomiła, że ukrywał się podczas wojny w ich mieście.

Po filmie telewizyjnym Minierzy podniebnych dróg ktoś z Krosna Odrzańskiego napisał, że znał podobną historię partyzantki Zoi z polsko-radzieckiego oddziału partyzanckiego, która nie wróciła z jednej z wypraw, wobec czego uznano ją za poległą, wydrukowano w prasie radzieckiej nekrolog i rozpisano konkurs na pomnik, ale okazało się, że żyje, wróciła i walczyła nadal, występując również w zespole jako piosenkarka. Tę Zoję odnaleziono w Donbasie.

Z kolei pani Maria Augustynowicz z Sannik napisała o tym, że pewien żołnierz radziecki, Wasia, uratował jej życie. W opustoszałej wsi zostali - ona, jej dziecko, działo radzieckie i ów Wasia. Wśród piekła artyleryjskiego ostrzału wycofał się ze wsi osłaniając działem kobietę. I Wasie odnaleziono - Wasyla Tierie-szczagina - w sowchozie "Donieckie Zorze" w obwodzie Ługańskim. A odnalezionych sprowadzono do studia, do mikrofonu, przed którym, wzruszeni, wspominali wojenne dzieje i dziwili się, i dziękowali za to, że jeszcze się o nich w dalekich polskich miastach pamięta...

przysyła... Emilia D. Pracuje w pralni. Ubóstwia Oj tumany moi rastumany... Pani Janina Skrzypczak, syn uczy się na fryzjera...

Większość fotografii utrwała jakieś ważne w życiu słuchaczy wydarzenia. Rodzina Cieślików z województwa zielonogórskiego - za stołem weselnym. Państwo Głapińscy z Gdańska - w Urzędzie Stanu Cywilnego. Aktywiści Ligi Obrony Kraju w Biłgoraju - w prezydium zjazdu. Pani Teresa Bramańska, solistka amatorskiego zespołu z Grudziądza - przed mikrofonem. Hania Gongalo ze Zgierza, Basia Kieska z Jezioran i Andrzej Wieczorek z Grodzi - na zdjęciach z pierwszej komunii. Irena Gołka z Czarnej - na konkursie racjonalnego żywienia rodziny. Janina J. z Obrębu powiat Przasnysz - na balu (tę pamiątkę z ostatniego karnawału zasyłam...). Zenon Swirczyński z Porostu - na białym koniu. Wanda H. z chłopcem - na odpuszcie (i adnotacją: Tu jeszcze jestem panienka). A Stefan Racki - z odznaczeniami.

Zdjęcia

Po kilkumiesięcznej wymianie listów wielu czytelników dołącza zdjęcia. Pani Radecka założyła już cały rodzinny album. Oczywiście pamięta doskonale każdą twarz.

- To Tadzio Makulski, kiedy był jeszcze mały. Pisywał jako dziecko. Potem jako uczeń technikum. Potem - z wojska. Bardzo dobry chłopiec, ten Tadzio... A to pani Danuta, kiedy miała 19 lat. A to - kiedy miała 29. Teraz ma już ze 40, ale zdjęć więcej nie

Geografia

Porost - Obręb - Czarna - Zgierz... Małe miasteczka i wsie centralnych i zachodnich województw. To stąd płyną te tysiące listów. To tutaj jest wielka i autentyczna baza społeczna polskiej redakcji Radia Moskiewskiego. Tutaj, w powiatowej Polsce.

Na podstawie listów i ankiety redakcja zdołała już dość dokładnie zorientować się w składzie tego środowiska.

Są to ludzie albo młodzi (do trzydziestki), albo w podeszłym wieku (powyżej pięćdziesiątki). Pośrednich- - trzydziesto- i czterdziestolatków - najmniej.

237

Przeważają urzędnicy. Ale blisko połowę stanowią robotnicy i chłopi. Studentów i uczniów - stosunkowo niewielu. Inteligencji - jeszcze mniej (choć oczywiście i w tych środowiskach są słuchacze).

Kobiety stanowią większość we wszystkich grupach. Właśnie tym tłumaczy się ów familijny ton wielu listów, zwłaszcza kierowanych do Mikołaja Orłowa prowadzącego skrzynkę odpowiedzi. "Chciałabym się dowiedzieć, czy ta aktorka filmowa Orłowa to jest żona pana Mikołaja, czy nie, bo ją osobiście widziałam w Krakowie i muszę przyznać, że ładna kobietka. Jakby to była żona pana Mikołaja, to mu gratuluję..."

Są to niesłychanie chłonni i wdzięczni odbiorcy. Radio jest podstawową formą ich kontaktu ze światem. Częściej i chętniej słuchają radia, niż czytają książki i

prasę. Tym większa jest więc jego rola w przekazywaniu informacji i wpływ na kształtowanie opinii.

Styl

Redakcja orientuje się w wymaganiach "swojego" środowiska. Wie, na przykład, że ludzie ci nie przyjmą niczego na wiarę. Nadaje więc możliwie dużo faktów i nagrań konkretnych osób - z nazwiskiem i adresem.

Redakcja wie, że ludzie ci nie znoszą dęcia w najwyższy ton. Przekazuje więc fakty spokojnie i bez emfazy. Większość radzieckich dziennikarzy lubi bo-wieni nastrój podniosły, odświętny, który czytelnikowi polskiemu może wydać się niewspółmierny do omawianych spraw. (W niektórych redakcjach zresztą - w Sputniku, Litieraturnej Gaziecie czy Żurnaliście - także już z tych upodobań zrezygnowano).

Redakcja wreszcie wie, że ludzie ci szczególnie cenią sobie życzliwe zainteresowanie, uwagę. Toteż bardzo dba o to, by każdy czytelnik otrzymał odpowiedź - przez pocztę lub na antenie. Taką, o której wie, że jest skierowana tylko i osobiście do niego. ("W pierwszych słowach mojego listu chcę wam podziękować za piękną piosenkę dla mnie. W pracy na drugi dzień to dużo osób pytało mnie, kogo ja mam w Moskwie... Jak również mam jednego brata w Sopocie i on do mnie pisał, że słuchał... Bardzo się czuję dumny z waszej korespondencji. Z poważaniem Tadeusz Draszanowski, wieś Chojnice").

Historia

Redakcja miała sporo czasu na poznanie upodobań tego środowiska: jej kontakt z Polską trwa już 27 lat. Nawiązano go 22 czerwca 1942 roku. W dniu napadu Niemiec na ZSRR rozpoczęto systematyczne nadawanie audycji w języku polskim.

Jedną z organizatorek redakcji była Zofia Dzierżyń-ska, wdowa po Feliksie. Do ostatnich chwil zresztą podtrzymywała z redakcją kontakt. A dzwoniąc albo nagrywając, zawsze mówiła po polsku. Mówiła bezbłędnie, mimo pięćdziesięciu przeżytych w Związku Radzieckim lat. Bez cienia rosyjskiego akcentu. Natomiast mówiąc po rosyjsku, miała wyraźny akcent polski.

O tym, że pracownicy redakcji wybrali dla swoich audycji trafną formułę, świadczą tysiące listów napływających nieprzerwanie do Radia.

238

SPIS RZECZY

5

18

28

41

53

1

58 67 75 80 8S 96 102 111 130 140 154 162 171 179 187 193 200 232

KAWAŁEK CHLEBA

POMNIK Z BIAŁEGO MARMURU

PREZENT DWÓCH ROSYJSKICH KOBIET

(MORIAK, CZYLI ODESSA

' MAŁOMÓWNI LUDZIE O BŁĘKITNYCH OCZACH .

ZAGRANICZNY KORESPONDENT W REJONIE TUJ-
MAZY

MAJĄ PŁACIĆ W TYCH DNIACH

ZWYCIĘSTWO OLEGA IWANOWICZA

NASZA SZKOŁA NA KUTUZOWSKIM

"CZUJĄ, ŻE ROZWIJAJĄ SIĘ INTELEKTUALNIE . WIECZÓR POEZJI

.....

POZYTYWNY BOHATER
DOBRE JEST MIEĆ SYBERIĘ
PRZYGODY DOKTORA KRASOWA
WSZYSTKIE MIEJSCA ZA STOŁEM
WŁAŚNIE POWSTAŁ NOWY TEATR
CZTERY MILIONY SZACHISTÓW
FIZYKA, FIZYCY, KIBICE FIZYKÓW
NIE NADAJESZ SIĘ... ..
"TROJKA" DO PANNY MŁODEJ
INŻYNIER GUBANOW PRYZNAJE SIĘ DO BŁĘDU . KOBIECY W KOLORZE LILA
.....
20 TYSIĘCY LISTÓW